

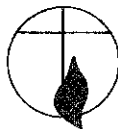
przegląd powszechny

11/795/87

miesięcznik

poświęcony sprawom religijnym,
kulturalnym i społecznym

założony w roku 1884



JEZUICI • Warszawa

WYDAWCA

Provincia Wielkopolsko-Mazowiecka Towarzystwa Jezusowego

REDAGUJE ZESPÓŁ

Michał Jagiełło
Maria M. Matusiak
Stefan Moysa SJ
Stanisław Opiela SJ (red. naczelny)
Grzegorz Schmidt SJ

OPRACOWANIE GRAFICZNE

Teresa Wierusz

REDAKTOR TECHNICZNY

Jacek Herman-Iżycki

„PRZEGŁĄD POWSZECHNY”

Redakcja i Administracja
ul. Rakowiecka 61
02-532 Warszawa
tel. redakcji 49-02-71 w. 158
49-02-39
tel. administracji 49-02-71 w. 273
48-09-78

PRENUMERATA

roczna 1650 zł
za I półrocze 900 zł
za II półrocze 750 zł
cena egzemplarza 150 zł

Wpłaty

Bank PKO VI Oddział w Warszawie
nr konta 1560-51624-136
ul. Bagatela 15
00-585 Warszawa

Prenumerata wyłącznie za pośrednictwem
administracji „Przeglądu Powszechnego”.
Część nakładu jest do nabycia w kioskach
„Ruchu” i w katolickich księgarniach.

Skład i druk: Oficyna „Przeglądu Powszechnego”,

Warszawa, ul. Rakowiecka 61

Zam. 2/87, (K-71), nakład 8000+350 egz., ark. druk. 10,0

Papier druk. kl. V, 71 g., format A1

Numer zamknięto 26 VIII 1987 r.

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca

Spis treści

Mówić prawdę	167
Z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim rozmawia Beata Chmiel.	

Jacek Kolbuszewski

Kresy jako kategoria aksjologiczna	179
Pojęcie kresów – związane ze wschodnimi obszarami Rzeczypospolitej – było synonimem istotnych i godnych obrony wartości.	

ks. Waldemar Chrostowski

Qumran – 40 lat później (I)	195
Historia jednego z najbardziej sensacyjnych odkryć w dziejach archeologii biblijnej.	

ks. Józef Życiński

Meandry ewolucji twórczej	212
Próby określenia mechanizmów i praw łączących historię i naturę w nurcie ewolucyjnych przemian stale natrafiają na trudności.	

Kazimierz Dziewanowski

Wyznania publicysty	220
Podmiotowość człowieka i społeczeństwa stanowi centralny punkt nauczania Jana Pawła II podczas ostatniej wizyty w Polsce.	

Kościół moich dzieci (Marcin Kula)	228
---	-----

Zaprzeszyły czas teraźniejszy (Zbigniew Bienkowski)	250
---	-----

Wirydarz na Stegnach. Kościół OO. Marianów p.w. N.M.P. Matki Miłosierdzia w Warszawie (Konrad Kucza-Kuczyński)	259
--	-----

Odpust dla Makławela (Wojciech Giełżyński)	264
---	-----

Książki – *A. Szymańska*: Szaleństwo Orfeusza (Michał Wójcikiewicz, „Spóźniony inicjał”) 272

W. Roszkowski: Codzienne trwanie, cywilizacja materialna i kapitalizm (F. Braudel, „Afterthoughts on Material Civilization and Capitalism”) 275

W. Kulisz SJ: Sztuka wychowania (Stanisław Kuczkowski SJ, „Strategie wychowawcze”) 277

R. Darowski SJ: Filozofia zajmująca (Franciszek Bargieł SJ, „Wojciech Tyłkowski i jego «Philosophia curiosa» z 1669 r.”) 279

M. Fabiański: Siedziba jezuitów w Krakowie (Jerzy Paszenda SJ, „Kościół Św. Barbary w Krakowie z domem zakonnym księży jezuitów. Historia i architektura”) 280

J. Bolewski SJ: Franciszkańska ewangelia (Władysław Smólski, „Franciszek rozdaje słońce”) 283

A. Datko: Bóg mój i wszystko („Antologia mistyków franciszkańskich”) 285

M. Wiśniewska: Wartościowa monografia (Bronisław Lubicz-Nycz, „Batalion «Kiliński» AK 1940–1944”) 286

E. C. Król: Inaczej o Niemcach („Dziesięciu sprawiedliwych. Wspomnienia okupacyjne”) 287

J. Szklarek: Czy jesteśmy z natury religijni? (W. Pannenberg /red./, „Sind wir von Natur aus religiös?”) 292

Sesje – Sympozja – *P. Wilczek*: Literatura źle obecna – ciąg dalszy rekonesansu 295

Czasopisma – *S. Siwek*: Prasa o gospodarce (53) 298

O społeczeństwie i kulturze (4) 300

Telewizja – Podgrzewacze 303

Sztuka – *J. S. Wojciechowski*: W kołysce sztuki (Teresa Murak, performance „Pragnienie, czuwanie, czynienie”; rysunki „Dla ziemi”) 305

Teatr – *A. Dziurdzikowski*: A my, jacy jesteśmy? (Teatr Współczesny w Warszawie, „Mistrz i Małgorzata” M. Bułhakowa, adaptacja i reżyseria – Maciej Englert) 308

M. Pieczara: Lekkość i ciężar prawdy 312

Film – *M. Pieczara*: Potęga smaku (Felix Falk, „Bohater roku”) 315

Książki nadesłane 318

Sommaire

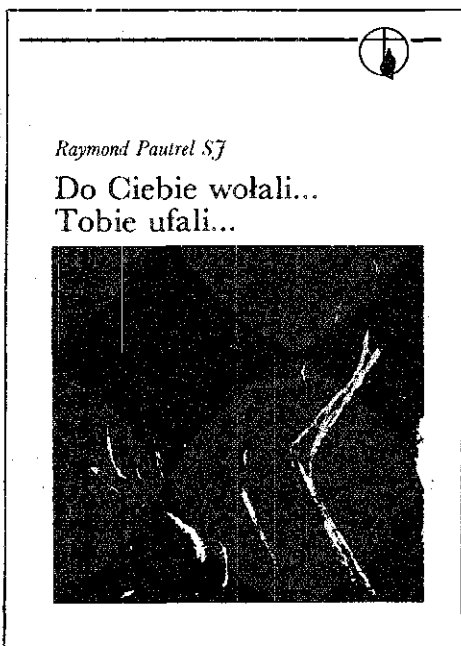
Dire la vérité	167
Un entretien avec Gustaw Herling-Grudziński, recueilli par Beata Chmiel.	
<i>Jacek Kolbuszewski</i>	
Les confins Est de la Pologne comme catégorie axiologique	179
La notion de confins appliquée aux anciennes régions Est de la Pologne, était synonyme de valeurs essentielles, dignes de défense et de promotion.	
<i>abbé Waldemar Chrostowski</i>	
Qumrân – 40 ans après (I)	195
Historique d'une des découvertes les plus sensationnelles en archéologie biblique.	
<i>abbé Józef Życiński</i>	
Les méandres de l'évolution créatrice	212
Les tentatives de définir les mécanismes et les lois opérationnels à la jonction de l'histoire et de la nature inscrites dans le courant de l'évolution, se heurent toujours à des difficultés.	
<i>Kazimierz Dziewanowski</i>	
Confessions d'un écrivain politique	220
La qualité de sujet inhérente à l'homme et à la société constitue l'axe de l'enseignement de Jean Paul II pendant sa récente visite en Pologne.	
L'Eglise des mes enfants (Marcin Kula)	228
Un présent plus-que-parfait	
(Zbigniew Bieńkowski)	250
Le préau de Stegny. Eglise des Oblats de Marie, consacrée à Notre Dame de Miséricorde à Varsovie (Konrad Kucza-Kuczyński)	259
Indulgence à Machiavel (Wojciech Gielżyński)	264
Comptes rendus	272

Biblioteka Przeglądu Powszechnego

„Do Ciebie wołali... Tobie ufali... Modlitwa w starotestamentowych opowiadaniach” – to kolejna książka w serii „Biblioteki Przeglądu Powszechnego”. Jej autor, francuski egzegeta Raymond Pautrel SJ, za przedmiot refleksji wziął słowa, które autorzy Starego Testamentu włożyli w usta swoich postaci. Bowiem Pismo Święte to nie tylko słowo Boga skierowane do człowieka, lecz także modlitwa ludzi do Boga. Autor książki snuje swoje rozważania za podstawę biorąc spontaniczne modlitwy wyrażające najlepiej temperament danej osoby lub konkretne warunki. Wychodzi bowiem z założenia, że słowo człowieka

do Boga jako najbardziej intymne stanowi klucz do poznania osoby. I tak czytelnik otrzymuje serię portretów: Adama, Kaina, Noego, Abrahama, Dawida, Judyty... Książka zawiera także liczne reminiscencje dzieł sztuki literackiej, malarskiej, architektonicznej.

Zamówienia można kierować pod adresem administracji „Przeglądu Powszechnego”, ul. Rakowiecka 61, 02-532 Warszawa, dokonując jednocześnie wpłaty na konto naszego miesięcznika: Bank PKO VI Oddział w Warszawie, nr konta 1560-51624-136, ul. Bagatela 15, 00-585 Warszawa. Cena książki – 380 zł.



Mówić prawdę

Z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim rozmawia
Beata Chmiel

– *Pierwszą książką wydaną przez Instytut Literacki były „Księgi narodu i pielgrzymstwa”, w których mówi się, iż duszą narodu polskiego jest pielgrzymstwo. Czym jest dziś emigracja dla pisarza?*

– Trudno być pisarzem emigracyjnym i chyba tego dowodzić nie trzeba. Jest to sytuacja nienaturalna. Oderwany od swego rynku czytelniczego, musi on liczyć przede wszystkim na swoich emigracyjnych czytelników, a tych jest niewiele. Pisarz ma dostęp do kilku pism wychodzących za granicą, do kilku skromnych wydawnictw, choć dziś zmieniło się to już w pewnym stopniu. Literatura pisana na emigracji nie jest już zjawiskiem wyłączonym i stała się częścią – bardzo bogatą, jak sądzę – współczesnej literatury polskiej. Świadczy o tym chociażby proceder przywracania literaturze pisarzy emigracyjnych prawie natychmiast po ich śmierci, czego dowodem są wydania krajowe Gombrowicza, Stempowskiego, Vincenza i innych, także mniejszych pisarzy. To także – częściowa choćby – obecność Miłosza. Ciągłe jeszcze wiedza o literaturze polskiej pisanej poza granicami kraju, „źle obecnej”, jest wyrywkowa.

To cienie, ale są i blaski. Przede wszystkim życie na emigracji pozwala pisać bez żadnych zahamowań, słuchać sumienia i głosu wewnętrznego, nie licząc się z żadnymi względami zewnętrznymi. Pisarz jest, krótko mówiąc, wolny od cenzury, i z tego głównie powodu postanowił pozostać na emigracji. Trzeba być tego świadomym, przyjąć wolność nie szarpiąc się w ustawicznym rozdarciu między krajem a emigracją, mieć poczucie ważności emigracji.

Dla pisarza są jeszcze i inne zalety bycia emigrantem. Jedną z udręk, zwłaszcza na początku tworzenia poza naturalnym środowiskiem, jest lęk przed utratą kontaktu ze swoim językiem, a przez to zubożenie warsztatu pisarskiego. Tym argumentem zresztą posługiwano się najczęściej w kraju, pisząc – ironicznie lub mniej – o perspekty-

wach literatury emigracyjnej. Jak gdyby niektórzy wierzyli, że umrze ona śmiercią naturalną, że wyschnie, a pisarz żyjący w środowisku obcym i nie mający kontaktu ze swoją mową rodzinną po prostu przestanie pisać. Paradoksalnie, ta izolacja pozwala doskonalić swój własny język. Bardzo wyraźnie to odczuwam, porównując piszących w kraju i na emigracji. Jest uderzające, jak często zauważa się u pisarzy emigracyjnych wydostawanie stylistyczne, jak gdyby ucho usubtelniało się na język.

Przypomina mi się zawsze pouczający przykład. Gdy został wydany pierwszy emigracyjny tomik wierszy Miłosza, w prasie krajowej ukazała się recenzja znanego skądinąd krytyka, Zbigniewa Bieńkowskiego, w której stwierdzał on, że język Miłosza drewnieje, schnie. Ta przepowiednia poetyckiego zamierania, jak wiemy, nie sprawdziła się. Miłosz jako poeta zaowocował właśnie na emigracji. To przypomina mi też, jak bardzo porównywalne są sytuacje rozmaitych emigracji. Pamiętam, jak zaraz po wojnie wrócił do Włoch jeden z najwybitniejszych pisarzy, Ignazio Silone. Jego koledzy po piórze usiłowali przekonać wszystkich, którzy chcieli i którzy nie chcieli tego słuchać, że jego język jest martwy, oderwany od źródła. Dziś nikogo nie trzeba przekonywać o fałszywości tej diagnozy.

Izolacja czy samotność w obcym środowisku pozwala skupić się na sprawach, które pisarza prawdziwie pochłaniają, przez co staje się on bardziej twórczy. Bardzo uważnie śledzimy na przykład to, co się dzieje w kraju, o wiele uważniej niż nasi krajowi koledzy, którzy nad wieloma rzeczami przechodzą do porządku dziennego i nieuważnie czytają. Ale oczywiście brak naszej uwadze jednej cechy. I jest to nieuchronne. Wiedząc wiele o tym, co się w Polsce dzieje i uważnie obserwując i analizując, często trafniej i dalekowzroczniej niż czyni się to z perspektywy krajowej, operujemy ciągle materiałą półabstrakcyjną. Brak nam „codziennego mięsa”, tego, z czym styka się w normalnym życiu mieszkający w swoim kraju, dla którego słowo znaczy więcej niż jego definicja, gdyż zna także praktykę. Jest to zatem myślenie nie poparte konkretem z życia codziennego, za to pogłębione obserwacją na dystans.

Pisarz zyskuje jeszcze więcej dzięki emigracji. Z racji życia tutaj, w przypadku takim jak mój od wielu, wielu lat, zna

zjawiska i procesy europejskie lepiej i głębiej, w związku z czym nie ma tak częstej w Polsce tendencji do idealizowania Zachodu. I ten kontekst Europy jest bardzo ważny, nadaje naszym analizom większego znaczenia. Są więc i blaski, zwłaszcza jeśli pamięta się, co jest powodem pozostawiania pisarza na emigracji.

– *Mówi się często, że cechą społeczności wyłączonej, jaką jest emigracja, są „potępieńcze swary”.*

– Bez najmniejszych tendencji do idealizowania mogę powiedzieć, że często pewne zjawiska zachodzące na emigracji widzi się ostrzej dlatego, iż są one wyłączone z szerszego kontekstu. *Potępieńcze swary* istnieją też w kraju, tyle że rozprzyskają się w wielkiej panoramie. Tu widać je po prostu jaskrawiej, ale niewiele różnią się od normalnych mechanizmów życia literackiego w krajach, w których pisarze mieszkają u siebie w domu. Nie jest to bowiem cecha wyłącznie polska. Gdy przeszło dziesięć lat temu zaczęli przyjeżdżać na Zachód pisarze rosyjscy, wybuchnęły konflikty, które nabrały wielkiej ostrości. Uważam za normalne, że istnieją spory – i to zasadnicze – między, na przykład, Solżenicynem a Siniawskim. I nie należy tego wybłzyszczać.

– *Emigracja romantyczna w sposób nieodwracalny wywarła wpływ na kształt kultury polskiej. Czy podobną rolę odegra emigracja współczesna, a skupienie przebywających tu pisarzy da rezultaty znaczące bardziej niż nijaka literatura tworzona w kraju?*

– Wiemy, jak kolosalny wpływ na czytelnika i na literaturę polską wywarło odkrycie dwóch wielkich pisarzy emigracji – Gombrowicza i Miłosza. Literatura polska pisana na emigracji, wracając do kraju nawet w tak cząstkowej formie, zaczyna odgrywać coraz większą rolę. Jeśli porównuję to, co się dzieje od dziesięciu w przybliżeniu lat z pierwszym okresem funkcjonowania emigracji powojennej, to zmiana jest zasadnicza. W tej pierwszej fazie uważało się emigrację za zjawisko skazane na wymarcie. Przez wiele lat spotykałem kolegów z Polski, którzy traktowali mnie jak „bywszego cielewiewka”, który nie wiadomo dlaczego uparł się pisać. Z sympatią zresztą, ale podszytą zbyt pospiesznym współczuciem. Dzięki właśnie uporowi, pracy, a przede

wszystkim talentom pisarzy emigracyjnych, to się całkowicie zmieniło. Jestem pewien, że za jakiś czas literatura pisana na emigracji zostanie oceniona w pełni swej wartości, a pisanie jej opracowań będzie zajęciem pasjonującym.

Nie chcę tu robić żadnych porównań między wartością literatury pisanej w kraju i na emigracji, ciągle jednak czekam na powieść napisaną w Polsce, która potrafiłaby ująć rzeczywistość dotykaną przez pisarza tam właśnie żyjącego. Takiej książki właściwie nie ma. Tu posunę się już do przykładów. Weźmy pisarza już nieżyjącego, Jerzego Andrzejewskiego. Jego „Popiół i diament” jest książką napisaną niewątpliwie z talentem, ale fałszywą, co dzisiaj coraz lepiej rozumiemy. Ja zrozumiałem to już w pierwszej chwili i napisałem wówczas dla londyńskich „Wiadomości” artykuł zatytułowany „Realizm kierowany”. Dziś ta sprawa powraca, że przypominę tekst Sławomira Mrożka napisany dla „Kultury”. Ale, o ile wiem, jest to powieść ciągle zalecana jako lektura szkolna i wciąż wznawiana w wielkich nakładach.

Niech Pani weźmie inną powieść Andrzejewskiego, „Miazgę”. W moim przekonaniu rozgrywa się ona na poziomie tego, co nazywamy salonami warszawskimi. Polski prawdziwej prawie nie widać. Pomijając doskonałą partię tej książki, jaką są życiorysy Polaków, powieść jest słaba i nie można o niej powiedzieć, że próbuje zająrzeć w oczy dookólnej rzeczywistości.

Nie zamierzam tu mówić o okresie zwanym realizmem socjalistycznym, gdyż należałoby użyć wtedy określeń dosadnych, czego nie chcę robić. Jest to zresztą rozdział – jak się wydaje – zamknięty. Mówię o pisarzach, którzy naprawdę coś znaczą, nie chcę bowiem porównywać pisarzy niewspółmiernych, bo w dużej mierze jest to kwestia talentu. Ale gdy myślę, że w Rosji powstał „Doktor Żiwago”, powieść która odpowiada na pytania tak zasadnicze, jak to, czym była rewolucja, i jest przejmującym i bardzo pięknym obrazem świata po rewolucji, to sytuacja literatury polskiej budzi mój niepokój. W Polsce nie powstał bowiem żaden utwór na tę miarę. Są rzeczy bardzo dobre, ale są one migawkowymi spojrzeniami. Z ciekawością przeczytałem na przykład „Kamień na kamieniu” Myślińskiego, która to powieść daje obraz wsi polskiej, ale na

ogół są to rzeczy ułamkowe. Zdaje się, że pisarze polscy – choć nie chcę tutaj generalizować – są oderwani od społeczeństwa w najszerszym tego słowa znaczeniu, żyją w swojej stratosferze, czy to władzy jak dawniej, czy to inteligencji opozycyjnej. Ta również wydaje się być poza rzeczywistym życiem narodu. Pewna zmiana – zmiana błogostawiona – zaszła w 1980 r. i może wyda ona owoce. Nie może więc dziwić, że nie ma np. dobrej powieści o życiu robotników. Ostatni raz zajmowano się nimi właśnie w minionym okresie realizmu socjalistycznego, a wiemy, jak powieści te były wylakierowane i nieprawdziwe.

Niech Pani także pomyśli, że książka tak znana i tu, i tam, jak „Mała apokalipsa” Konwickiego, rozgrywa się w kręgu zupełnie specyficznym. Znowu, nie daje obrazu Polski, daje obraz – moim zdaniem zresztą niezbyt trafny – pewnej grupy ludzi. Wystarczy pamiętać, że wkrótce po jej napisaniu był sierpień 1980 r., a to przeczy apokaliptycznym wizjom Konwickiego. Nie chcę tu ujmować nic jego talentowi, ale na tym przykładzie można zobaczyć, jak bardzo są to rzeczy cząstkowe.

Książka, która nie jest wszak powieścią, gdyż miesza rozmaite gatunki, „Rozmowy polskie” Jarosława Marka Rymkiewicza, mówi znacznie więcej o Polsce niż powieści choćby wymienionego tu Tadeusza Konwickiego. Jest w niej śmiała ambicja pisarska, nie mówiąc już o tym, że jest wzruszająca i ślicznie napisana.

Powiadam jeszcze raz, że nie chcę tu wdawać się w oceny różnych pisarzy, wymieniłem dwa, trzy nazwiska tytułem przykładu. Co jest ciekawe, że owa nędza powieści nie jest zjawiskiem polskim wyłącznie. Kryzys tego gatunku jest odczuwany w całym świecie, tyle że w krajach Wschodniej Europy i w Rosji powieść jest bardziej oczekiwana przez czytelników. Wydaje się poza tym, że w porównaniu z Europą Zachodnią, gdzie brak jest materii powieściowej, tam rzeczywistość dzieje się w dramatycznym spięciu. Powieści zachodnioeuropejskie powstają z zapatrzenia się w siebie, we własny pępek, jak mawiał Jerzy Stempowski, natomiast we Wschodniej Europie powieść mogłaby być równie żywa jak w Ameryce Południowej.

Powieść na Zachodzie usycha. We Włoszech, które znam najlepiej, jest wyraźna tendencja do znajdowania gatunków

pośrednich, na pograniczu chociażby eseju i powieści. I tak za najlepszego obecnie pisarza włoskiego uważam Leonardo Sciascię, który nie pisze wszak tradycyjnej prozy. Ale, co charakterystyczne, największą powojenną powieścią włoską jest już nawet nie to, że tradycyjna, ale wręcz staroświecka powieść Tomasi Lampedusy „Il Gattopardo”, przetłumaczona na polski pod błędnym tytułem „Lampart”. Tak zwani literaci wybrzydza na tę jej właśnie staroświeczność, uważając nawet, że jest ona napisana pod pseudonimem przez jakąś starą pannę w Palermo. Z podobną krytyką spotkał się także „Doktor Żiwago”.

Oczywiście, nie znaczy to wszystko, że nie istnieje dobra literatura polska. Mamy tak wielkich poetów, jak Herbert, Szymborska, jak z takimi czy innymi zastrzeżeniami Różewicz. A najważniejsze książki ostatnich lat, moim zdaniem, są właśnie książkami eseistycznymi. Jeśli chcieć wymienić choć przykładowo, to będzie to z całą pewnością „Klasycyzm, czyli Prawdziwy Koniec Królestwa Polskiego” Ryszarda Przybylskiego i tu dodałbym jeszcze pierwszy tom (niestety, tylko pierwszy jak dotychczas...) jego niezwyklej książki o Dostojewskim.

- Próbuję od dawna znaleźć przyczynę ułomności współczesnej literatury, która nie potrafi twórczo przetwarzać rzeczywistości. Zapisywanie chaosu świata wydaje się już w tej chwili zajęciem nudnym i jałowym. Gdzie pisarze zgubili wyobraźnię?

- Dotyczy to nie tylko literatury. Byłem ostatnio w Paryżu na wystawie „Terremoto” („Trzęsienie ziemi”). Siedemdziesięciu znanych malarzy poproszono o nadanie plastycznego wyrazu trzęsienia ziemi w Neapolu i okolicach. Wystawa była dla mnie wstrząsem, gdyż dawała przerażający wyraz brakowi wyobraźni. Najlepsze okazały się rzeczy już tak skromne, że niepotrzebny był artysta, jak na przykład kupka kamieni wulkanicznych czy deski ze zburzonych domów. Ci, którzy próbowali czegoś dokonać za pomocą wyobraźni czy wrażliwości, niczego nie potrafili pokazać. Jeden z najbardziej znanych malarzy biorący udział w wystawie, Andy Warhol, zrobił trzy ogromne fotokopie neapolitańskiego dziennika „Il Mattino”, który przynosił wiadomość o trzęsieniu ziemi. Czarną, szarą i białą. I nic więcej.

Trudno się zalić, że nasze czasy nie są czasami ciekawymi. Na pewno nie można uskarżać się na brak tematów, ale być może brak jest dramatycznego spięcia. Nie wiem. Powieść żyje w Rosji, gdzie nawet, a może właśnie przede wszystkim w najgorszych czasach była tworzona, byśmy mogli pewnego dnia odkryć przywoływanego tu już „Doktora Żiwago” Borysa Pasternaka, „Mistrza i Małgorzatę” Bułhakowa, powieści i opowiadania Platonowa, powieści Zamiatina, Solżenicyna i wielu innych. Być może jest tak, że procesy zachodzące w Rosji są bardziej „fotogeniczne” dla pisarza.

A być może jest tak jak w przypadku czeskim. Należy przede wszystkim spróbować poważnie i głęboko spojrzeć na otaczającą rzeczywistość. U Kundery jest ten wysiłek i nie jest to wysiłek ostatnich lat. Jego najlepszą powieścią jest bez wątpienia napisany w latach sześćdziesiątych „Żart”.

Tymczasem dostałem dwie książki, uznane za najlepsze napisane ostatnio w Polsce, to znaczy Konwickiego „Nowy Świat i okolice” i Rudnickiego „Krakowskie Przedmieście pełne deserów”. Powiem szczerze, że są one żenująco egocentryczne i nie jest to najlepsze świadectwo dane literaturze polskiej.

– *Odpowiedź: albo ja, albo historia jest wyborem wedle mnie fałszywym, bo weźmy choćby Gombrowicza...*

– Gombrowicz jest bardzo specjalnym przykładem pisarza, który stworzył swój obraz świata i związany z tym warsztat pisarski, czego najlepszym dowodem jest trytomowy „Dziennik”, który jest powieścią o sobie w kształcie dziennika. Ale niech Pani weźmie tak wybitnego pisarza jak Miłosz. Jest on przede wszystkim wielkim poetą i eseistą, ale napisał dwie powieści, z których jedna, „Dolina Issy”, jest prześliczną, nostalgiczną opowieścią o własnej młodości. Taką powieść mógłby napisać każdy wielki poeta przenosząc się w *kraj lat dziecińczych*. A druga, „Zdobycie władzy”, jest to próba spojrzenia na rzeczywistość powojenną i jest po prostu powieścią słabą, choć miejscami inteligentną.

Wielki przełom październikowy 1956 r. dał jako sztandarowy utwór „Poemat dla dorosłych” Ważyka. Cokolwiek by się o tym sądziło, jest to naprawdę za mało. Zadziwiające i niepokojące zjawisko.

– *Jaka jest przyczyna, że wybrał Pan jako formę dziennik, nie dający prawie możliwości fabularnych. „Dziennik pisany nocą” jest niezwykle heterogeniczny, tak tematycznie jak i formalnie. W ostatnim tomie z lat 1980–83 integralną częścią stają się opowiadania, wyraźnie związane z doświadczeniem zapisującego.*

– *Pisze się zawsze sięgając do własnego doświadczenia. Nigdy nawet nie próbowałem pisać powieści, jestem do tego niezdolny. Znalazłem zatem taką formę, która pozwala zapisać to, co najbardziej interesuje mnie w otaczającym świecie. Jestem jego obserwatorem, a opowiadania są pośrednim czy nawet metaforycznym sposobem komentowania. Jest to oczywiście forma, która stanowi dowód niemości czystej narracji czy nicufości wobec niej, a zatem szukania form pośrednich czy przemieszanych. Ale dziennik i opowiadania nie są zbiorem przypadkowym. Wedle moich pragnień mają stanowić całość.*

– *Zestawia się często Pański [— — — —] [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 3 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)] z obozowymi opowiadaniem Borowskiego, ale książki te są wedle mnie obrazami różnych postaw: wypalenia Borowskiego przez doświadczenie i wiary w człowieka wbrew doświadczeniu. Wróć tu do zakończenia [— — — —] [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 3 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)], do opowiadania „Epilog czyli upadek Paryża”, które kończy się tak: „Gdybym to powiedział komukolwiek z ludzi, wśród których teraz żyję, /.../ nie uwierzyłby, lub uwierzywszy nie podałby mi ręki. Ale ty, ty przecież wiesz do czego nas doprowadzono. Powiedz tylko jedno słowo: rozumiem...” W opowiadaniu to słowo nie pada, natomiast cała Pana twórczość jest odpowiedzią.*

– *Ta książka jest odpowiedzią i jest to jej wymiar pośpny. Przeniesiony w inny wymiar życia nie mogą już stosować dawnych kryteriów czy sądów. Wydaje się, że wytlumaczeniem losów Borowskiego może być to, iż był on przesiąknęty tym, co widział. Przed oczyma miał ciągle wyniesioną z Oświęcimia wizję życia i według mnie do końca nie mógł się z niej wyzwolić, co dostrzegał przenikliwie Miłosz w szkicu zamieszczonym w „Zniewolonym*

umysłu". Jest to więc problem wyjścia lub pozostania [— — —] [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 3 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)].

- *Wydaje się, że po takim doświadczeniu Rosji winno się pojawić jej odrzucenie, gdy tymczasem w Pańskiej twórczości widać fascynację jej kulturą, zrozumienie, a co najważniejsze, współodczuwanie przy zachowaniu, zarówno w [— — — —] [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 3 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)] jak i w późniejszych szkicach o literaturze rosyjskiej, wierności wartościom uznawanym za europejskie.*

- Przeżyłem okres opisywany w [— — — —] [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 3 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)] wśród ludzi, którzy byli mi bliscy, wśród towarzyszy niedoli. To ich widziałem przede wszystkim i ich pamiętam. To ma kolosalne znaczenie. A poza tym jestem naprawdę głęboko przekonany, że przyszłość nasza w dużym stopniu zależy od tego, czy potrafimy znaleźć wspólny język i porozumienie z Rosjanami. I wierzyłem bardzo głęboko, jak okazało się potem, nie bez podstaw, że kultura rosyjska przetrwała przez ten najcięższy okres, że Rosja jest częścią Europy. Wielkie jej książki dowodzą tej tezy. Nie ma rzeczy gorszej, jak myślenie w kategoriach stereotypu. A to jest niesłychanie rozpowszechnione w Polsce.

Od swoich przyjaciół-towarzyszy niedoli wiele się nauczyłem. Przede wszystkim przyjąłem jedną rzecz, o której Polacy po wyjściu z Rosji bardzo szybko zapomnieli. To znaczy, że są tam ludzie, którzy nie mieli szczęścia być obywatelami innych krajów i korzystać z amnestii, tak jak skorzystali z niej Polacy w 1941 i na początku 1942 r. Oni tam pozostali. Pamiętam jako rzecz bardzo przykrą, że Polacy wychodzili z Rosji z uczuciem, że to, co zostawili za plecami, już ich nie dotyczy, że to inna cywilizacja. Jedyne człowiek z piszących, który był mi bardzo bliski, który rozumiał fałsz tej sytuacji, to Józef Czapski. Opisał ją w książce [— — — —] [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 3 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)]. U niego było to o wiele głębsze, bo wychował się i wyrósł w kulturalnych tradycjach Rosji.

– *W kulturze polskiej pokutuje ciągle uczucie obcości wobec kultury rosyjskiej. Przykładem nąjczęściej przywoływanym jest tu Dostojewski.*

– Oczywiście, kultura rosyjska jest inna. Dostojewski nie tylko dla Polaków, ale w ogóle dla czytelników na Zachodzie jest czymś odrębnym, ale doceniana jest jego wielkość wykraczająca daleko poza ramy tzw. rosyjskości. Brzozowski rozumiał to bardzo dobrze, ale i jego twórczość była uznawana przez rodaków za zatrutą właśnie rosyjskością. Tu wystarczy przywołać „Płomienie”.

Jest to problem już nie tylko reakcji emocjonalnych. Odczuwam głęboką potrzebę przełamania tych stereotypów. Nie się już nie zmieni w naszym położeniu. To są nasi sąsiedzi i musimy ich zrozumieć. Nie wystarczy powiedzieć, że nas to nie dotyczy i odwrócić się plecami. Jest to sytuacja zupełnie fałszywa. Tam mieszkamy i tam jesteśmy, i dlatego nas to dotyczy. Ten wysiłek zrozumienia winien być ciągły. Trudno mi ocenić – Pani winna to lepiej wiedzieć – ale wydaje mi się, że jest wciąż słaby, że przeważa wciąż nieufność, że niechętny jest wciąż stosunek do literatury rosyjskiej bez względu na to, co zawiera. Nie zrobiono koniecznej dystynkcji pomiędzy tym co ważne i tym co nieważne.

Jest w tym także wina rozmaitych ludzi, nie tylko czytelników. Tu otworzę drobny nawias. To, że nie ukazał się w Polsce natychmiast po napisaniu – a była taka możliwość – „Doktor Żiwago”, jest winą meskinerii i głupoty Ziemo-wita Feddeckiego, powołanego z urzędu do zajmowania się literackimi stosunkami Polski z jej wschodnim sąsiadem.

Pocieszające jest, że poznałem wielu młodych ludzi, którzy z pasją czytają literaturę rosyjską. Jest więc nadzieja na przełamanie tak silnych uprzedzeń, pogłębionych jeszcze na skutek politycznych uwarunkowań.

– *Rzeczywistość w Pańskich utworach – w odróżnieniu, że znowu wróć do porównań, od literatury tworzonej w kraju, wpatrującej się w rzeczy drobne i będącej swoistą delectacją ubóstwa czy brzydoty – jest wizją pełną, obejmującą przyrodę, sztukę, historię, politykę... Nie stroni też od spraw przykrych czy dramatycznych. I mimo że nie jest to wizja świata jako ładu uspokojonego, nasycona jest w każdym swym ułamku nie tylko afirmacją życia, ale zawiera jego metafizyczny wymiar. Jest obroną człowieka pełnego.*

– Afirmacja życia szuka całego jego bogactwa przy całym jego dramatyzmie. Jeżeli pisarz tego nie ma i nie stara się zrozumieć metafizycznego wymiaru rzeczywistości, to może nawet mieć talent, ale zawsze będzie mówił niewiele o tym, co dzieje się wokół niego i w nim samym. Jest coś w rodzaju podskórnego strumienia religijności, bez którego literatura jest uboga. Gdzie wchodzi w grę sprawy poważne, tam zawsze można doszukać się pytań religijnych. Jakkolwiek sam demonstracyjnie ogłaszał się ateistą, Gombrowicz stawia pytania prowadzące dalej, poza naskórkową rzeczywistość. Żadna literatura poważna nie może ignorować tych pytań.

– *Literatura polska w swych rozstrzygnięciach sięga dziś najchętniej do historii, stawiając pomost pomiędzy współczesnością a dziewiętnastowiecznymi przede wszystkim dziejami Polski. Tam szuka odpowiedzi na dzisiejsze pytania.*

– Nie wolno zapominać, że jesteśmy w innym czasie, ale i nie można odciąć się od historii. Poczucie historyczności powinno być głębokie nie tylko u Polaków. Zainteresowanie historią nie jest ucieczką od rzeczywistości, lecz próbą jej zrozumienia. Pytania powtarzają się wciąż te same, nie powtarzają się rozwiązania.

I jest jeszcze jedna rzecz ważna. Nie możemy zapomnieć o zakłamaniami w historii. Jestem pod świeżym wrażeniem książki francuskiego historyka, Daniela Beauvais o Polakach na Ukrainie pomiędzy listopadowym a styczniowym powstaniem. Jest to książka bardzo przynębiająca, ale jest niesłychanie ważne, żeby to właśnie, o czym pisze Beauvais, wiedzieć. Do świadomości przeszła uróżowiona wersja naszej historii. W ostatnim numerze „Przeglądu Powszechnego” jest artykuł pani Krystyny Kersten zatytułowany „Moja przygoda z historią”^{*}, w którym autorka mówi o historii, z którą trzeba się zmierzyć, a nie historii układania schematów. I dlatego zainteresowanie historią jest cenne, musi być tylko bardzo krytyczne. Trzeba unikać wszelkiej apologetyki i mówić prawdę, choćby gorzką. Trzeba spisywać świadectwa, a nie tworzyć mity.

Oczywiście, jest zrozumiałe istnienie w życiu narodu mitów, które go karmią, ale znać trzeba prawdę. Takim

^{*} K. Kersten, *Moja przygoda z historią najnowszą*, „PP” 3/1987, s. 268 (przyp. red.).

współczesnym mitem jest niewątpliwie powstanie warszawskie, a będzie nim okres „Solidarności”. Ten mit już istnieje i uważam za istotne, by przetrwał. Ale trzeba poznawać prawdę o tym czasie, a nie zawsze jest ona radosna. Był to ruch niezwykle, ale nie mogło nie być w nim – jak w każdym wielkim ruchu – błędów, głupstw i małości.

Polacy w znacznym stopniu wychowani są na Sienkiewiczowskiej formule pokrzepiania serc, ale dlatego właśnie stałym wysiłkiem instytucji, w której pracuję (i tu pomijam już „Kulturę”), „Zeszytów Historycznych”, i ich redaktora, Jerzego Giedroycia, jest pokazywanie nawet nieprzyjemnej prawdy. Jest o wiele ważniejsze doceniać historię swojego narodu znając jego małości, niż wyrastać w atmosferze ogólnego zachwyty, wielkości i bohaterstwa. A że się nie udaje... Cóż, to wina innych, całego świata. Jestem tu absolutnie zgodny z Jerzym Giedroyciem. W mówieniu prawdy jest tylko jedna granica, w moim przekonaniu. Jest to granica fałszu. Z jednej strony będzie to więc wpatrywanie się w naszą promiennność, z drugiej strony lekceważenie i zaprzeczenie wszelkim wartościom. Trzeba znajdować zawsze złoty środek.

No to co, napijemy się herbaty?

Neapol, 6 kwietnia 1987 r.



Jacek Kolbuszewski

Kresy jako kategoria aksjologiczna

W potocznym i powszechnym rozumieniu pojęcie kresów wiązało się niemal jednoznacznie z byłymi wschodnimi obszarami Rzeczypospolitej, przy czym rzeczywisty jego zakres geograficzny nie był stały. Rozumiane jako atrybut nazwy geograficznej kresy w różnych czasach oznaczały stopniowo zmieniające się terytoria, coraz to zresztą przesuwające się w kierunku zachodnim. Zauważając nadto, iż częstotliwość użycia tego słowa w potocznej polszczyźnie siłą rzeczy zmalała, trzeba zatem – rozważając w jakikolwiek sposób zagadnienia związane ze sposobem istnienia i funkcjonowania czy tego pojęcia, czy różnego rodzaju zjawisk kresowych w świadomości zbiorowej, literaturze i kulturze, w nieunikniony sposób zaczynać od przypomnienia i budowania definicji¹. Godzi się zatem dla jasności wyводу przypomnieć, że tej ekspresji znaczeniowej, jaką mają polskie „kresy”, nie mają obce odpowiedniki słownikowe tego wyrazu (niem. „Grenzland”, fr. „confin”, ang. „Borderland”, słow. „pohraničie” etc.). Polskie „kresy” mają większą pojemność emocjonalną i sumienne słowniki języka polskiego wiążą je właśnie z wschodnimi pograniczami Rzeczypospolitej. „Słownik etymologiczny” A. Brücknera wiąże to słowo z niemieckim „Kreis” i wskazują m.in., że „kreskować” to tyle co „głosować”, „wotować”. Najlepszą definicję owego pojęcia dał Z. Gloger: *KRESAMI zwano stanowiska wojskowe czyli wojskowe STÓJKI I POCZTY rozstawione na pobrzeżach Podola i Ukrainy, jako straż graniczne od napadu Tatarów i hajdamaków, a zarazem do przesyłania listów i znaków alarmu służące. Ponieważ służbę taką odbywano kolejno, na zmianę, czyli jak komu wypadła kreska, kresa, więc i nazwa stąd poszła. Ułożono kresy do przesyłania korespondencji przez wieś Zbukowicze, pisze Ochocki, „Bar-*

¹ Praca niniejsza jest kontynuacją i rozwinięciem pewnych myśli zawartych w znajdujących się w druku referatach: *Legenda kresów w polskiej literaturze pięknej* (konferencja „Kresy w polskiej myśli politycznej XIX i XX wieku”, Karpacz 1982) i *Z dziejów legendy kresów* (kollokwium „Między Wschodem a Zachodem”, Lublin 1985).

dzo prędko przez królewskie kresy przyszła odpowiedź" (Kraszewski). Nie tylko na pobereżu, ale wielu stronach Korony, zamieszkałych przez lud polski, służbę kolejną na stojce u wójta zwano „kresową” i znad Wisły wzięto nazwę na Ruś. Ponieważ linia czatowni pogranicznych, ciągnąca się przez stepy od Dniepru do Dniestru była łańcuchem takich stojek wojskowych, więc w mowie potocznej przyplątano czasem do nazwy kresów znaczenie granicy Rzplitej od Zaporozża, Tatarów, Wołoszczyzny².

W odróżnieniu od zwyczajnego pogranicza w pojęcie kresów wpisywało się zatem poczucie występujących na nich zagrożeń. Wskazywał to rozróżnienie Stanisław Eljasz Radzikowski pisząc, iż już od XVI w. *przestano przykładąć większe znaczenie do starostwa nowotarskiego, ponieważ granice od Węgier i cesarstwa uchodziły za kresy niezagrożone, a całą baczość wyteżono ku wschodowi Rzeczypospolitej. Toteż starostwo nowotarskie dostają ludzie, którzy wcale nie przebywają w Nowym Targu, możnowładcy mający gdzie indziej starostwa grodowe i piastujący różne wysokie godności, albo też kobiety, a w siedzibie starosty w Nowym Targu rządzi zastępca*³. W związku z ową sytuacją zagrożonych starostw pogranicznych obowiązywały na nich nieco inne przepisy prawne, co spowodowało istnienie specyficznej terminologii prawnej, w której pojawiały się pojęcia sądu kreskiego, prawa kresowego bądź prawa kreskiego i nawet ksiąg kreskich. Franciszek Piekosiński ogłaszając w 1889 r. drukiem „Akta Sądu Kryminalnego Kresu Muszyńskiego” wyjaśniał – wedle relacji Teofila Emila Modelskiego – *comto jest kres a co prawo kreskie. Kres zwany także kresem biskupim państwa i starostwa muszyńskiego, lub pokrótce kresem muszyńskim, oznacza klucz muszyński czyli miasteczko Muszynę wraz z przyległymi wsiami, należącymi do biskupstwa krakowskiego. Kres leżał już na samej granicy węgierskiej czyli na kresie od Węgier*⁴. Modelski wyjaśnił także, że nazwa kres wiąże się z niemieckim Kreis i była używana w stronach zamieszkałych przez żywioł niemiecki. Także okrąg czyli dystrykt podoliniecki względnie lubowelski (dostrictus) nosił nieraz tę nazwę, jak też inne okręgi; np. czytamy pod r. 1522 „Wir Richter und Rath der Stadt Kaysmarekt in oberkreys der ckron Ungern in Zips gelegen”⁵. Dodajmy, iż Modelski cytuje także notę z 1700 r.

mówiącą, iż *zjechało Prawo kreskie to jest Urodzony Pan Graff z PP Szóltysami całego Kresu Lubowskiego* i przytacza teksty świadczące o stosowaniu pojęcia ksiąg kreskich.

Wśród zasługujących na uwagę faktów wymienić wreszcie warto i ten, że w języku siedemnastowiecznej homiletyki pogrzebowej słowo „kres” oznaczało – jako kategoria zarazem czasowa i przestrzenna – śmierć, czyli kres życia, jak o tym zaświadcza np. tytuł kazania Franciszka Wolskiego „Podkowa przy kresie dopędzonym odpadająca /.../ przy exequiach (Angele) Wielopolskiej” (Kraków 1633)⁶. Można na tej podstawie, nie odrzucając jego wyводу, zmodyfikować nieco wskazany przez Glogera sposób kształtowania się pojęcia kresów jako aksjologicznie nacechowanego substytutu nazwy geograficznej wschodniego pogranicza Rzeczypospolitej. Powstać ono musiało na drodze kontaminacji szeregu elementów: i owych służb nad Wisłą i na Rusi odbywanych wedle „kreskowanej” kolejności, i owych stojek pocztę i rozkazy przekazujących, ale na jego ukonstytuowanie istotny wpływ miała odmiennność statusu prawnego starostw przygranicznych, na których kierowano się „prawem kreskim”, czyli tym prawem, które rządzi na końcu własnego świata, zaś szczegółem niebagatelnym jest tu zwłaszcza fakt, iż „kres” oznaczał koniec. Kresy stawały się zatem „krainą końca” o własnej specyfice (także prawnej) i odmiennych prawach życia. Dlatego także dla dziejów znaczenia tego pojęcia niebłahy jest fakt, iż w języku polskim najpierw pojawiły się pojęcia służby i kresowego żołnierza, a później dopiero samych kresów jako owego substytutu kilku nazw geograficznych. W tym znaczeniu geograficznym słowo „kresy” zastosowane zostało i wprowadzone do literatury raczej późno; wydaje się, iż stało się to już po rozbiorach w XIX w. Wówczas wchłonęło ono różne aspekty znaczeniowe stanowiące o jego wartości emocjonalnej.

⁶ Z. Gloger, *Encyklopedia staropolska*, Warszawa 1912, t. 3, s. 98–99.

⁷ S. Eljasz Radzikowski, *Zakopane przed stu laty*, „Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego” XXII, 1901, s. 121.

⁸ T. E. Modelski, *Prawo kreskie w państwie muszyńskim i lubowskim*, odb. z Księgi Pamiątkowej ku czci Oswalda Balzera, Lwów brw., s. 1.

⁹ Tamże, s. 8.

¹⁰ Por. T. Piersiak, *Barokowa sztuka dobrego umierania*, „Polska Sztuka Ludowa” 1986, nr 1–2, s. 84 i 96.

Nie powtarzając tu szczegółów wyłożonych w innych miejscach⁷, ograniczę się do stwierdzenia, iż za sprawą szeregu wydarzeń natury historyczno-politycznej i pewnych czynników natury kulturowej oraz etnicznej kresy stały się (używam określenia Marii Janion) swoistym fantazmatem twierdzy, kumulującym sensy związane ze stanem oblężenia i obrony, a przez to wchłaniającym jakości znamienne dla rycerskiego ethosu. W ten sposób w pojęcie kresów wpisała się wyraźnie koncepcja ich całkowitej jedności z całością Rzeczypospolitej, uznana za jedną z podstaw szczęśliwości polskiego życia (W. Kochowski, „Skarga korony polskiej na zdradę narodów ukraińskich“). Zasada ta – w sensie politycznym i kulturowym, a w części nawet etnicznym – zachowała swą żywotność aż do powstania styczniowego⁸, mimo że w kulturze i literaturze romantycznej, żywo reagującej na doświadczenia rzezi humańskiej i dostrzegającej odmienną etniczną i kulturową Ukraińców oraz Białorusinów, pojawiały się silne tendencje do rozbijania takich iluzji. Niezależnie jednak od tego aż po rok 1863 ogół ziem południowo-wschodnich *nie przestawał być dla świadomości narodowej integralną częścią Polski*, jak rzecz ujmował Jasiński. Innym ważnym rysem znaczeniowym kresów była ich idealizacja jako „krajny mlekiem i miodem płynący” (S. Trembecki, W. Pol), szczególnego znaczenia nabierająca w romantycznym regionalizmie (M. Gosławski) i emigracyjnej poezji wspomnień (B. Zaleski). Romantyczna świadomość terytorialnej, nieraz etnicznej i kulturowej odmienności obszarów kresowych neutralizowana była z jednej strony przez wspomnianą tradycyjną koncepcję jedności kresów i całej Rzeczypospolitej, z drugiej przez różnie kształtowane i różnie werbalizowane romantyczne myśli o jedności Słowian (Z. Dołęga Chodakowski, K. Brodziński), bądź wreszcie przez doraźnie tworzone koncepcje w rodzaju tych, jakie tworzył sobie B. Zaleski, który pisał, że: *Najstarsze podanie słowiańskie zapisane u Nestora, uznaje rodową i plemienną tożsamość Polan dniewprowych z Polany wiślanymi, kijowscy są osadnikami kujawskich itd.*⁹ Zarazem nie wolno tu zapominać o roli romantycznego regionalizmu w kształtowaniu polskiej literatury i kultury romantycznej. Początek XIX w. przeciwstawił bowiem klasycystycznemu „centralizmowi” kultury polskiej prowincjonalizmy: litew-

ski, białoruski i ukraiński (nie mówiąc o regionalizmie byłych Inflant Polskich, który jednak takiej roli nie zdołał odegrać, choć był na swój sposób aktywny). Dość wspomnieć tu rolę, jaką odegrały Wilno, Krzemieniec i Lwów w kulturze polskiej. Sformułowana przez prof. Beauvais teza o moralnej i kulturalnej degrengoladzie polskiej szlachty na obszarach kresowych – z pewnością w szeregu aspektów prawdziwa¹⁰ – nie przeczy prawdziwości faktu, iż romantyczny regionalizm był u nas przede wszystkim regionalizmem kresowym, zaś dostrzegając etniczną obcość żywiołu ludowego dążył świadomie do podtrzymania jedności kresów z całością Polski, między innymi przez słowianofilstwo i romantyczny folklorizm. Dziesiątki utworów wielu autorów dostarczają tu przykładów najwymowniejszych, podobnie zresztą jak dowodzą świadomości, iż polska postawa wobec owego żywiołu ludowego jest wysoce niewłaściwa (J. I. Kraszewski i jego powieści „wołyńskie“). Jednakże kategoria kresowości najwydatniej ukazała swą żywotność w romantycznej idealizacji szlacheckizny, czego najwspanialszym wyrazem stał się „Mohort” W. Pola, będący apoteozą nie tyle samych kresów, ile kresowego żołnierza. Pomijając tu charakterystykę tego utworu dopowiedzmy tylko, iż powstawał „Mohort” w latach 1840–52, a zatem w czasie, gdy dokonywała się owa silnie przez D. Beauvais eksponowana degradacja społeczna, moralna i kulturowa polskiej szlachty kresowej, a wydany został w Krakowie w 1854 r. W istocie oznaczało to swoisty koniec pewnej epoki: „Mohort” był „podzwonnem dla kresów”, nie było to jednak zniweczenie kresowych wartości. Wręcz przeciwnie, owo dzieło dało kodyfikację wartości wpisanych w pojęcia kresów i kresowości. Ich atrybutami były zatem swojskość, jedność z całością Polski, bogata i heroiczna historyczna przeszłość, wyjątkowa uroda żyznego i bogatego krajobrazu. Kresowość była przeto także swoistym synonimem ethosu rycerskiego i gotowości do największych poświęceń w obronie ojczyzny.

¹ Por. referaty wymienione w przyp. 1.

⁸ B. Jasinowski, *Podstawowe znaczenie kresów południowo-wschodnich w budowie polskiej psychiki i świadomości narodowej*, „Pamiętnik Literacki” 1936, z. 2, s. 214–215.

⁹ B. Zaleski, *Wieszce oratorium*, Poznań 1866, s. 205.

¹⁰ Por. D. Beauvais, *Le noble, le serf et le revizor. La noblesse polonaise entre le tsarisme et les masses ukrainiennes (1831–1863)*, Montreux 1985.

Zarazem jednak mniej więcej od połowy XIX w. coraz wyraźniej owo poczucie kresowości eksponowało świadomość pewnej etnicznej odmienności „kresowców” jako ludzi dziedziczących kres i tradycje różnych narodowości. Dobrym świadectwem jest tu słynne B. Zaleskiego „U nas inaczej”, lepszym cytowany przez Stefana Kieniewicza list Jadwigi Kieniewiczówny ze stycznia 1860 r.: *Należę do kraju, gdzie od kilku pokoleń żyjemy, należę do narodu, którego pojęcia i uczucia tchnieniem rodzinnym wszczepione w serce, którego mówą pierwszą modlitwę wyjąknęłam. I jeśli tak trzymasz o mnie Litwinki, do nieoddzielne od POLKI-LITWINKI, jako córka, która rodu matki się nie wyrzeka, ale imieniem ojca się mianuje. I gdybym tak dalekich czasów w rodowodzie swoim domaćać się mogła, chciałabym widzieć jakiegoś praszczura w orszaku królowej Jadwigi niżli jakimś krywejtą w świętych gajach...*¹¹ Późniejszym, ale przez to bardziej jeszcze znamionnym, bo potwierdzającym trwałość takiego odczucia świadectwem, jest wiersz Hanny Zahorskiej (Savitri) „Duszo moja kresowa...”, napisany wkrótce po odzyskaniu przez Polskę niepodległości i bardzo znamienny dla kresowej atmosfery tamtego trudnego czasu – roku wydania zbioru, w którym wiersz się znalazł:

/.../

*Duszo moja kresowa, zapomniane kurhany
Przemawiają do ciebie skądś jękiem –
W tobie kilka narodów, w tobie szczep pomieszany
Woła kilku aż tęsknot oddźwiękiem...
W piersi kilka aż pieśni i niejedne w niej rany –
Wiele bojów w niej gada zbrój szczękiem...*

/.../

*Duszo moja kresowa, wielokrotnym twym graniem
Stara Litwa cię nęci, urzeka –
Dasz że porwać się znowu ukraińskim wołaniem?
Przestwórz, przestwórz na ciebie tu czeka...
Z kilku dźwięków tych – akord – swym anielskim zjednaniem
Stworzy Polskę jedyną od wieka*¹².

Tak więc mniej więcej w połowie XIX w. pojęcie kresów ogarniało trzy warstwy znaczeń. Pierwszą – topograficzną, jako równoważnik dawnych wschodnich (już nie tylko południowo-wschodnich, ale także północno-wschodnich) obszarów Rzeczypospolitej; drugą – mityczną, związaną

z coraz bardziej przemijającą arkadyjskością ziemiańskiego życia (ten wątek został reaktywowany w dwudziestoleciu międzywojennym, o czym będzie mowa). Warstwę trzecią stanowił fantazmat twierdzy – pola walki z bezlitośnie nacierającym i ograniczającym polską powierzchnię życiową wrogiem.

Wielka emigracja oraz szereg późniejszych wydarzeń historycznych spowodowały, iż najdalsze obszary kresowe, niezależnie od tego jak na nich aktywne było nadal polskie życie zbiorowe (w Kijowie zachowało ono tę wielkość do wybuchu pierwszej wojny światowej), zaczęły w drugiej połowie XIX w. coraz wyraźniej tracić znaczenie dla polskiego życia zbiorowego, które w formach uzewnętrznianych realizować się mogło tylko przez życie kulturalne, a zatem siłą rzeczy skupić się musiało w centralnie położonych miastach. Zarazem jednak warto pamiętać, iż pewne ośrodki kresowe, takie jak Kijów, Dźwińsk czy Witebsk, działały w poczuciu braku pełnej łączności z owymi centrami polskiej kultury, wykazując jednak świadome tendencje dośrodkowe¹³. Wskutek tego fantazmat kresowej twierdzy mógł się oderwać od swego skonkretyzowanego podłoża topograficznego i zacząć funkcjonować jako wartość symboliczna, związana z innymi przestrzeniami życia polskiego.

Najwyraźniejszym i najsilniejszym tego sygnałem był ogłoszony w 1864 r. na łamach „Ojczyzny” (nr 9) w Lipsku wiersz B. Zaleskiego „Do spółtułaczów” przedrukowany następnie w „Wieszczym oratorium” (Paryż 1865, Poznań 1866). Odwołując się do przejętego z tradycji zakresu wartości związanych z kresami, dał w nim Zaleski nową wykładnię znaczenia kresów, dowartościowującą pojęcie i zjawisko emigracji:

*Emigracja – to nowa polska Ukraina
Najeżona sławnymi Mogiłami tyłk –
Kresy wielkie – strażnicze – i od Moskwicina –
I od Niemca – co z dala do oczu nam pyłk.*¹⁴

¹³ S. Kieniewicz, *Dereszewicze 1863*, Wrocław 1986, s. 103.

¹⁴ H. Zahorska, *Dniom zmartwychwstania*, Wilno 1921, s. 3–4.

¹⁵ Por. M. Kudelka, *Krakowskim poetom, w: Poezje*, Lwów 1908; zob. też księgę zbiorową *Z okolic Dźwiny*, Witebsk 1912.

¹⁶ B. Zaleski, dz. cyt., s. 319.

Emocjonalna waloryzacja pojęcia kresów znalazła jednak wykładnię nie tylko symboliczną, ale i nowe zastosowanie praktyczne. W 1860 r. Jan Zachariasiewicz w powieści „Na kresach” wprowadził pojęcie kresów zachodnich, pisząc: *Nasze kresy zmieniły się. Od Dniepru i stepów ukraińskich przeniosły się nad Wartę i Noteć. Tu stać i o posiadłość naszą walczyć należy*¹⁵. W argumentacji Zachariasiewicza znamienne jest, iż wskazał on na dezaktualizację pojęcia kresów wschodnich i związanych z nimi polskich-rycerskich obowiązków. Gdy w czasowym sąsiedztwie upadku powstania styczniowego (a zwłaszcza w czasach silnych popowstaniowych represji) za kresowe zadanie polskiej szlachty uznana została obrona ziemi jako obrona polskiego stanu posiadania, Zachariasiewicz podkreślił, iż nierównie większa jest ta potrzeba na zachodnich krańcach Polski (*Dziś w Poznańskim każda wieś nasza, każdy majątek szlachecki, to reduta*¹⁶). Do owej polskiej sytuacji na ziemiach zachodnich dostosował Zachariasiewicz także inne, tradycyjne wyobrażenia o kresach i wartości kresowej sytuacji oraz kresowego ethosu. Szczególnie mocno podkreślił on, iż: *Życie na krańcach jednego i drugiego społeczeństwa, życie na krańcach stykających się z sobą dwóch narodów, wyrabia krańcowe pragnienia, tworzy ludzi wyjątkowych. Jeśli ten kraniec, stykający się z drugim, nie obumarł zupełnie, jak obumarta tyle plemion słowiańskich, to odbywa się na nim straszna, zacięta walka, niewidzialna dla oka powszedniego, walka dwóch napływających na siebie żywiołów, dwóch oświat, dwóch narodów*¹⁷.

Ten właśnie typ walki toczącej się na zachodnich obszarach Polski z naciskiem niemieckim sprawił, iż znalazło w niej zastosowanie pojęcie kresów. Istotnie bowiem ta walka oświat w zaborze pruskim, zwłaszcza zaś na Śląsku, zaczęła się od sekularyzacji zakonów w 1810 r. Rok 1815 ugruntował autorytet Prus: w pierwszej połowie XIX w. objawy polskości Śląska zaczęły się zacieśniać tylko do języka, co należy uważać za zysk polityki germanizacyjnej, nabyte nie bez mimowolnej pomocy jej przeciwników¹⁸. Jednakże w połowie XIX w. nastąpiła aktywizacja polskiego czasopiśmiennictwa na Śląsku, wzmoгло się polskie życie literackie i mocniej poczęły się zawiązywać związki Śląska z Kongresówką i Galicją (zasługi J. I. Kraszewskiego).

Stało się to na krótko przed dojściem do władzy Bismarcka (został kanclerzem w 1862 r.), nowej polityki pruskiej wobec Polaków na Śląsku i w całym zaborze pruskim (1863) oraz Kulturkampfu (1872–80). Zachariasiewiczza koncepcja kresów zachodnich zyskała w tej sytuacji znacznie istotnego oręża ideologicznego w walce o obronę polskości i polskiego stanu posiadania na tym zagrożonym obszarze, a zatem umacniała polskość w jej walce z germanizacją.

Pojęcie kresów zachodnich nie weszło do języka potocznego, w którym kresy ciągle, jak po 1939 r. (z pewnymi zmianami terytorialnymi) oznaczały wschodnie obszary byłej Rzeczypospolitej. Po 1918 r. bardzo już wyraźnie odróżniano dawne kresy od województw kresowych – wileńskiego, nowogródzkiego, poleskiego, wołyńskiego, tarnopolskiego, lwowskiego i stanisławowskiego¹⁹. Utracone kresy najdalej coraz bardziej stawały się mitem, zaś absolutna mitologizacja pojęcia kresów pojawiła się w wierszu J. Czechowicza „Przez kresy”. Było to jednak zjawisko późniejsze. Natomiast u schyłku XIX w. i z początkiem XX stulecia pojęcie kresów zachodnich znalazło szerokie zastosowanie w języku publicystyki, zwłaszcza politycznej, i odegrało pewną rolę w literaturze polskiej na Śląsku. Używał go J. L. Popławski (*walka, która się toczy na naszych kresach zachodnich, nie jest sprawą jednej dzielnicy, lecz sprawą żywotną całego narodu*²⁰). Wcześniej w 1880 r. S. Bełza skarżył się, że społeczeństwo polskie zapomniało o swoich kresach zachodnich i zarzucał W. Polowi rażącą jednostronność w opisie ziem polskich, uznając „przecoczenie” Śląska w „Pieśni o ziemi naszej” za *świadcstwo krótkowzroczności poety*²¹. Tę samą kategorię kresowości

¹⁹ J. Zachariasiewicz, *Na kresach. Powieść z naszych czasów w trzech częściach*, Lipsk 1867, s. 335.

²⁰ Tamże, s. 252.

²¹ Tamże, s. 67.

¹⁸ W. Ogrodziński, *Dzieje piśmiennictwa śląskiego*, Katowice 1946, s. 95.

¹⁹ Por. B. Jasnowski, dz. cyt., s. 220; w reportażach M. Wańkowicza z dwudziestolecia międzywojennego kresy zaczynały się już od Białegostoku!

²⁰ Stormutowanie z 1899 r. Por. T. Kulak, *Jan Ludwik Popławski – twórca polskiej myśli zachodniej przełomu XIX i XX wieku. Źródła „idei piastowskiej”*, „Śląski Kwartalnik Historyczny Sobótka”, 1985, nr 1, s. 49.

²¹ Por. A. Galos, *Problematyka zachodnia w publicystyce Stanisława Bełzy*, tamże, s. 20.

zastosował do Śląska Belza w szkicu „Dziesięć lat pracy na kresach. Kartka z przeszłości Śląska austriackiego” („Tygodnik Ilustrowany” 1882, nr 288–301, osobne wydanie Warszawa 1883). „Kresowemu dramatowi” ziemczanej Wielkopolski książkę „Z zachodnich kresów” (Kraków 1906) poświęcił Franciszek Morawski, zaś przedmiotem osobnej analizy stać się tu powinny także „śląskie” powieści A. Gruszeckiego²² czy „Warszawa” Mariana Gawalewicza. Nie pojawia się w nich wprowadzić termin „kresy zachodnie”, ale sposób ujęcia problematyki narodowej jest świadomym nawiązaniem do tradycji kresowych. Przedmiotem takiej samej analizy uczynić by należało świadome aluzje kresowe i nawet jawne próby wykazywania analogii między Śląskiem a kresami wschodnimi w twórczości pisarzy śląskich: księży Konstantego Damrota i Norberta Bończyka („Stary kościół miechowski” – a zwłaszcza wznowiona niedawno „Góra Chelmska”). Tendencja tego rodzaju w literaturze polskiej na Śląsku była silna i choć dzisiaj jeszcze nie znamy jej rozmiarów, to jednak wiemy, że zapoczątkowana została już w 1866 r. przez Edwarda Świerkowicza w sztuce „Pogranicze, czyli Order Włodzimierza”, będącej, nawiasem mówiąc, przeróbką jakiegoś dzieła... niemieckiego. Równie znamieny dla sposobu budowania swoistej atmosfery „kresowości” był niezwykle na Śląsku silny kult twórczości A. Mickiewicza, J. Słowackiego, B. Zaleskiego i później H. Sienkiewicza. Utwory ich (bądź wybrane fragmenty odpowiednich dzieł) przedrukowywane były często przez śląskie czasopisma i kalendarze, wydawane książkowo, inscenizowane przez amatorskie teatry („Mazepa”), recytowane; wchodziły w ten sposób w obieg specyficznie śląski, ulegając – przez swą „kresowość” – specyficznej instrumentalizacji. Miarą skuteczności oddziaływania tego rodzaju tendencji jest fakt, iż wkrótce po pierwszej wojnie i powstaniach śląskich powstała w Cieszynie spółka wydawnicza „Kresy”, mająca swój udział w gorliwej na Śląsku popularyzacji nie tylko „Krzyżaków” Sienkiewicza, ale także dzieł W. Syrokomli, W. Pola, J. Słowackiego, i jakże „kresowego” H. Rzewuskiego. Innym dowodem pewnego zakorzenienia się na Śląsku takiego „kresowego” sposobu myślenia jest fakt, iż czeski powieściopisarz, František Šokol Toma (1855–1925), podejmując problematykę nie-

mieckiego naporu na wschodnim pograniczu czeskim (okolicę Frydka, zamieszkane w ogromnej części przez Polaków – jeszcze dzisiaj w kilku miejscowościach w okolicach Frydka Polacy stanowią ponad połowę ludności, ale to sprawa inna) napisał – wzorowaną na Sienkiewiczu – powieść „Na kresách“, wprowadzając ten neologizm do języka czeskiego, w którym zresztą się on nie przyjął. Zachodni ten epizod z dziejów pojęcia kresów czeka na porządne zbadanie, a rzecz jest godna uwagi także z tego względu, że jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym regionalistyczny ruch w zachodniej części Polski instytucjonalizował się w Towarzystwie Kresów Zachodnich. Nie zyskało ono wprawdzie wielkiej rangi, ale korzystało z atrybutów wpisanych w pojęcie kresów i kresowości świadomie i jawnie.

Miarą wielkości aksjologicznego nacechowania owych pojęć jest także równie istotny fakt wiązania ich z Tatrami i Podhalem, a nawet z całym południowym obszarem Polski. Pojęcie kresów stało się skutecznym instrumentem propagandy zwłaszcza w początkowym okresie istnienia odrodzonej Polski, gdy przedmiotem szczególnej troski były jej sprawy graniczne. Zdarzało się wówczas (zwłaszcza w 1919 r.), że pojęcie to rozciągano na wszystkie zagrożone bądź odłączone obszary przygraniczne. Tak rzecz ujmował Adam Maciurzyński w broszurze „Nasze Kresy“ (Płock 1919), przedmiotem swego zainteresowania czyniąc Ruś Czerwoną, Śląsk Górny i Cieszyński, Orawę i Spisz i prowadząc działalność propagandową w przekonaniu, iż *miliony synów [ojczyzny] nie znają kresów*. W tymże samym roku Eugeniusz Romer pisał o Polakach *na kresach pomorskich i pojeziornych*, ale szczególnie gorliwie i efektywnie stosowano ową kategorię kresowości właśnie do obszarów południowych. Oto na przykład Kazimierz Sayse-Tobiczyk wystąpił z pełną ekspresji broszurą „Dość już ignorancji w kwestii kresów południowych! Ruś Karpacka, Tatry, Spisz i Orawa“ (Warszawa 1919), Roman Zawiliński operując materiałami etnograficznymi i językowymi udowadniał polskość obszarów przejmowanych przez Czechosłowację²³.

²² J. Kolbuszewski, *Ziemie zachodnie w powieściach Artura Gruszeckiego*, tamże, s. 25–39.

²³ R. Zawiliński, *Z naszych kresów południowych*, „Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego“ XXVII, 1919–1920, s. 37–63.

Kilka wydań miała wydawana nakładem Komitetu Obrony Kresów Południowych anonimowa, wzorowana na poezji Pola i do jego utworu świadomie nawiązująca „Nowa pieśń o ziemi naszej” (trzy wydania, Kraków 1920):

*A czy znacz ty, bracie młody,
Pograniczne twoje rody,
Tych Spiszaków, Orawiaków,
I Kisucan, i Ślżzaków?
A czy znasz ty, bracie młody,
Na rubieżach polskie grody:
Te znad Odry i znad Warty,
Gdzie z niemczyzną bój zażarty?
A czy wiesz ty, kto od zguby
Uratował te Kaszuby?
A czy wiesz, za polską wiarę
Kto niósł życie na ofiarę?
Podnieś wyżej twoje oko
I rozejrzyj się szeroko, –
Obacz całą polską ziemię,
Poznaj całe polskie plemię²⁴.*

Miarą zamierzonego zasięgu tak prowadzonej akcji propagandowej było, iż wydano wówczas także pocztówkę – mapę południowych obszarów polskich zatytułowaną „Polskie Kresy południowe”. Jednakże efektywność owej akcji pożądaných wyników nie dała: w 1922 r. Kazimierz Zakrzewski ubolewał, iż inteligencja polska dopiero w 1919 r. dowiedziała się o Spiszu i Orawie oraz polskich do nich prawach, zauważając, że *pracownicy polscy z kresów południowych zwątpili już o skuteczności swojej akcji informacyjnej*²⁵, choć nie zwątpili w celowość działań mających włączyć do pojęcia narodu polskiego lud chowany w szkołach w *duchu madziarskim*.

Owo pojęcie kresów południowych było instrumentem niejako doraźnie zastosowanym do celów publicystycznych kampanii i zostało poniechane, gdy tylko nastąpiła, jak wiadomo dla Polski niekorzystna, stabilizacja granicy południowej. Znamienne jest, iż operowano nim dla celów propagandy kierowanej do szerokich rzesz społeczeństwa polskiego, wykazującego w kwestii owych kresów południowych rzeczywistą ignorancję, co było nie zamierzonym skutkiem całej polityki edukacyjnej w okresie zaborów,

„nauczającej Polski“ w jej kształcie przestrzennym sprzed 1772 r. (acz z zapomnieniem o miastach spiskich...). Nie można uniknąć stwierdzenia, iż nikta wśród Polaków znajomość „kresów południowych, zachodnich i pomorskich“ była w jakiejś mierze spowodowana siłą tradycji kresów wschodnich. Owych kresów pomorskich, zachodnich i południowych nie przeciwstawiano wprawdzie kresom wschodnim – raczej usiłowano wytworzyć poczucie jedności wszystkich tych kresów z całością Polski, dla operowania jednak takim językiem publicystycznym odwołującym się właśnie do emocji kresowych moment dobry nie był. W związku bowiem z wojną polsko-radziecką znów aktualizował się fantazmat kresów wschodnich, pochłaniając uwagę większości społeczeństwa i wywołując namiętności silniejsze od obrony polszczyzny na Orawie i w Czadeckiem. Polskie aspiracje miały w przypadku kresów wschodnich nie tylko zwolenników: Franciszek Rawita Gawroński pisał, że *Polacy na Rusi to resztki naszej świetnej przeszłości, ale walka o nie wyglądałaby tak, jak gdyby ktoś z płonącego domu chciał uratować portret prababki*²⁶. Zarazem jednak traktat ryski z 18 marca 1921 r. nie mógł być rozumiany jako zwycięstwo w walce o polskie interesy kresowe, a w dużej mierze oznaczał dla nich klęskę. Znamienny wyraz dała temu pochodząca z Witebska Hanna Zahorska w wierszach „Prawdaż to, Polsko?“ i „Golgota“ (z tomu „Dniom zmartwychwstania“, Wilno 1921), snując nie tylko żal za ponownie utraconą Arkadią, ale zarzucając Polsce zaniedbanie ofiar składanych przez *powstańców z kresów i unickich świętych*. Rzecz znów godna osobnego studium – tu zarysowujemy tylko jej kontur, by wyraźniej uprzytomnić, iż przywoływanie wartości kresowych do obrony spraw południowych w owym momencie dziejowym skuteczne być nie mogło, mimo wielkiej atrakcyjności tego rodzaju frazeologii.

Tym silniej jednak warto podkreślić, że próby operowania pojęciem kresów południowych wynikały nie tylko z koniunkturalnego poszukiwania skutecznych instrumentów perswazyjnych, ale także z pewnej tradycji literackiej i kul-

²⁴ *Nowa pieśń o ziemi naszej*, Kraków 1920¹, s. 4.

²⁵ K. Zakrzewski, *Na kresach spisko-orawskich*, Lwów 1922, s. 6.

²⁶ F. Rawita Gawroński, *Rus' i my*, „Kurier Warszawski“ 1920, nr 62.

turowej, wytworzonej przez młodopolskie zainteresowania tatrzańskie. Brak miejsca nie pozwala tu na przedstawianie szczegółowego dowodu tezy, iż młodopolskie Tatry stanowiły dla kultury polskiej swoisty ekwiwalent utraconych, a w każdym razie literacko wyeksploatowanych przez romantyzm, kresów wschodnich. Liczne jednak fakty przemawiają za tym, iż już od połowy XIX w. narastała tendencja do przypisywania Tatrom i Podhalu pewnych atrybutów kresowości (w takim aksjologicznym nacechowaniu pojęcia, o jakim tu mowa). Z początku, w latach siedemdziesiątych XIX w. było to zwyczajne „oswajanie” nazbyt „dzikiej” góralskiej kultury – panie z Ukrainy w Zakopanem uczyły góralskie dziewczęta nucenia tęsknych dumek ukraińskich. Równoległe z tym jednak narastała (dla Goszczyńskiego jeszcze niedostępna²⁷) wiedza tyleż o narodowym, patriotycznym charakterze powstania chochołowskiego, które było czymś zgoła innym i od koliszczyzny, i od „różnienia ciarachów” w ruchu Jakuba Szeli, ile wiedza o rdzennie czystym charakterze góralskiej kultury. W tym rozumowaniu Tatry i Podhale z Zakopanem stawały się tyleż obronnym bastionem polskości, ile swoistym źródłem odrodzenia narodowego. Może dlatego w wierszu Franciszka Nowickiego Tatry – *wolności ołtarze* pojawiały się w wizyjny sposób jako *jakby ciągnący ławą huf kresowy*. Może dlatego dramatyczny spór o Morskie Oko między Węgrami a Galicją w latach 1890–1902 interpretowany był (z użyciem takich właśnie sformułowań²⁸) właśnie w kategoriach obrony skrawka ziemi kresowej. Z pewnością też nie było rzeczą przypadku, iż Stanisław Eljasz Radzikowski w czasie uroczystości położenia kamienia węgielnego pod pomnik T. Chałubińskiego w Zakopanem (26 VIII 1901) warszawskiego lekarza i towarzysza jego górskich wypraw nazwał *hufcem zbłąkanych rycerzy kresowych*, niosących w okoliczne krainy *ślawę odwagi polskiej, wytrzymałości na trudy, myśl wesołą, swobodną – przyjaźń ku ludziom*²⁹.

Do tej właśnie tradycji – świadomie czy mimowolnie – nawiązywali animatorzy pojęcia kresów południowych w 1919 r. Ta jednak próba zyskała znaczenie mniejsze od aplikacji wartości kresowych do obszarów zachodnich. Wydaje się, że o większej wartości i funkcjonalności pojęcia kresów zachodnich decydowały względy natury politycznej,

związane z większą wyrazistością zagrożenia niemieckiego. Kresy zachodnie były w istocie, jak to ujmował już Zachariasiewicz w 1860 r., bastionem obronnym przed zalewem niemieczyny. Tatrzańskie kresy południowe tak głęboko uzasadnionego sensu nie miały. Próby związania atrybutów kresowych z Tatrami, Podhalem, Spiszem, Orawą i Cza-deckiem, z pewnością celowe i wyrastające z potrzeb życia, opinii publicznej przekonać nie zdołały, nie było zatem rzeczą przypadku poniesienie na tamtym obszarze strat terytorialnych. Do naszych jednak celów wystarczy stwierdzenie, że próby tego rodzaju dowodziły, iż kresy były pojęciem nacechowanym aksjologicznie, że były synonimem istotnych i godnych obrony wartości. Owe więc cechy i wartości kresowe przypisywano obszarom zachodnim i południowym (rzadziej północnym) wtedy, gdy wydawało się to pożądane z doraźnych powodów natury politycznej. Gdy jednak w dwudziestoleciu międzywojennym nastąpiła stabilizacja życia zbiorowego i kulturalnego, wówczas znowu pojęcie kresów najsilniej związało się z obszarami wschodnimi i nie było rzeczą przypadku, że właśnie w dwudziestoleciu nastąpiła kolejna aktywizacja swoistego nurtu kresów wschodnich w literaturze, najlepiej dziś rozpoznana w zakresie prozy³⁰. Co znamienne, w prozie owej znów animowane zostały te same sploty wartości przejętych z tradycji, które od połowy XIX w. umożliwiały przypisywanie atrybutu kresowości tym obszarom, na których toczyła się polska walka o integralność terytorialną i narodowe istnienie.

²⁷ Por. M. Janion, *Kozacy i górale*, w: *Z dziejów stosunków literackich polsko-ukraińskich*, Wrocław 1974, s. 150–159.

²⁸ Por. Z. Nowak, *Władysław Zamoyski a spór o Morskie Oko w latach 1890–1909*, „Pamiętnik Biblioteki Kórnickiej”, z. 21, 1985, s. 86; J. Reychman, *Peleryna, ciupaga i znak tajemny*, Kraków 1976.

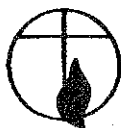
²⁹ S. Eljasz Radzikowski, *Przemowa dra... Pamiętka założenia kamienia węgielnego pod pomnik profesora Chałubińskiego w Zakopanem dnia 26 sierpnia 1901 r.*, Kraków 1901, s. 3.

³⁰ Zob. B. Hadaček, *Proza kresów wschodnich w dwudziestoleciu międzywojennym (rekonasans)*, „Ruch Literacki” 1986, nr 4, s. 265–279; K. Dmitruk, *Tendencje rozwojowe literatury popularnej*, w: *Polska popularna kultura artystyczna*, Warszawa 1977, s. 7–15; S. Kolaczowski, *Literatura kresów wschodnich: powieść i pamiętnik*, „Przegląd Warszawski” 1925, nr 50; J. Iwaszkiewicz, *Niewiasty kresowe*, „Wiadomości Literackie” 1926, nr 5.

Les confins Est de la Pologne comme catégorie axiologique

Dans son sens courant et généralement admis, la notion de confins se rattache sans équivoques aux anciens territoires de l'Est de la Pologne. La littérature polonaise l'adopta au XIX^e siècle, époque où la Pologne était partagée entre les trois puissances limitrophes. Ce terme de „confins“ s'assortissait d'attributs à valeur émotive; il désignait une terre où il est bon vivre, unie par des liens multiples à l'ensemble du territoire national,

riche d'un passé agité et héroïque, dotée d'une nature alliant beauté et fécondité. Après la chute de l'insurrection de 1863, la notion de confins s'est étendue, en littérature et en journalisme, aux régions Ouest de la Pologne. A la charnière des XIX^e et XX^e siècles, le terme fut aussi appliqué aux Tatras et à leur piémont – le Podhale, et même à l'ensemble de la zone subcarpatique.



ks. Waldemar Chrostowski

Qumran – 40 lat później (I)

W lutym lub marcu 1947 r. beduiński chłopiec Muhamad ed-Dhib zapoczątkował jedno z najbardziej sensacyjnych odkryć w dziejach archeologii biblijnej. Szukając zagubionej kozy rzucał kamieniami, z których jeden wpadł do pobliskiej groty i uderzył w coś, co rozbijając się wydało metaliczny dźwięk. Przesądny pasterz nie odważył się wejść do środka. Swoją przygodę opowiedział koledze i obaj wrócili na zagadkowe miejsce. Po wejściu do opuszczonej groty zobaczyli jakieś dzbany, jedne całe, inne rozbite, a w nich zapisane zwoje. Rok później, 11 kwietnia 1948 r., dr Millar Burrows z Uniwersytetu w Yale (USA), pełniący funkcję dyrektora American School of Oriental Research w Jerozolimie, obwieścił, że dokonano największego odkrycia rękopisów Starego Testamentu, jakie kiedykolwiek miało miejsce. Gdy w początkach 1949 r. zidentyfikowano groty, z której pochodziły zwoje, a później archeolodzy rozpoczęli prace wykopaliskowe na ruinach pobliskiego osiedla, nazwa Qumran stała się znana na całym świecie. Wkrótce qumranistykę uznano za autonomiczną dziedzinę wiedzy, a Qumran zostało jednym z najczęściej odwiedzanych rejonów Palestyny. Nastąpiła nowa era badań biblijnych.

Tylko w pierwszym dziesięcioleciu, gdy w grotach wciąż znajdowano nowe rękopisy i przedmioty, pojawiło się ponad półtora tysiąca artykułów i rozpraw poświęconych Qumran. Dzisiaj liczbę specjalistycznych publikacji i opracowań szacuje się na co najmniej dziesięć razy więcej. Zainteresowanie szerokiej opinii publicznej rękopisami qumrańskimi wzmogło się zwłaszcza w połowie lat sześćdziesiątych, gdy część z nich pokazano na świetnie przygotowanej wystawie w Stanach Zjednoczonych (1965 r.) i w Wielkiej Brytanii (1966 r.). W 1967 r. większość oryginałów złożono w specjalnie zabezpieczonej „Świątyni Księgi” w Jerozolimie, a nieco rozmaitej wielkości fragmentów różnymi drogami trafiło do najsłynniejszych muzeów świata i do renomowanych kolekcji prywatnych. Teksty qumrańskie

udostępniane są w fachowo przygotowanych publikacjach opatrzonych drobiazgowymi informacjami o kontekście archeologicznym znalezisk i bogatym aparatem krytycznym. Nad ich odczytaniem i interpretacją pracują duże ekipy naukowców znakomicie wyszkolonych i wyposażonych w najnowocześniejszy sprzęt. Stale pojawiają się nowe książki i periodyki, organizowane są międzynarodowe dyskusje, sympozja i kolokwia. Jedno z nich, urządzone przez Zarząd Komisji Orientalistycznej Krakowskiego Oddziału PAN, odbyło się w dniach od 31 maja do 2 czerwca br. w podkrakowskich Mogilanach. Był to polski akcent w zaznaczeniu przypadającej wiosną tego roku 40. rocznicy pierwszych odkryć qumrańskich.

Było dobrym zwyczajem, że kolejne rocznice wielkiej qumrańskiej przygody upamiętniano w Polsce publikacjami, w których syntetycznie przedstawiano aktualny w danym okresie stan badań¹. W latach siedemdziesiątych zainteresowanie Qumran u nas jakby nieco osłabło, a znajomość problematyki qumrańskiej pozostawia wiele do życzenia. Jest to całkowicie niezgodne z tendencjami w nauce światowej. Pragniemy przypomnieć zasadnicze etapy wydarzeń, które przez długi czas trzymały w napięciu najtęższe umysły nauki i wykreowały niejednen znany dzisiaj autorytet. Następnie przedstawimy rękopisy znalezione w qumrańskich grotach. Wyjaśnimy również, na czym polega doniosłość sensacyjnych znalezisk.

Dzieje odkryć qumrańskich

Początki qumrańskiej przygody otoczone są wieloma zagadkami². Znalezione w grocie dzbany i zwoje beduińscy pasterze pokazali przypadkowemu handlarzowi staroci z Betlejem, a w niedługim czasie trafiły one do Jerozolimy. Trzy rękopisy nabył profesor archeologii na Uniwersytecie Hebrajskim, Eleazar Lipa Sukenik, 27 listopada 1947 r., gdy w ONZ trwała debata nad statusem państwa izraelskiego. Wygląda na to, że właśnie E. Sukenik był pierwszym uczonym, który właściwie ocenił wartość dostarczonych mu zwojów. Początkowo nie był skłonny dzielić swojego entuzjazmu z innymi. Stawka była zbyt wielka i doświadczony profesor wolał zachować milczenie. Zorientował się, że

wszedł w posiadanie niekompletnego zwoju Księgi Izajasza, dużego zbioru hymnów podobnych do starotestamentowych Psalmów oraz nieznanego alegorycznego opisu bitwy między siłami dobra i zła. Nieco później do Jerozolimy dostarczono cztery inne rękopisy, a ich losy były jeszcze bardziej zawile. Prof. Sukenik utrzymywał, że widział je na początku lutego 1948 r., ale transakcja nie doszła do skutku. Faktem jest, że za sumę nieco ponad 150. dolarów nabył je metropolita Mar Atanazy Jozue Samuel z prawosławnego klasztoru Św. Marka. Mnisi nie mieli zbytniego zaufania do zakupionych zwojów, tym bardziej że pierwsi konsultanci orzekli, iż nie są one niczym nadzwyczajnym. Pod koniec lutego do siedziby Szkoły Amerykańskiej przybyli metropolita Atanazy i o. Butros Sawmy z klasztoru Św. Marka, przynosząc ze sobą cztery hebrajskie rękopisy – dwa sporządzone na pergaminie i dwa na skórze. Nie zastali dyrektora Szkoły, który przebywał akurat w Iraku, ale dwaj młodzi naukowcy, dr John C. Trever i dr Wiliam H. Brownlee, zorientowali się, że mają do czynienia ze starożytnymi zapisami. Ich czujność nie była niczym nadzwyczajnym. Wprawdzie prof. Sukenik nadal zachowywał dyskreję, lecz po mieście krążyły pogłoski, że w okolicach Morza Martwego znajdowane są bezcenne przedmioty. Dr Trever zidentyfikował jeden z rękopisów jako kompletny zwój Księgi Izajasza zwracając uwagę, że sposób pisania liter jest zaskakująco podobny do zapisu na tzw. papirusie Nash, pochodzącym z II w. przed Chr., najstarszym wówczas świadectwie tekstu biblijnego. Z kolei dr Brownlee stwierdził, że drugi zwój zawiera aktualizujący komentarz do starotestamentowej Księgi Habakuka. Trzeci rękopis nazwano później Regułą Wspólnoty. Jedenaście kolumn starannie sporządzonego tekstu zawiera opis ceremonii

¹ B. Dąbrowski, *Odkrycia nad Morzem Martwym po dziesięciu latach (1947–1957)*. RBil. 10/1957, s. 359–381; W. Tyloch, *Odkrycia nad Morzem Martwym po dwunastu latach*. PrzOr 12/1960, s. 281–301; P. Szolc, *Dwadzieścia lat badań qumrańskich*. „Jednota” 25/1967, s. 5–7, 17; S. Nowicki, *W dwadzieścia lat po odkryciach qumrańskich*. „Posłannictwo” 38/1968, s. 24–32; W. Tyloch, *Rękopisy znad Morza Martwego po dwudziestu latach*. „Euhemer” 12/1968, s. 21–38.

² W rekonstrukcji przebiegu wydarzeń opieram się na: W. Tyloch, *Rękopisy z Qumran nad Morzem Martwym*. Warszawa 1963, s. 11–30; J. T. Milik, *Dziesięć lat odkryć na Pustyni Judyckiej*. Warszawa 1968, s. 7–17; G. Vermes, *The Dead Sea Scrolls. Qumran in Perspective*. Cleveland 1978, s. 9–28; relacje o. P. Benoit OP, zmarłego 25 kwietnia 1987 r., z którym wiosną 1983 r. poznawałem Qumran.

wprowadzających w życie jakiejś wspólnoty religijnej oraz ustalenia dotyczące modelu postępowania jej członków. Przedsiębiorczy Amerykanie uzyskali pozwolenie gości na sfotografowanie trzech zwojów, wręczając patriarche symboliczną sumę pieniędzy. Czwartego rękopisu nie sfotografowano, ponieważ nie można było go rozwinąć. Początkowo nazwano go Zwojem Lamecha, gdyż widoczne na wierzchu fragmenty tekstu nawiązywały do postaci Lamecha znanej z Rdz 4,18–24. Udało się go otworzyć i odczytać dopiero po kilku latach (1956 r.). Wtedy nadano mu nazwę Genesis Apocryphon, podaje bowiem barwne rozwinięcia opowieści znanych z kanonicznej Księgi Rodzaju.

Uczeni ze Szkoły Amerykańskiej nie mieli zamiaru utrzymywać odkrycia w tajemnicy i gdy tylko M. Burrows powrócił z Iraku, poinformowali opinię publiczną. W tym czasie E. Sukenik intensywnie pracował nad odczytaniem i przygotowaniem do publikacji rękopisów, którymi dysponował. W kilka miesięcy później ukazał się pierwszy tom dzieła zatytułowanego „Ukryte zwoje z Pustyni Judzkiej”³. Znalazły się w nim wybrane fragmenty tekstów z fotografiami, transkrypcją i niezbędnymi komentarzami. Zarząd prawosławnego klasztoru Św. Marka zdał sobie sprawę, iż stał się właścicielem niezwykle cennych znalezisk. Ze względu na niespokojne czasy Mar Atanazy zdecydował się na bardzo ryzykowny krok: swoje cztery rękopisy wywiózł po kryjomu do USA, gdzie po jakimś czasie zażądał za nie milion dol. Zwoje były przedmiotem długich pertraktacji zakończonych w 1954 r. Kiedy transakcja doszła do skutku, okazało się, że nowym właścicielem jest Uniwersytet Hebrajski. Jego pełnomocnicy zapłacili za rękopisy „tylko” ćwierć miliona dol. Z USA do Izraela przewiózł je Yigael Yadin, syn prof. E. Sukenika.

Tymczasem beduini nie chcieli ujawnić miejsca znalezienia rękopisów. W takiej sytuacji belgijski oficer Philippe Lippens, przebywający czasowo w Palestynie w korpusie wojsk ONZ, otrzymawszy do pomocy żołnierzy z jordańskiego Legionu Arabskiego, rozpoczął ostrożne poszukiwania. Używając rozmaitych wybiegów zdołał pod koniec stycznia 1949 r. zlokalizować grootę, z której pochodzą (oznacza się ją symbolem IQ), usytuowaną mniej więcej 12 km na południe od Jerycha i półtora km na zachód od

północnego krańca Morza Martwego. W pobliżu niej znajdowały się jakieś ruiny – widok w Palestynie dość powszechny. Natychmiast zorganizowano ekspedycję naukową kierując ją we wskazany rejon Pustyni Judzkiej. Na czele wyprawy stanął G. L. Harding, dyrektor Departamentu Starożytności w Ammanie oraz o. Roland de Vaux, dyrektor École Biblique et Archéologique Française w Jerozolimie. Od 15 lutego do 5 marca odnaleziono ponad 600 różnych fragmentów należących do około 70. starożytnych rękopisów, w tym także tych, które wcześniej trafiły do Jerozolimy. Były wśród nich zarówno świadectwa tekstu biblijnego jak i dokumenty pozabiblijne: fragmenty komentarzy do starotestamentowych Proroków Mniejszych i Psalmów, resztki znanych przedtem i nieznanych pism apokryficznych i apokaliptycznych (m.in. Księgi Jubileuszów i Testamentu Lewiego) oraz dalsze fragmenty Reguły Wspólnoty i Reguły Wojny. Oprócz zabytków rękopiśmienniczych ekspedycja odkryła sporo ceramiki, odzieży oraz pozostałości przedmiotów wykonanych z drewna. Mimo niewątpliwych sukcesów wyprawy nie można uznać za w pełni udaną. Kierujący nią naukowcy ocenili, że ceramika pochodzi z końca okresu hellenistycznego (II–I w. przed Chr.) i na tej podstawie mylnie sugerowali, iż rękopisy ukryto w grocie za rządów żydowskiego króla-kapłana Aleksandra Janneusza (lata 103–76). Jeszcze większym niedopatrzeniem było zaniechanie eksploracji pobliskiego Chirbet Qumran. Po wstępnych oględzinach wydano orzeczenie, że ruiny stanowią pozostałości rzymskiej fortecy z III lub IV w. po Chr., a więc nie mają żadnego związku z grota, w której dokonano sensacyjnych odkryć. Znalezioną w grocie ceramikę rzymską datowano na II w. po Chr.

Kiedy opadła pierwsza fala entuzjazmu i dzięki wstępnym publikacjom można było spokojniej przeanalizować odkryte teksty, zorganizowano w 1951 r. kolejną ekspedycję zlecając jej gruntowne przebadanie Chirbet Qumran. Bardzo szybko stało się jasne, że identyfikacja ruin jako późnej fortecy rzymskiej jest błędna. Archeolodzy odślonili doskonale zaplanowaną osadę z resztkami umocnień obronnych

¹ E. Sukenik, *Megillot genuzot mi-Midbar Yehudah*, Jerusalem 1948. T. II został opublikowany dwa lata później.

i domostw, magazynami zbożowymi i składami na paszę, zbiornikami wodnymi i akweduktem, stajniami itp. Szczególne wrażenie wywołało odkrycie obszernego prostokątnego pomieszczenia, z którego przetrwały tylko fundamenty parteru. Znalaziono tu jeden długi i jeden lub dwa krótsze stoły oraz dwa kałamarze. Archeolodzy doszli do wniosku, że było to tzw. scriptorium, czyli miejsce gdzie przepisywano rękopisy. Mieszkańcy Qumran sporządzali je przez ponad dwa stulecia istnienia osady (poł. II w. przed Chr – 68 r. po Chr.), a wobec rzymskiego ataku w 68 r. pośpiesznie ukryli zwoje w niedalekiej grocie. To stwierdzenie było momentem przełomowym w badaniach rękopisów qumrańskich i rozbudziło nadzieje na dalsze znaleziska⁴. Gdy wiosną tegoż roku R. de Vaux przygotowywał sprawozdanie dla francuskiej Académie des Inscriptions, otwarcie przyznał się do popełnionych wcześniej błędów. Jego pomyłka opóźniła wprowadzenie postęp badań, ale wyostrzyła czujność naukowców na wszystko, cokolwiek usytuowane jest w pobliżu Morza Martwego.

W lutym 1952 r. beduini znaleźli nowe fragmenty rękopisów hebrajskich w grocie oznaczonej symbolem 2Q, ok. 200 m na południe od tej, w której dokonano pierwszych odkryć. Był to mocny argument, by przeszukać wszystkie grotty wokół Qumran. Zabrano się do tego jeszcze w marcu. 14 marca odkryto trzecią grootę (3Q), a w niej 15 pergaminowych rękopisów hebrajskich i aramejskich, dwa zwoje wykonane z miedzi i sporo starożytnej ceramiki. Rozpoczęła się nierówna rywalizacja uczonych przybyłych z różnych stron świata z miejscowymi pasterzami, którzy znali teren na pamięć i dostrzegali szanse zrobienia fortuny. Latem 1952 r. beduini odkryli czwartą grootę (4Q), która przyniosła najwięcej bezcennych znalezisk. Dobrze widoczna położona jest dosłownie na rzut kamieniem z osiedla qumrańskiego. Archeolodzy patrzyli na nią codziennie nie podejrzewając, iż można cokolwiek znaleźć w miejscu tak łatwo dostępnym i tak bliskim. Kopiąc na głębokość ok. metra beduini znaleźli tysiące fragmentów należących do kilkuset różnych zwojów. Pośpiesznie splądrowali rozległą pieczarę, a żądni zysku i skłóceni między sobą nie tylko uszkodzili wiele tekstów, lecz by zdobyć jak najwięcej pieniędzy, większe części darli na kawałki. Za jeden centymetr

kwadratowy zwoju żądali ponad trzy dol. Wykupienie wszystkiego, co znaleźli, nie było proste. Gdy teksty zaczęły napływać do Jerozolimy, uczeni sprytnie wypytywali sprzedających o ich pochodzenie. Wkrótce zorganizowano następną ekspedycję, która w splądrowanej grocie odszukała ponad 100 dalszych fragmentów rękopisów. Na jej czele stał R. de Vaux oraz Polak, Józef T. Milik, który zyskał duże uznanie ze względu na niepospolitą umiejętność odczytywania qumrańskich dokumentów. Z groty 4. pochodzą łącznie tysiące mniejszych i większych zapisów. Są wśród nich parafrazy i komentarze do niektórych ksiąg Starego Testamentu, dzieła o przeznaczeniu liturgicznym, rozmaite apokryfy i pisma apokaliptyczne, teksty mądrościowe i spekulacje mesjańskie, rozwinięcia praw i przepisów zawartych w Pięcioksięgu, a nawet horoskopy i zagadki. We wrześniu odkryto jeszcze groty piątą (5Q) i szóstą (6Q). W piątej, sztucznie wydrążonej, znaleziono fragmenty kilkunastu rękopisów. Podobnie w szóstej, z tym że ustalono, iż to właśnie stąd pochodzą teksty nabyte nieco wcześniej od pasterzy przez Muzeum Rockefellera.

W latach 1953–56 w ten sam rejon Pustyni Judzkiej skierowano cztery kolejne ekipy archeologów, które podjęły drobiazgową penetrację innych grof. Wiosną 1955 r. zidentyfikowano nowe miejsca zdeponowania rękopisów: groty siódmą, ósmą, dziewiątą i dziesiątą (7–10Q). Nie były one już tak zasobne jak poprzednie, ale też przyniosły wiele interesujących znalezisk. Pochodzą z nich m.in. greckie fragmenty Księgi Wyjścia i Listu Jeremiasza (7Q), pudełeczka na żydowskie filakterie z małymi skórzanymi zwojami w środku (8Q), papirusowy fragment tekstu hebrajskiego (9Q), trochę ceramiki i ostrakon z dwiema literami hebrajskimi (10Q). Wydawało się, że przygoda qumrańska dobiega końca. Tym niemniej w 1955 r. rozpoczęto systematyczną eksplorację terenu znajdującego się 3 km na południe od Qumran w miejscu zwanym Ain Feszcha. Trzy lata później pozostałości tamtejszych budowli uznano za resztki osiedla zależnego od Qumran i zasilającego je w produkty zwierzęce i rolne. W Ain Feszcha nie

⁴ Szczegółowy opis przebiegu i wyników prac wykopaliskowych w Chirbet Qumran zob. R. de Vaux, *Archeology and the Dead Sea Scrolls*, London 1973. Zob. także: J. T. Milik, dz. cyt., s. 45–57.

było rękopisów, a jedynie krótkie inskrypcje na uchwytych dzbanów i odważnikach. Mając do dyspozycji bardzo bogaty materiał porównawczy naukowcy mogli wydać ostateczny werdykt. Jego streszczenie brzmi: *Odkryte w Qumran i w Ain Feszcha budowle położone w okolicy grotty oraz duży cmentarz dowodzą obecności w tych miejscach jakiejś społeczności, grupy religijnej, która tu żyła, pracowała i grzebała swoich zmarłych. Do grupy tej należały znalezione w grotach rękopisy, a ich treść świadczy o tym, że była to jakaś społeczność religijna. Jej religijny charakter potwierdza zarówno kolektywne przeznaczenie większości urządzeń, jak i różne pomieszczenia przeznaczone do wspólnego użytku, co świadczy, że organizacja tej społeczności była oparta na wspólnym trybie życia prowadzonym podług pewnej reguły*⁵.

Gdy pod koniec 1955 r. uczeni coraz częściej wyrażali pogląd, że w rejonie Qumran znaleziono wszystko, co było do znalezienia, raz jeszcze los okazał się nadspodziewanie łaskawy. W lutym 1956 r. poszukiwania beduinów przysporzyły nowej sensacji. W grocie położonej około 2 km na północ od Qumran znaleźli oni kilka kompletnych lub prawie kompletnych i wiele fragmentarycznych rękopisów hebrajskich. Doniosłość odkryć z grotty jedenastej (11Q) można porównać jedynie z odkryciami z 1Q i 4Q. Wśród rękopisów jest m.in. zwój zawierający sporo bilijnych Psalmów oraz aramejska parafraza Księgi Hioba. 1 czerwca 1956 r. w różnych częściach świata (Jordania, Francja, Wlk. Brytania i USA) podano informację o rozwinięciu i odczytaniu tzw. Zwoju Miedzianego pochodzącego z 3Q. Wydarzenie to rozpoczęło długą i jeszcze nie zakończoną dyskusję uczonych polaryzującą między pełnym zaufaniem do treści zapisu wyszczególniającego skarby i jakieś nazwy geograficzne i opisy topograficzne, a sceptycyzmem tych, którzy w tekście widzą tylko produkt ludowej wyobraźni. Przypuszcza się, że między odnalezionymi w grocie 11Q tekstami znajdował się również tzw. Zwój Świątynny. Jego pochodzenie i droga, jaką przebył, zanim stał się własnością uczonych izraelskich, są niejasne. Wiadomość o odkryciu podał Y. Yadin dopiero po tzw. wojnie sześciodniowej w czerwcu 1967 r. Zwój zawiera 66 kolumn tekstu, ma 8,6 m długości i jest najdłuższy ze wszystkich, jakie znaleziono w pobliżu Qumran. Na łamach „Biblical Archeolo-

gist" w grudniu 1967 r. Yadin napisał: *Na obecnym etapie nie mogę wyjawiać drogi, jaką ten zwój znalazł się w naszych rękach, aby nie zaprzepaścić szansy pozyskania dalszych zwójów. Od napisania tych słów upływa 20 lat i ciągle na ten temat nic więcej nie wiadomo.*

Odkrycie i eksploracja groty 11. zakończyła dekadę intensywnych przeszukań terenu w sąsiedztwie Chirbet Qumran. Niedługo potem inne rejony Pustyni Judzkiej miały odsłonić więcej ukrytych skarbów. Uczni zajmujący się znaleziskami qumrańskimi pośpiesznie przygotowywali publikacje tekstów. Już w latach 1950 i 1951 M. Burrows i jego współpracownicy opublikowali te teksty, których fotografie udało się im zrobić podczas pamiętnych oględzin wczesną wiosną 1948 r.⁶ Nieco później ukazały się pełne wydania tekstów, które nabył E. Sukenik⁷. W 1955 r. pojawił się pierwszy tom słynnej dzisiaj serii „Discoveries in the Judaean Desert” (DJD), zawierający fragmentaryczne teksty z 1Q⁸. Następne tomy, przy wielkim nakładzie sił i środków, ukazują się w kilkuletnich odstępach do dzisiaj⁹. Nie obeszło się bez nieprzewidzianych trudności. Pomysłodawca i główny wydawca serii, R. de Vaux, zdecydował się na ambitne przedsięwzięcie: każdy tom zaopatrzony jest w fotografie, transkrypcję, uwagi paleograficzne i tekstologiczne, angielski przekład oraz komentarz. Dopóki międzynarodowy zespół uczonych powołany w 1953 r. przebywał w Jerozolimie, prace posuwały się szybko. Z czasem naukowcy rozjechali się i współpraca była znacznie utrudniona. Z końcem lat pięćdziesiątych w Palestynie zaostrzyła

⁵ W. Tyloch, dz. cyt., s. 48.

⁶ M. Burrows, J. C. Trever, W. H. Brownlee, *The Dead Sea Scrolls of St. Mark's Monastery*, Vol. I: *The Isaiah Manuscript and the Habakuk Commentary*, New Haven 1950; Vol. II/2: *Plates and Transcription of the Manual of Discipline*, New Haven 1951. Tom II/1 nie ukazał się.

⁷ Wyd. hebrajskie: *The Treasure of the Hidden Scrolls in the Possession of the Hebrew University*, Jerusalem 1954. Wyd. angielskie: *The Dead Sea Scrolls of the Hebrew University*, Jerusalem 1955.

⁸ D. Barthélemy, J. T. Milik, *Discoveries in the Judaean Desert I: Qumran Cave I*, Oxford 1955.

⁹ Fragmenty z grot 2–3 oraz 5–10 opubl. w: M. Baillet, J. T. Milik, R. de Vaux, *Discoveries in the Judaean Desert of Jordan III: Les petites grottes de Qumran*, Oxford 1962; część tekstów z groty 4: J. M. Allegro, A. A. Auderson, *Discoveries in the Judaean Desert of Jordan V: Qumran Cave 4I (4Q158–4Q186)*, Oxford 1968; R. de Vaux, J. T. Milik, *DJD VI: Qumran Grotte 4II (4Q128–4Q157)*, Oxford 1977; M. Baillet, *DJD VII: Qumran Grotte 4III (4Q482–4Q520)*, Oxford 1982.

się sytuacja polityczna, co znalazło odbicie w nazwie serii (tomy IV i V noszą tytuł „Discoveries in the Judaean Desert of Jordan“). Po wojnie sześciodniowej w 1967 r., gdy część dotychczas jordańskiego terytorium przeszła pod rządy Izraela, wielu uczonych nie godziło się z nowym status quo. Po opublikowaniu gotowego tomu V w 1968 r. do śmierci o. de Vaux w 1973 r. nie ukazał się następny. Potem na czele kolegium wydawniczego stanął o. Pierre Benoit i prace ożywiły się. Zaznaczyły się jednak znaczne rozdziewki między uczonymi izraelskimi a obcokrajowcami i ten stan trwa w gruncie rzeczy do dzisiaj. To właśnie dlatego od czasu do czasu pojawiają się publikacje niezależne od serii DJD, przygotowane indywidualnie lub w małych zespołach specjalistów¹⁰. Powoli ustępuje pokolenie prekursorów, dla których Qumran było częścią ich życia. Podejście młodszych specjalistów pozbawione jest już tak wysokiego ładunku emocjonalnego. Nadal czekają na opublikowanie liczne fragmenty rękopisów z 4Q i 11Q oraz wiele tekstów odkrytych w innych rejonach Pustyni Judzkiej.

Rękopisy qumrańskie

Tesktzy znalezione w grotach w sąsiedztwie osady qumrańskiej pochodzą z ostatnich stuleci zamykających epokę Starego Testamentu oraz z pierwszych dziesięcioleci ery chrześcijańskiej. Już na początku lat pięćdziesiątych tkalinę, w którą owinięty był jeden z dobrze zachowanych zwojów, poddano badaniom za pomocą radioaktywnego węgla C¹⁴. Uzyskano datę 33 r. po n. Chr. z możliwością błędu ok. 200 lat w obydwie strony (ok. 170 r. przed Chr. – ok. 230 r. po Chr.). Chociaż dosyć długo trwały ożywione dyskusje, a najbardziej sceptycznie usposobiony S. Zeitlin twierdził nawet, że rękopisy pochodzą z wieków średnich¹¹, sprawa ich wieku została ostatecznie wyjaśniona. Czas sporządzenia tekstów został określony w oparciu o gruntownie zweryfikowane dane archeologiczne, o aluzje historyczne rozpoznane w treści odkrytych zapisów oraz dzięki wnikliwej analizie paleograficznej. Rozstrzygająca rola przypadła w udziale tej ostatniej wtedy, gdy Pustynia Judzka odsłoniła inne tajemnice (Wadi Murabba'at, Nahal Chever, Masada). Nikt nie wątpił, że pismo rękopisów qumrańskich jest

wcześniejsze od pisma dokumentów pochodzących z ok. 135 r. po Chr. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych analizę paleograficzną udoskonalono tak dalece, że możliwe stało się rozróżnienie trzech okresów, do których przynależą dokumenty qumrańskie: okres prehasmonejski (lata 225–150), okres hasmonejski (lata 150–30) i – najwięcej rękopisów – okres herodiański (lata 30 przed Chr. – ok. 70 po Chr.). Teksty hebrajskie i aramejskie utrwalono pismem kwadratowym, lecz w niektórych rękopisach spotyka się relikty pisma paleohebrajskiego, które pod koniec epoki przedchrześcijańskiej zostało wyparte przez aramejskie pismo kwadratowe (por. „PP” 5/1986, s. 225–236).

W sumie odnaleziono w grotach kilka tysięcy fragmentów pochodzących z ponad 800. starannie sporządzonych rękopisów. Dzielią się one na dwie zasadnicze grupy: świadectwa tekstu biblijnego oraz teksty pozabiblijne. Oto omówienie najważniejszych znalezisk w obydwu grupach.

Rękopisy biblijne

1. W jedenastu grotach qumrańskich zidentyfikowano 175 różnej wielkości świadectw tekstu biblijnego wszystkich KSIĄG ŻYDOWSKIEGO KANONU STAREGO TESTAMENTU z wyjątkiem Księgi Estery. Większość tekstów zachowała się w kilku, a nawet kilkunastu i więcej, egzemplarzach.

Tylko dwa zwoje Księgi Izajasza znalezione w 1Q zachowały się w stanie kompletnym lub prawie kompletnym, reszta przetrwała w większych czy mniejszych fragmentach. Na szczególną uwagę zasługują:

– FRAGMENTY KSIĘGI SAMUELA Z GROTY PIERWSZEJ: resztki najstarszego rękopisu, jaki znaleziono w Qumran. Pochodzi z ok. 225 r. przed Chr., a więc z czasu zanim osiedle

¹⁰ Wymienić trzeba przede wszystkim: J. T. Milik, *The Books of Henoch: Aramaic Fragments of Qumran Cave 4*, Oxford 1976, oraz: Y. Yadin, *Megillah ham-Miqdash (The Temple Scroll)*, Vol. I–III, wyd. hebr. Jerusalem 1977, wyd. ang. Jerusalem 1983.

¹¹ Tytuły kilku publikacji S. Zeitlina: *Scholarship and the Hoax of the Recent Discoveries*, JQR 39/1948–49, s. 337–363; *The Propaganda of the Hebrew Scrolls and the Falsification of History*, JQR 46/1955–56, s. 1–39, 116–180, 209–258; *The Dead Sea Scrolls: Fancies and Mistranslations*, JQR 48/1957, s. 71–85; *The Idolatry of the Dead Sea Scrolls*, JQR 48/1957, s. 243–278. Wszystkie artykuły ukazały się na łamach jednego czasopisma, którego wydawcą był właśnie S. Zeitlin. Najbardziej zwięzłą i przekonującą odpowiedź na zgłaszane obiekcje przedstawił R. de Vaux, *Les manuscrits de Qumran et archéologie*, RB 66/1959, s. 87–110.

qumrańskie zamieszkali członkowie wspólnoty religijnej. Obok papirusu Nash jest to aktualnie najstarszy tekst biblijny¹². Ogromną niespodzianką są liczne zbieżności tekstu z grecką wersją ST zwaną Septuagintą (LXX);

– **FRAGMENTY KSIĘGI KAPLAŃSKIEJ** z GROTY PIERWSZEJ stanowią najstarszy znany przykład zapisu na skórze sporządzonego w piśmie paleohebrajskim. Zastanawiające są podobieństwa do odpowiednich partii Pentateuchu Samarytańskiego, aczkolwiek występują też pewne różnice. Przypuszcza się, że zwój pochodzi z połowy II w. przed Chr., gdy za rządów machabejskich w Judei odżyły nastroje nacjonalistyczne. Uwidoczniły się one m.in. w nawrocie do tradycyjnego pisma paleohebrajskiego;

– **KOMPLETNY RĘKOPIS KSIĘGI IZAJASZA** sporządzony w II w. przed Chr. na 17. skórzanych płatach przeznaczony był do celów liturgicznych. Jego długość wynosi 7,34 m a szerokość 27 cm. Zapis ułożony jest w 54. kolumnach dzielonych na mniejsze odcinki, z reguły zgodne z podziałem przyjętym w aktualnej Biblii masoreckiej. Tekst ma charakter popularny i często pokrywa się z greckim przekładem LXX. Wyraźnie dostrzegalne są dwie części zwoju stosownie do dwóch odmiennych sposobów zapisu. Odpowiadają one dzisiejszym rozdziałom 1–33 i 34–66. To właśnie ten zwój nabył patriarcha Atanazy i udostępnił go naukowcom ze Szkoły Amerykańskiej;

– **DRUGI RĘKOPIS KSIĘGI IZAJASZA** jest fragmentaryczny, bo sporym zniszczeniom uległa głównie pierwsza część zwoju. Tekst jest bliski Biblii masoreckiej. Sporządzony został na skórze drobnym, ale pięknym i doskonale czytelnym piśmem. Pochodzi z końca epoki przedchrześcijańskiej albo z pierwszych dekad ery chrześcijańskiej;

– **ZWÓJ KSIĘGI PSALMÓW**, częściowo zachowany, pochodzi z II w. przed Chr. i zawiera 41 kanonicznych Psalmów z ostatniej części Psalterza oraz 7 psalmów apokryficznych. Rękopis przygotowano do celów liturgicznych, a Psalmi kanoniczne występują tu na przemian z innymi. Osobliwością zapisu jest, że Boże imię Jahwe pojawia się w piśmie paleohebrajskim.

2. Żydowski kanon ksiąg świętych został ustalony ok. 90 r. po n. Chr. na synodzie w Yavne, gdy podjęto zakrojoną na szeroką skalę reorientację judaizmu. Nazywany

kanonem palestyńskim obejmuje wyłącznie pisma w języku hebrajskim i aramejskim. Jest mniej obszerny aniżeli kanon Septuaginty, Biblii greckiej powstałej w środowisku Żydów aleksandryjskich. KANON KOŚCIOŁA PRAWOSŁAWNego I KATOLICKIEGO oparty jest na Biblii greckiej odrzuconej przez judaizm rabiniczny, gdy stała się Biblią młodego Kościoła. Księgi, których rabini nie uznali za święte, katolicy nazywają deuterokanonicznymi i traktują na równi z protokanonicznymi księgami ST. Protestanci, którzy pozostali przy kanonie palestyńskim, nazywają je apokryfami i nie włączają do wydań Pisma Świętego. Znamiennie, że w Qumran znaleziono fragmenty ksiąg wchodzących w skład Biblii greckiej i kanonu katolickiego: HEBRAJSKIE FRAGMENTY KSIĘGI SYRACHA; PIĘĆ FRAGMENTÓW KSIĘGI TOBIASZA; GRECKI FRAGMENT LISTU JEREMIASZA.

3. Wśród qumrańskich tekstów biblijnych znajdują się również ARAMEJSKIE PRZEKLADY I PARAFRAZY BIBLII (TARGUMY). Zwykło się sądzić, że powstawały, by zaspokoić potrzeby liturgiczne w środowiskach, w których język aramejski zastąpił mówiony przez długie stulecia język hebrajski (por. „PP” 4/1985, s. 46–61). W Qumran zachowały się trzy tego typu świadectwa:

- TARGUM DO KSIĘGI HIOBA obejmuje aktualne rozdziały 17–42 i oparty jest na typie tekstu Biblii masoreckiej;
- FRAGMENT OZNACZONY 4Q157 zawiera aramejski przekład Hb 3,5–9 i 4,16–5,4;
- TARGUM DO KSIĘGI KAPLAŃSKIEJ. Część uczonych sądzi, że nie jest to targum w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz resztki aramejskiej wersji Kpł przygotowanej na jakieś do-
rażne potrzeby.

Rękopisy pozabiblijne

Przeważająca większość zwojów qumrańskich zawiera różnego rodzaju teksty pozabiblijne. Badania trwające 40 lat pozwalają zaszeregować je do określonych kategorii:

¹² Ostatnio archeologia biblijna wzbogaciła się o nowe znalezisko. Chodzi o dwie srebrne rolki z doliny Hinnot z tekstem Lb 6,24–26 sporządzonym – jak wszystko na to wskazuje – w drugiej poł. VII w. przed Chr. Zob.: W. Chrostowski, *Odkrycie najstarszego zapisu biblijnego*, „Tyg. Powsz.” nr 34 z dn. 24.08.1986 r.; N. Mendecki, *Najstarszy tekst Pisma Świętego?*, RBiL 1/1987, s. 66–68.

1. KOMENTARZE BIBLIJNE (PESZARIM)

Zachowały się dwa typy komentarzy: zwyczajne, w których kolejno omawia się tekst, oraz tematyczne. Najbardziej znane przykłady pierwszego gatunku to:

- KOMENTARZ (PESZER) DO KSIĘGI HABAKUKA: tekst obejmuje dwa pierwsze rozdziały Księgi. Boże Imię Jahwe pojawia się w zapisie paleohebrajskim. Tekst pochodzi z II/I w. przed Chr. i ma charakter popularny;

- KOMENTARZ DO KSIĘGI NAHUMA: nieocenione źródło informacji o dziejach grupy qumrańskiej. Jest to jeden z najbardziej typowych przykładów aktualizowania prorocत्व biblijnych podług okoliczności i zapotrzebowania odbiorców;

- KOMENTARZ DO KSIĘGI PSALMÓW zawiera tekst Ps 37,7-40; 45,1-2 i (być może) 60,8-9 zinterpretowany w odniesieniu do wrogów wspólnoty.

Ponadto zachowały się drobne fragmenty komentarzy do Ozeasza, Micheasza, Sofoniasza, Izajasza i niektórych innych Psalmów.

Komentarze tematyczne podają zestawienia kilku perykop biblijnych wybranych stosownie do jakiejś wiodącej idei lub tematu, najczęściej zaopatrzone w pogłębiające objaśnienia. Szczególnie znane są:

- 14 FRAGMENTÓW TEKSTU OZNACZANEGO SYMBOLEM 11QMELCH: resztki midraszyckiego (por. „PP” 4/1987, s. 56-69) komentarza do wyselekcjonowanych partii Pięcioksięgi oraz do Iz. Najogólniej mówiąc jest to kombinacja zadań i cech rozmaitych osobistości ST przypisana Melchizedechowi;

- KOMENTARZ DO KSIĘGI WYJŚCIA: komentarz z gatunku halakha (por. „PP” 4/1987, s. 60-65);

- FRAGMENTY OZNACZONE JAKO 4QFLORILEGIUM: na czterech zachowanych fragmentach zestawione zostały cytaty z różnych ksiąg biblijnych;

- FRAGMENTY NAZYWANE 4QTESTIMONIA: zbiór cytatów ze Starego Testamentu oraz z pozabiblijnego tekstu nazywanego umownie 4QPsJoz;

- SŁOWA POCIESZENIA, HEBR. TANCHUMIM. Po cytatach biblijnych następowały komentarze, ale zachowały się tylko niewielkie fragmenty, które nie dają wyobrażenia o brzmieniu całości.

2. APOKRYFY (PSEUDOEPIGRAFY)

W grotach qumrańskich odnaleziono pozostałości pism naśladowujących rodzaj i styl kanonicznych ksiąg ST. W nawnictwie katolickim określa się je mianem apokryfów, natomiast protestanci nazywają je pseudoepigrafami. Dużą część tej twórczości znano od dawna, ponieważ wiele pism cieszyło się popularnością w pewnych środowiskach chrześcijańskich, ale inne dopiero teraz ujrzały światło dzienne. Do tych ostatnich należy aramejski TESTAMENT LEWIEGO i hebrajskie fragmenty TESTAMENTU NEFTALEGO. Oba znaleziska stanowią cenny przyczynek do gruntowniejszego poznania natury i dziejów TESTAMENTÓW DWUNASTU PATRIARCHÓW. Wśród pozostałych apokryfów najważniejsze to:

- OBSZERNE FRAGMENTY KSIĘGI HENOCHA znalezione w 4Q pochodzą z siedmiu różnych rękopisów sporządzonych w języku hebrajskim;

- GENESIS APOCRYPHON: jeden z najdłuższych tekstów aramejskich z Qumran. Zawiera dzieje postaci znanych z Rdz, przedstawione w taki sposób, jakby opowiadali je sami bohaterowie;

- MODLITWA NABONIDA: aramejski utwór w formie modlitwy przypisanej ostatniemu królowi babilońskiemu, Nabonidowi (lata 555-539) z licznymi paralelami do Dn 4;

- SŁOWA MOJŻESZA: rodzaj haggady (por. „PP” 4/1987, s. 60-65) do Pwt wzorowanej na pożegnalnej mowie Mojżesza;

- FRAGMENTY KSIĘGI TAJEMNIC: spośród kilkunastu odnalezionych fragmentów jeden zapowiada „przyszłą tajemnicę” polegającą na definitywnym usunięciu wszelkiej niegodziwości i powszechnym zwycięstwie sprawiedliwości;

- LAMENTACJE: pięć fragmentów tekstu ułożonego w formie lamentacji nad Jerozolimą wzorowanych na lamentacjach kanonicznych proroków Iz i Jr;

- BŁOGOSŁAWIEŃSTWA: cztery fragmenty eschatologicznych błogosławieństw przeznaczonych dla członków wspólnoty.

3. TEKSTY WSPÓLNOTY QUMRAŃSKIEJ

Stanowią osobną dobrze zachowaną grupę i dotyczą rozmaitych dziedzin życia. Odkrycie wielu było prawdziwym zaskoczeniem:

- **DOKUMENT DAMASCENSKI:** w 4Q, 5Q i 6Q odkryto rękopisy, pochodzące z pierwszej połowy I w. przed Chr., dzieła, którego dwa obszerne fragmenty, utrwalone na piśmie dopiero w X lub XII w., znaleziono pod koniec ub. stulecia w genizie kairskiej. Tematem jest teologiczna interpretacja dziejów Izraela oparta na przekonaniu, że Bóg wynagradza wierność, a karze apostazję członków narodu wybranego;

- **REGUŁA WSPÓLNOTY** również pochodzi z pierwszej poł. I w. przed Chr. Służyła jako podręcznik dla mistrza lub przywódcy qumrańskiej wspólnoty. W 4Q i 5Q znaleziono dwa apendyksy do tego dokumentu: - **REGUŁA MESJAŃSKA** zwana też **REGUŁĄ CAŁEJ WSPÓLNOTY** obejmuje dwie kolumny tekstu i zawiera rozporządzenia przewidziane na spodziewany „koniec czasów” oraz - **ZBIÓR BŁOGOSŁAWIEŃSTW** zachowany w nie najlepszym stanie zawiera eschatologiczne błogosławieństwa przeznaczone dla wspólnoty, kapłanów i „księcia”;

- **REGUŁA WOJNY** dostarcza niezbędnych wskazówek na czas eschatologicznej wojny Synów Światłości z mocami zła. Chociaż zawiera wiele opisów batalii militarnych, jest kompozycją teologiczną. Pochodzi z końca I w. przed Chr. lub pocz. I w. po Chr.;

- **HYMNY** ilustrują przejście od starotestamentowych Psalmów do literatury nowotestamentowej;

- **SŁOWA ŚWIATEŁ NIEBIAŃSKICH:** zbiór modlitw liturgicznych przewidzianych do wspólnej recytacji na poszczególne dni tygodnia. Szczególnie interesujący jest hymn przepisany na dzień szabatu;

- **LITURGIA ANIELSKA:** fragmenty 6. rękopisów opisują służbę Bożą celebrowaną w niebie oraz tron Boży podobny do opisanego w Ez 1 i 10;

- **OPIS NOWEJ JEROZOLIMY:** treścią pisma są wizje nowej Jerozolimy zbliżone gatunkiem i szczegółami do Ez 40-48;

- **ZWÓJ ŚWIĄTYNNY:** jedno z najbardziej dyskutowanych znalezisk qumrańskich. Rękopis zawiera 67 kolumn tekstu sporządzonego pismem herodiańskim na 16. pergaminowych arkuszach. Mamy tu szczegółowy opis wyidealizowanej świątyni jerozolimskiej sporządzony tak, jakby jego autorem był sam Bóg. Są w nim też zalecenia dotyczące sposobu postępowania i rytuału przewidzianego na czas istnienia idealnej świątyni;

- **ZWOJ MIEDZIANY:** niezwykle zapis w języku hebrajskim sporządzony na trzech arkuszach miedzianej blachy o rozmiarach 80×30 cm i grubości 1 mm. Ponieważ rozwinięcie zwoju okazało się niemożliwe, pocięto go wzdłuż na pojedyncze paski i dopiero wtedy tekst został odczytany przez J. T. Milika i J. M. Allegro. Styl i forma zapisu pokrewne są językowi Miszny. Na 12. kolumnach mamy ponad 60 opisów topograficznych i toponimicznych, po których następują wyliczania złotych i srebrnych skarbów, pachnidel i kosztowności¹³. Część uczonych (m.in. Milik) sądzi, że zapis jest produktem ludowej wyobraźni i dość przypadkowo znalazł się wśród rękopisów qumrańskich. Inni (m.in. Allegro) są zdania, że chodzi o wykaz skarbów gromadzonych przez wieki w świątyni jerozolimskiej i ukrytych w obawie przed grabieżą ze strony Rzymian.

¹³ J. M. Allegro obliczył, że całkowita waga skarbów wykonanych z drogocennych metali wynosi ok. 26 ton złota i 65 ton srebra! Nic dziwnego, że żądni przygód i zarobku amatorzy już nie raz podejmowali, jak dotąd bezskutecznie, próby zidentyfikowania opisanych w zwoju miejsc zdeponowania domniemanych skarbów.

Qumrán – 40 ans après (I)

Le premier homme de science à avoir apprécié à leur juste valeur les manuscrits de Qumrán retrouvés en 1947, fut Eleazar Lipa Sukenik. Cette découverte sensationnelle suscita un intérêt des plus vifs: rien que la première décennie qui a suivi la découverte, vit la parution de plus de 1500 articles et études consacrés à Qumrán. Des expéditions archéologiques con-

sécutives ont exploré les onze grottes du site qui ont fourni un très abondant matériel paléographique: plusieurs milliers de fragments provenant de plus de 800 manuscrits. Ceux-ci datent des dernières décennies vétéro-testamentaires et des premières de l'ère chrétienne. Il y a parmi eux des textes bibliques et d'autres, non bibliques.

W kręgu filozoficznych pytań ewolucji (9)

ks. Józef Życiński

Meandry ewolucji twórczej

Hamlet i ewolucja

Twórca charakter ewolucji sprawia, iż porównuje się ją często do arcydzieł literatury lub wielkich symfonii muzycznych. Theodosius Dobzhansky, stosując się do tej konwencji językowej, porównywał dobór naturalny do kompozytora. Podobnie E. Mayr, uważając dobór za podstawowy mechanizm ewolucyjnych przemian, odwoływał się do metafor dotyczących twórczości rzeźbiarza. Najbardziej konkretny był w swych porównaniach Sir Julian Huxley, który pozwolił sobie na rozwinięcie analogii między twórczością ewolucji i twórczością Szekspira. Ostatnie porównanie prowadzi prosto do dylematów Hamleta, któremu trudno dokonać jednoznacznego wyboru.

Ewolucyjny Hamlet doświadcza głębokich rozterek zarówno przy próbie określenia podstawowych mechanizmów determinujących przebieg rozwoju, jak i przy szczególnej precyzacji ich zakresu oraz wzajemnych związków. W reprezentatywnej dla współczesnego neodarwinizmu teorii „nowej syntezy”¹ przyjmuje się istnienie dwóch podstawowych czynników, które decydują o charakterze twórczości ewolucyjnej. Są nimi: dobór naturalny i mutacje. Pierwszy z nich umożliwia dostosowanie do środowiska przez rozwój cech korzystnych ułatwiających przetrwanie. Drugi prowadzi do wyłonienia się nowych cech osobniczych drogą mutacyjnych prób i błędów. Ich wzajemne połączenie sprawia, iż utylitarna adaptacja i przypadkowe mutacje tworzą poemat rozwoju porównywany przez ekspertów do największych arcydzieł ludzkiej twórczości.

Analiza tekstów poematów bywa zajęciem nudnawym, lecz skądinąd bardzo wartościowym. Zatrzymajmy się przeto przez chwilę nad analizą treści podstawowego dla

Darwina określenia „dobór naturalny”. By określić naturę funkcjonowania mechanizmów doboru, najczęściej odwołujemy się do Spencerowskiego zwrotu *przetrwanie najbardziej dostosowanych* (survival of the fittest). To dobór naturalny umożliwia twórczy charakter ewolucji gwarantując przetrwanie najbardziej dostosowanych. Kogo jednak uznać konkretnie za najbardziej dostosowanego? Najprostsza byłaby odpowiedź: Tego, który przetrwał w ewolucyjnej walce o byt. Odpowiedź taka miałaby jednak charakter tautologii, „informując”, iż ewolucyjne zmiany przetrwają ci osobnicy, którzy przetrwają.

Ostatnią informację trudno uważać za szczególnie wartościową. Dlatego też podejmuje się próby odmiennej charakterystyki ewolucyjnego dostosowania. Ich wynikiem jest m.in. nowa formuła mówiąca o *przetrwaniu najbardziej skomplikowanych*. Ponieważ jednak ocena stopnia komplikacji organizmu nie jest sama wolna od komplikacji, usiłuje się poszukiwać innych wskaźników dostosowania ułatwiających przetrwanie. Poszukiwania te uwzględniają określone cechy morfologiczne czy fizjologiczne ułatwiające adaptację w konkretnych warunkach danego środowiska. To przejście od radosnej wiary we wszechmocny dobór do szczegółowych rozróżnień określających wskaźniki dostosowania bywa często przyczyną mocnych antydarwinowskich komentarzy. M.in. Thomas Bethell w opublikowanym w 1976 r. artykule „Darwin's Mistake” wyraża opinię, iż wiara Darwina w postęp i twórczość ewolucji była jedynie przejawem optymizmu epoki wiktoriańskiej, w której wszyscy oczekiwali przeobrażeń niosących postęp. Bethell wprowadza w swym komentarzu zaskakujące tezy. Głoszą one, iż ponoć *dobór naturalny został spokojnie zarzucony nawet przez jego najbardziej gorliwych zwolenników*².

Ostatnia opinia na pewno nie odpowiada stanowi faktycznemu. Świadczy ona jednak, jak wiele interpretacyjnych trudności sprawia określenie bliższego sensu formuł, które wydawały się jasne entuzjastom sprzed stulecia. W sloganie o *przetrwaniu najlepszych* dodatkowe trudności niesie kwe-

¹ Zob. np. M. Ruse, *Darwinism Defended: A Guide to the Evolution Controversies*, London 1982.

² Cyt. w S. J. Gould, *Ever Since Darwin. Reflections in Natural History*, New York 1980, s. 39.

stia, kto konkretnie ma przetrwać: jednostka, grupa czy może gatunek? George E. Pugh w swej pracy „The Biological Origins of Human Values” opowiada się za pierwszą z sugerowanych możliwości. W jego charakterystyce rozwoju społeczności ludzkiej decydującym czynnikiem są takie elementy, jak osobiste zdolności przedsiębiorcze, umiejętność kierowania, poczucie humoru, osobisty zmysł etyczny. Bez nich nie można byłoby mówić o dostosowaniu człowieka do określonych warunków i zadań.

Zarówno w opracowaniach dotyczących ekologii jak i socjobiologii przetrwanie poszczególnych jednostek jest mniej istotne. Autorzy, którzy chcieliby twórczość ewolucji rozciągnąć na dziedzinę ludzkiej etyki, nie byłiby skłonni twierdzić, iż poczucie altruizmu lub postawa ofiarniczego poświęcenia szczególnie ułatwiają przetrwanie JEDNOSTKI w walce o byt. Dlatego też mechanizmy przetrwania rozciąga się wówczas na większą grupę lub nawet na cały gatunek. Po odwołaniu się do twierdzeń genetyki i zasad rachunku prawdopodobieństwa usiłuje się wtedy wykazywać, iż dana społeczność może łatwiej przetrwać, jeśli jakiś altruista poświęci się, by ratować trójkę swych mniej altruistycznych braci. Wspomniane zasady mówią bowiem, iż brat posiada połowę genów altruisty-ofiarnika i skutkiem tego dwóch braci może przekazać potomności komplet jego genów. Altruistyczny akt samopoświęcenia okazuje się więc ostatecznie przejawem ewolucyjnego wyrachowania, które ułatwia przetrwanie gatunku. Niezależnie od wskazanych statystycznych prawidłowości próba przyjęcia podobnej interpretacji celem wyjaśnienia postaw etycznych człowieka wydaje się z wielu powodów bardzo ryzykownym zabiegiem.

Niektórzy z autorów analizujących twórczość ewolucji uważają, iż jej głównym czynnikiem nie jest przetrwanie jednostki lub gatunku, lecz przetrwanie KULTURY³. Ich ujęcie trudno z kolei uznać za ścisłe, gdyż antropologowie nie są zgodni, co uważać za istotę kultury. Zależnie od tego, czy przez kulturę będzie rozumieć się artefakty narzędzi i stworzonych obiektów, czy też „mentefakty” wyrażające informacje dostępne danej społeczności – otrzymujemy kran-cowo różne wizje kultury, w której zachodzi ewolucja twórcza⁴.

W przeciwstawnej skrajnej propozycji wprowadza się mikroperspektywę mówiąc o GENACH jako podstawowych jednostkach, których przetrwanie warunkuje ewolucyjną twórczość. Samuel Butler był autorem sarkastycznej uwagi, iż kura stanowi jedynie narzędzie, którym posługuje się jajko, by wytworzyć inne jajko. W socjogenetycznych rozważaniach Richarda Dawkinsa człowiek jawi się jedynie jako obiekt tworzony przez geny do wytwarzania innych genów⁵.

Szekspirowski Hamlet miał do rozstrzygnięcia jedynie alternatywę „być albo nie być”. Meandry ewolucji twórczej prowadzą przez znacznie bardziej skomplikowane wybory. Podstawowe decyzje dotyczące sensu tak elementarnych wyrażań, jak „dobór naturalny” ukazują ewolucyjną twórczość w radykalnie różnej perspektywie. O tym, czy w perspektywie tej dominuje tragizm i absurd, czy też optymistyczna wiara w postęp, decydują założenia filozoficzne podzielane przez poszczególnych autorów. Znane fakty nie wystarczają bowiem do rozstrzygnięcia powstających dylematów.

Modelowanie historii

Sygnalizowane rozbieżności nie upoważniają w żadnym przypadku do kwestionowania faktu ewolucji. Ewolucja twórcza wprowadza w perspektywę historyczną, ukazując obraz przyrody, która ulega głębokim zmianom w czasie. Próby określenia mechanizmów i praw łączących historię i naturę w jednym nurcie ewolucyjnych przemian natrafiają ciągle na podstawowe trudności. Analogiczne zjawiska można wskazać na poziomie społecznego rozwoju ludzkości. Wierzący w potęgę racjonalnej refleksji spadkobiercy Hegla usiłują z niegasnącym zapałem określać prawa historii rządzące ewolucją społeczeństwa. Z tego, iż historia nie-
szczególnie stosuje się do tych praw, nie należy wyprowadzać wniosków kwestionujących sam fakt roz-

⁵ Zob. poglądy D. T. Campbella i R. W. Burhoca, „Zygon”, 10(1975)299; 11(1976)167.

⁶ O sygnalizowanych różnicach pisze m.in. D. Smilie, *Sociobiology and Human Culture*, w: *Sociobiology and Epistemology*, Dordrecht 1985, s. 76 n.

⁷ Zob. np. R. Dawkins, *The Selfish Gene*, Oxford 1976.

woju. Rozwój jest niewątpliwy, nie można go jednak podporządkować prostym mechanizmom, których odkrycie przypisywali sobie optymiści dziewiętnastowiecznej historiozofii. Podobnie przedstawia się status ewolucji biologicznej i mechanizmów jej rozwoju.

W sieci krzyżujących się interpretacji można przytaczać wiele przykładów domniemanych praw, którym usiłowano przypisywać podstawową doniosłość filozoficzną. Z upływem czasu okazało się, iż rzekome prawa stanowiły wyłącznie produkt fantazji ich twórców. Jako klasyczny przykład można wskazać tzw. prawo rekapitulacji sformułowane przez E. Haeckela. Sam twórca opatrzył je etykietą „prawa biogenetycznego” oraz ukuł żargonową formułę głoszącą, iż *ontogeneza stanowi rekapitulację filogenezy*. Nawijając do pewnych podobieństw i wprowadzając ryzykowne uogólnienia, prawo to orzekało, iż w rozwoju jednostek ludzkich znajduje skrótowe powtórzenie całej historia rozwoju istot żywych. W komentarzach do swego prawa dużo miejsca poświęcał Haeckel problematyce podobieństwa embrionu ludzkiego do ryb, jak również analogiom między poziomem rozwoju intelektualnego dojrzałych osobników społeczności prymitywnych oraz dzieci z wysoko cywilizowanych społeczeństw. Komentarze te służyły następnie za podstawę bardzo mocnych wniosków filozoficznych. W sytuacji gdy wydawało się, iż całą ewolucję gatunku ludzkiego można obserwować w skróconym wydaniu poprzez badanie rozwoju indywidualnego embrionu, stosunkowo szybko pojawiły się warianty triumfalistycznego ewolucjonizmu. Nie zostawiając miejsca na wątpliwość co do postępu i twórczości ewolucji, Haeckel twierdził kategorycznie: *Ewolucja i postęp stoją po tej samej stronie w sztykach zebranych pod jasnym sztandarem nauki. Pod czarną flagą przeciwnej strony /.../ zgromadziły się duchowe służalstwo i fałsz, nędza intelektualna i barbaryzm, przesąd i zacofanie. /.../ Ewolucja stanowi ciężką artylerię w walce o prawdę. Padają przed nią całe zastępy sofizmów dualizmu...*⁶

Kategoryczne wnioski podobnych tekstów propagujące monizm materialistyczny przyciągały uwagę wielu innych badaczy, wywołując swoistą reakcję łańcuchową. Wśród czytelników i sympatyków Haeckela był m.in. Fryderyk

Engels, którego komentarze zawarte w „Dialektyce przyrody“ zawierają wiele sformułowań użytych przez Haeckela.

W mniej triumfalistycznym, ale za to bardziej „praktycznym“ kierunku, usiłowali Haeckelowskie prawo rekapitulacji wykorzystać zwolennicy rasizmu. Kładąc nacisk na tezę, iż rozwój osobników dojrzałych „niższych“ ras odpowiada rozwojowi dzieci z „najwyższej“ – białej – rasy, usiłowali oni bronić kolonializmu i usprawiedliwiać paternalizm w stosunku do mieszkańców Afryki czy Oceanii. Ideologię ewolucyjnej twórczości niosącej postęp usiłowano, jak na ironię, wykorzystywać do obrony prymitywnej polityki ucisku społecznego i eksploatacji ekonomicznej. Podobne połączenie wzniosłych triumfalistycznych haseł z prymitywną ochroną partykularnych korzyści praktykowane bywa nie tylko w kręgu oficjalnych ideologów ewolucjonizmu. Dlatego też nie można na jego podstawie formułować żadnych ocen ewolucji jako takiej. Należy jedynie zauważyć prawidłowość przejawiającą się w tym, iż w tekstach naukowych dużą rolę odgrywają przypuszczenia, hipotezy i domysły. Ich odceność ujawnia się za pośrednictwem terminów „możliwe“, „być może“, „prawdopodobne“. Jest to słownik naturalny dla nauki, która musi rozwijać się metodą prób i błędów. Równocześnie słownik ten jest całkowicie obcy ideologom czy politykom. Mają oni zwyczaj traktować każdą swą wypowiedź jako prawdę najgłębszą i ostateczną. Ich kategoryczny ton wykluczający alternatywne możliwości pozostaje wymownym wskaźnikiem, iż pełne samozadowolenia wypowiedzi nie mają nic wspólnego z nauką.

Haeckelowskie prawo rekapitulacji uznawane jest obecnie nie tylko za obce nauce, lecz nawet za absurdalne treściow⁷. Odrzucanie praw i modyfikacji modeli naukowych stanowią normalną drogę rozwoju nauki. Na drodze tej nienormalny charakter miało natomiast łączenie metafizyki monizmu oraz ideologii postępu z prawami, które z wielu powodów należało od razu uznać za wątpliwe. Przeciwna procedura wyzwaliała emocje i sprzyjała tworzeniu nowej mitologii, tam gdzie należało ograniczyć się do krytycznego poszukiwania mechanizmów ewolucyjnej twórczości.

⁷ Cyt. za S. J. Gould, dz. cyt., s. 217.

⁸ Por. D. Smillie, dz. cyt., s. 84.

Podejście Haeckela dostarcza szczególnie wymownego przykładu arbitralnych spekulacji zaopatrzonych w etykietę ewolucjonizmu. Podobnych przykładów można by jednak mnożyć wiele. W imię ewolucji dowodzono w nich najbardziej fantastycznych tez. Podczas gdy ewolucjonista Spencer utrzymywał w swej ewolucyjnej antropologii, iż mężczyźni są z natury doskonalsi od kobiet podobnie jak Brytyjczycy od plemion prymitywnych, sympatycy antropologicznej neotenii bronili tezy dokładnie przeciwnej. *Kobieta* – pisał w 1894 r. Havelock Ellis – *nosi w sobie w dużo większym stopniu niż mężczyzna cechy charakterystyczne człowieczeństwa. /.../ Mieszkaniec cywilizacji miejskiej posiadający wysokie czoło, delikatną twarz i drobną budowę kości znacznie bardziej przypomina typową kobietę niż dzikus...* Gdyby konsekwentnie rozwinąć podobne sugestie, można by przedstawić zniewieściałą cywilizację jako uwięźnienie ewolucyjnej twórczości.

W bliższych nam czasach, gdy przebrzmiały echa dawnych sporów o wyższości płci i ras, można spotkać mniej wzniosłe a bardziej sarkastyczne próby charakterystyki ewolucji twórczej. Sugeruje się w nich m.in., iż w obecnym stadium rozwoju naszego gatunku ewolucyjna twórczość polega na tworzeniu... nowych protez. W ujęciu tym samochód stanowi udoskonaloną protezę nóg, samolot – skrzydeł, ubranie jest protezą sierści zaś komputer – protezą mózgu⁸. Oprotezowany homo sapiens z podobnych ujęć niewiele różni się od bohaterów Lema wymienających kolejne protezy mózgu.

To, czy ludzką kulturę materialną będziemy opisywać w kategoriach doskonalonych protez, czy wyjątkowego w skali przyrody rozwoju refleksji teoretycznej, zależy od przyjętej perspektywy badawczej. Sama nauka nie może dostarczyć uniwersalnej „jedynie słusznej” perspektywy, gdyż byłoby to wyrazem zaborczości intelektualnej, która minęła wraz z upadkiem pozytywizmu. Dlatego też rola nauki ogranicza się do konstatacji faktów oraz poszukiwania tłumaczących je mechanizmów i praw. Wielość różnorodnych modeli i alternatywnych interpretacji jest zjawiskiem naturalnym w przypadku nowych teorii obejmujących całość złożonej ewolucji organizmów żywych. Wielość ta sprzyja jednak również rozwijaniu pozanaukowych wizji,

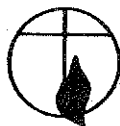
w których usiłuje się wypracować spójny i zupełny obraz ewolucji twórczej. Jego poszukiwanie pozostaje naturalną potrzebą ludzkiego intelektu, który pyta o całość. Uproszczenia przeszłości mogą natomiast chronić przed powtarzaniem tych samych błędów przez kolejne generacje pytające o naturę twórczego rozwoju.

* Zob. H. K. Erben, *Die Entwicklung der Lebewesen*, Zürich 1975.

Les méandres de l'évolution créatrice

Représentative du néo-darwinisme d'aujourd'hui, la théorie de la „nouvelle synthèse“ admet l'existence de deux facteurs fondamentaux qui déterminent le caractère de l'évolution créatrice. Ce sont: la sélection naturelle et les mutations. La signification de ces facteurs qui paraissait simple aux enthousiastes d'il y a un siècle, pose cependant plus d'un problème d'interprétation, sans pour autant que cela autorise à remettre en

question le fait de l'évolution. L'évolution créatrice offre en effet une perspective historique, en montrant l'image d'une nature en changement dans le temps. Toutefois, les tentatives de définir les mécanismes et les lois opérationnels à la jonction de l'histoire et de la nature inscrites dans le courant des changements par évolution, se heurtent toujours à des difficultés majeurs.



Pytania bez odpowiedzi

Kazimierz Dziewanowski

Wyznania publicysty

W gruncie rzeczy nie wiem, czy potrafię napisać coś sensownego o tej sprawie, powiedzieć coś, co by warte było wydrukowania. Mam wątpliwości. Zbyt trudna to sprawa, zbyt złożona, zbyt wieloznaczna. Budzi zbyt wielkie onieśmienie. A jeśli mam takie wątpliwości – to czy nie lepiej byłoby milczeć? Czy nie lepiej od razu uznać swą małość, swój brak kompetencji, swą niedoskonałość?

Zapewne byłoby lepiej. Temat, o który chodzi: znaczenie, przebieg, rezultaty trzeciej pielgrzymki papieskiej, trzeciej wizyty Ojca Świętego w kraju – to sprawa tak poważna, tak trudna do właściwej oceny, że chyba lepiej byłoby rzeczywiście zamilknąć. Lecz z drugiej strony publicysta – jeśli chodzi o swego zawodu poważnie – powinien wiedzieć, że jest nie po to, aby pisać o sprawach łatwych, lecz po to, aby pisać o trudnych. Więc powiem od razu: wiem, że nie umiem ocenić tego wydarzenia, przewidzieć jego dalszych konsekwencji; myślę zresztą, że nikt tego nie potrafi, choć może nie każdy chce się do tego przyznać. Ale wobec tego ponownie powraca pytanie: po co się do tego zabieram, skoro mam świadomość, że nie potrafię? Oto pytanie, na które właściwie nie mam odpowiedzi. Lecz przecież wydaje mi się jednocześnie, że choć nie mamy pełnej i satysfakcjonującej odpowiedzi – to przecież nie zwalnia nas to z obowiązku myślenia, zastanawiania się, poszukiwania choćby częściowych elementów wyjaśnienia.

Spójrzmy na to od innej strony. Ambicja pełnego wyjaśnienia, oceny, uporządkowania wszystkiego świadczyłaby przecież o wielkiej pysze, zadufaniu w sobie i swoje możliwości, byłaby dowodem wielkiego braku skromności. Czy więc nie należy po prostu robić tego, na co nas stać – a resztę zostawić czasowi? Myślę, że jest to jedyna sensowna postawa, jaką należy przyjąć. Kiedy temat jest bardzo wielki i złożony a trudności w mówieniu o nim i pisanu – ogrom-

ne, wtedy najlepsze, co można zrobić, jest mówienie o nim i pisanie w sposób możliwie najprostszy.

I jest jeszcze jeden powód, dla którego czuję potrzebę zabrania głosu – choćby w sposób bardzo niedoskonały. Uważam mianowicie, że myśląc – a czasem i mówiąc – o tej nadchodzącej pielgrzymce popełniłem dużo różnych błędów, których mi dzisiaj wstyd. Chcę wyznać, jakie one były. Może to będzie komuś przydatne.

Byłem wśród tych, którzy oczekiwali tej wizyty, tej pielgrzymki z wielką obawą. Przewidywane straty i zagrożenia wydawały mi się (i nie tylko mnie, również wielu innym ludziom) większe niż możliwe korzyści. Dziś wygląda na to, że byłem małego ducha. To znaczy: nadal nie wiem, jakie korzyści i jakie umocnienie, jakie impulsy i nowe siły zdoła z posiewu tego tygodnia wyciągnąć dla siebie nasze społeczeństwo. To się dopiero okaże i niczego kategorycznego na ten temat powiedzieć się nie da, nikt nie może nawet mieć o to do siebie pretensji. Rzecz w tym, że małość mojego ducha objawiła się w przecenianiu wagi owych możliwych strat i zagrożeń. Nie ziściły się one. Tak więc mój duch okazał się mały. A może nie zdawałem sobie mimo wszystko sprawy z wielkości Człowieka, który nas miał odwiedzić.

Może też były inne przyczyny, wśród nich profesjonalne skrzywienie perspektywy. Zajmując się zawodowo komentowaniem wielkiej polityki (podkreślam: komentowaniem, a nie uprawianiem), rozmyślaniem nad jej mechanizmami, nad naukami płynącymi z dotychczasowych doświadczeń i nad przyszłymi możliwościami – siłą rzeczy spoglądałam na wielkie wydarzenia przede wszystkim jako na epizody życia politycznego. Tak więc z przyzwyczajenia, a także na potrzeby uprawianej przeze mnie publicystyki, zawodowo, a czasem niemal automatycznie zajmuję się oceną wagi politycznej poszczególnych wydarzeń, ich przypuszczalnymi konsekwencjami, różnymi wariantami ich ewentualnego dalszego przebiegu, możliwościami, jakie dopiero mogą się ujawnić, ich wpływem na różnych uczestników gry i na układ sił, korzyściami, jakie różne strony mogą z nich wyciągnąć, wpływem, jaki one wywrą na dalszą sytuację i pozycję każdego z uczestników.

Myślę, że nie można powiedzieć, aby taka analiza była zbędna, przynajmniej tak mi się wydaje, można tylko dysku-

tować, czy nie jest ona ćwiczeniem uprawianym sobie a mu-
zom i czy przynosi jakiś pożytek społeczny. Ale to już inna
sprawa. Natomiast samo myślenie polityczne nie jest zbęd-
nym luksusem. W naszym życiu polityką jest niemal
wszystko, o wiele w każdym razie więcej, niżbyśmy sobie
tego życzyli. Istnieją wprawdzie ludzie, którzy z uporem
odmawiają uznania politycznego znaczenia jakichś zjawisk
czy wydarzeń – spotkałem się z taką postawą również przy
okazji tej wizyty. Taka postawa wydaje mi się nieprzekonu-
jąca, bo czy coś ma znaczenie polityczne, czy nie ma – to nie
zależy przecież od naszej zgody czy niezgody. Jeżeli pada
deszcz, to jest to zjawisko meteorologiczne bez względu na
to, czy się z tym zgadzamy, czy nie. Ten deszcz z pewnością
wpłynie na wilgotność gleby, choćbyśmy z oburzeniem
odrzucaли taką tezę. Nasza niezgoda na uznanie faktu, że za
oknem pada deszcz, świadczy jedynie o naszej wewnętrznej
potrzebie suchości, a nie o tym, co naprawdę dzieje się na
dworze. A jeszcze śmieszniejsi są ludzie, którzy twierdzą, że
deszcz w ogóle nie może być mokry, bo to jest niezgodne
z wyznawanymi przez nich teoriami, ergo jest niewłaściwe,
niedopuszczalne i zakazane.

Perski monarcha, który kazał wychłostać morze, też uwa-
żał zapewne, że falowanie wody podczas przeprawy jego
wojska jest niewłaściwe, niedopuszczalne i zakazane. Był to
ze strony morza duży nietakt, lecz słuszne oburzenie króla
nie uspokoiło fal i nie zapobiegło katastrofie okrętów.
Nasuwa się jednak myśl, że król nie tyle liczył, że uspokoi
fale, ile że poskromi poddanych; ten bowiem, kto nie waha
się wysmagać morza, z pewnością nie zawaha się też przed
ubiczowaniem nieposłusznych urzędników, oficerów czy
marynarzy.

Lecz wróćmy do tematu. Traktowanie wielkich wydarzeń
dotyczących milionów ludzi, zmieniających atmosferę,
wpływających na psychikę szerokich rzesz ludzkich – jako
wydarzeń politycznych z pewnością nie jest niedopusz-
czalne i niewłaściwe. W tym sensie ludzie, którzy tak do
tego podchodzili (w ich liczbie i ja) błędu nie popełnili.
Trzeci przyjazd Papieża do Polski był wielkim wydarzeniem
politycznym – to nie ulega wątpliwości. Był nim, choć dziś
nie umiemy jeszcze rozpoznać jego rzeczywistego znaczenia
i ewentualnych przyszych skutków.

Przewidywanie, że wizyta będzie miała znaczenie polityczne, błędem nie było. Mogło nim natomiast być przypisywanie jej znaczenia wyłącznie politycznego, rozpatrywanie jej jedynie z punktu widzenia politycznego rachunku korzyści i strat, wpływu na stosunek sił, na ewentualne możliwości wykorzystania w walce i propagandzie. Jeżeli ktoś tak podchodził do sprawy (a byli z pewnością po obu stronach ludzie myślący w taki właśnie sposób), ten popełnił błąd i dziś czuje się zawiedziony w swoich kalkulacjach. Albo też – jak ja – nie czuje się wprawdzie zawiedziony – wręcz przeciwnie – lecz żałuje, że myślał zbyt wąsko, że żywił zbyt wiele nieuzasadnionych obaw, że okazał się zbyt mały duchem.

Bywają wydarzenia, które mają jeszcze inny, głębszy, dalej sięgający wymiar; których nie można rozpatrywać li tylko w kategoriach politologicznych. Bywają wydarzenia, których główne korzenie sięgają głębiej: w dziedzinę problemów filozoficznych, eschatologicznych, etycznych, w dziedzinę zasadniczych problemów dotyczących życia publicznego, historii, kultury, ludzkiej przeszłości i przyszłości.

Tak więc – jeśli popełniłem błąd – to właśnie taki: rozpatrywałem sprawę ze zbyt wąskiej, zbyt ograniczonej perspektywy. I dlatego postanowiłem napisać to wyznanie komentatora politycznego, któremu nagle przypominano, że bywają sprawy głębsze i szersze, a doraźny, widoczny gołym okiem wymiar polityczny nie jest jedyny, czasem nawet nie jest wcale najważniejszy.

Posłużę się teraz pewną myślą, którą sformułował swego czasu Oswald Spengler w swym słynnym dziele¹. Napisał on: *Wielkim błędem współczesnych doktrynerów jest to, że uważają ducha dziejów wewnętrznych (poszczególnych państw i narodów – przyp. mój KD) za historię w ogólności. Historia świata jest historią państw i taka pozostanie. Wewnętrzne ukonstytuowanie każdego narodu ma za cel – zawsze i wszędzie – przygotowanie do walki wewnętrznej: wojskowej, dyplomatycznej czy gospodarczej. Kto uważa wewnętrzne ukształtowanie za cel sam w sobie lub za ideał sobie sam wystarczający, ten swoją działalnością przygotowuje zagładę*

¹ Oswald Spengler, *Der Untergang des Abendlandes*, Monachium 1922, t. 2, s. 454. tłum. moje – KD.

narodu. Z drugiej wszelako strony warstwa rządząca – bez względu na to, z którego stanu się wywodzi – musi mieć dość wewnętrypolitycznego taktu, aby tak obchodzić się ze sprzecznosciami pomiędzy poszczególnymi stanami, by nie unieruchamiać myśli i sił narodu w walce partyjnej i aby zdrada kraju nie wydawała się ultima ratio.

Oswald Spengler był filozofem, którego myśl przemierzała stulecia i tysiąclecia poszukując najistotniejszych prawideł rozwoju historycznego. Dzisiaj wnioski, które wyciągał ze swoich poszukiwań, mogą nam się czasem wydawać zbyt pośpieszne. Szczególnie źle mu się przysłużył tytuł jego dzieła: „Zmierzch Zachodu”. Był to wspaniały tytuł, który przyczynił się do nadania dziełu rozgłosu, ale był zarazem zbyt przesadzający i kategoryczny, dziś odstręcza czytelników jako nazbyt pośpieszny i naiwny, jako fałszywe proroctwo (nie brakowało ich w tamtych czasach), jako widomy dowód przyjętego z góry, ale słabo udowodnionego założenia, którego rzeczywistość wcale nie potwierdziła. Dzisiaj bowiem możemy wprawdzie zastanawiać się nad kryzysem świata jako całości, obawiać się ogólnego zmierzchu ludzkości, ale akurat ta jego część, którą zwą Zachodem, radzi sobie stosunkowo najlepiej; lepiej w każdym razie niż pozostałe.

Dalsze przygody dzieła Spenglera nie zmieniają faktu, że przytoczona tu myśl jest dość frapująca. Pisząc te zdania filozof chciał zapewne przeciwstawić się nadmiernemu eksponowaniu wagi polityki wewnętrznej, co w owym czasie było tendencją dominującą. Chciał zwrócić uwagę na zasadniczą funkcję państwa, jaką jest zapewnienie narodowi wspólnej i nadrzędnej organizacji obronnej w obliczu świata zewnętrznego. Teorie walki klas, które eksponują walkę wewnętrzną każdego narodu i czynią ją głównym motorem dziejów, zacierają i fałszują obraz tej zasadniczej funkcji państwa, a w praktycznym zastosowaniu czynią ją nieraz trudno dostrzegalną lub wręcz niezrozumiałą. Sądzę, że dzisiaj w Polsce sprawy te są szczególnie zaciemnione, zatarte, przeinaczone. Funkcja wewnętrzna państwa wysuwana jest na czoło i przysłania wszystko inne (co nie jest przypadkiem). Wszystko inne jest jej podporządkowane. I gdzie w tej sytuacji mówić o Spenglerowskim *wewnętrypolitycznym taktcie!*

W cytowanym wywodzie Spengler napisał: *Historia świata jest historią państw i taka pozostanie*. Chodziło mu więc o historię między państwami. W większości tekstów oficjalnie publikowanych w Polsce sprawa ulega istotnemu przekształceniu: historia międzynarodowa zastąpiona zostaje historią międzyblokową, a ta zresztą też jest traktowana z istic spartańską powściągliwością zarówno w słowach, jak i w myślach w niej zawartych.

Powyższe zdanie Spenglera, napisane z zamiarem polemicznym, stanowi jakby spłylenie i ograniczenie znaczenia i zakresu historii. Z całości dzieła Spenglera wynika jednak, że doceniał on, rozumiał i uznawał fakt, że historia – wbrew zacytowanemu zdaniu – to nie tylko dzieje stosunków i walk między państwami, lecz również historia kultury materialnej, krążenia idei i towarów, powstawania religii i systemów filozoficznych, rozwoju techniki, badań naukowych, odkryć geograficznych, nowych metod produkcji, nowych obyczajów konsumpcyjnych, nowych sposobów spędzania wolnego czasu i tak dalej.

Otóż, jeżeli przyrzeć się dziejom ostatniego półwiecza, trudno nie zauważyć, że wszystkie odkrycia i nowości w tych wszystkich dziedzinach są dziełem Zachodu skazanego przez Spenglera na zmierzch. Spengler użył słowa „Der Untergang”. Oznaczać ono może, jak to ładnie przełożono w Polsce, „zmierzch”. Ale może również oznaczać katastrofę, zagładę, zatonięcie, upadek. Pięćdziesiąt i sześćdziesiąt lat temu ten pesymizm historyczny mógł się wydawać usprawiedliwiony, a nawet nieunikniony. Dziś wydaje się raczej nieporozumieniem. Obecnie pesymizm dotyczy może oczywiście losu świata jako całości, bo groźby nad nim wiszące są bardzo wielkie. Ale to jest inne zagadnienie. Natomiast na ogólnoludzkim pustkowiu ideowym, jakie się wytworzyło przy końcu XX w. i które jest objawem wielkiego kryzysu dotyczącego ludzkości jako całości – jedyne dwie idee, jakie widać obecnie na horyzoncie i które świecą coraz jaśniej zyskując nowych zwolenników: idea praw człowieka i myśli zawarte w opartej na personalizmie nauce społecznej Kościoła, te dwie idee pochodzą z Zachodu i jego kręgu umysłowego. Dlatego dziś na pytanie gdzie zmierzch, a gdzie świt, gdzie słońce wschodzi, a kędy zachod-

dzi – nie można udzielić odpowiedzi obracając się w kręgu starych stereotypów.

Wszelako uczciwość nakazuje przyznać, że to jest może nadmierne uproszczenie, bo istnieje także trzecia idea nie będąca dziełem Zachodu, a czyniąca spektakularne postępy. Mam na myśli renesans islamu, a zwłaszcza jego radykalnych, fundamentalistycznych odłamów.

Dwa cytaty z przemówienia Jana Pawła II do Konferencji Episkopatu Polski w Warszawie, 14 czerwca 1987². Oto pierwszy: *Tak więc: człowiek, „istota nieznana”, jak się wyraził współczesny przyrodnik (Alexis Carrel) – jest także tajemnicą. A nade wszystko jest osobą, jest podmiotem swych czynów. Podmiotem moralności. Podmiotem dziejów. Nie tylko odbiciem „panujących stosunków społeczno-ekonomicznych”. Nie tylko epifenomenem ekonomii. Także i w stosunku do niej jest podmiotem i twórcą. Chyba, że zostanie pozbawiony swej podmiotowości i twórczej inicjatywy w tej dziedzinie – jakże ważnej dla życia ludzi, społeczeństw, narodów.*

A oto drugi cytat: *Na ponowne przemyślenie zasługuje to wszystko, co składa się na tak zwaną społeczną naukę Kościoła, „udziśnieszona” w kontekście naszego stulecia przez szereg encyklik, a zwłaszcza przez sobór... Z racji swej misji ewangelicznej i pasterskiej Kościół nie może przestać być sługą takich zadań jak podmiotowość społeczeństwa związana z przestrzeganiem praw osoby ludzkiej. Z tym łączy się ściśle zasada uczestnictwa w stanowieniu o sprawach własnego społeczeństwa, również w zakresie politycznym, z wykluczeniem wszelkich dyskryminacji. Suwerenność państwowa tylko wówczas odpowiada wymogom porządku etycznego, gdy jest wyrazem suwerenności narodu w tymże państwie: gdy społeczeństwo jest w nim autentycznym gospodarzem i twórcą wspólnego dobra.*

Wszystkie te sprawy nie mogą schodzić z pola uwagi Kościoła, a w szczególności jego Pasterzy. Tak jest w różnych krajach świata, tak jest na przykład w wielu krajach Ameryki Łacińskiej – w Polsce nie może być inaczej. Mamy zresztą co do tego rodzime dobre tradycje i własne doświadczenia, również na ostatnim etapie dziejów.

Myślę, że te dwa cytaty, te myśli stanowią kluczowy moment i kluczową naukę trzeciej pielgrzymki. Stanowią nawet coś więcej: podsumowanie nauk społecznych i polity-

cznych płynących z doświadczenia ostatnich lat i tworzących program na przyszłość. Jest w tym zawarte doświadczenie wielu krajów i wielu narodów: na Filipinach i w Chile, w Nikaragui i w Korei Południowej, w RPA, w Argentynie, w Irlandii, w Libanie – i oczywiście także w Polsce. Doświadczenie wszystkich najboleśniejszych, zapalnych punktów współczesnego świata.

Z tego wynika następny wniosek, następne moje wyznanie autokrytyczne, kolejne przyznanie się do popełnionego błędu. Albowiem błędem było nie tylko rozpatrywanie sprawy ze zbyt wąskiej, politologicznej perspektywy. Błędem było również rozpatrywanie jej wyłącznie z naszego, polskiego podwórka. Jest to częsty błąd w Polsce. Prawdopodobnie jest on jednym ze skutków tego uporczywego przeinaczania i wypaczania poglądów na funkcję i zadania państwa, wypaczania, które się u nas nieustannie odprawia – dziś jeszcze intensywniej niż dawniej. [— — — —][Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 6 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)]. Papież mówiąc do nas, mówił jednocześnie do wielu innych, a mówiąc do innych mówił do nas. To, co mówił, miało charakter uniwersalny.

Moją winą i wielkim brakiem mego myślenia było, że nie uświadamiałem sobie w dostatecznym stopniu tego wszystkiego, że myślałem zbyt wąsko, zbyt doraźnie, w sposób zbyt ograniczony.

Mea culpa.

² Cyt. za „Tygodnikiem Powszechnym” nr 26 z 28 czerwca 1987.

Kościół moich dzieci

Żonie

Pochodzę z rodziny obojętnej religijnie i wyrastającej z różnych korzeni. Groby rodzinne mam na cmentarzach – w kolejności alfabetycznej – ewangelickim, katolickim i żydowskim. Żadna z tych trzech tradycji nie była w domu kultywowana. Wychowano mnie w ethosie lewicy. Byłem, jestem i, jak wszystko wskazuje, pozostanę już niewierzący. W ostatnich latach zbliżyłem się do Kościoła o tyle, że z zainteresowaniem śledziłem jego zachowania i nieraz zachodziłem do świątyni. Nie było to przecież zbliżenie motywowane czynnikami religijnymi. Jednocześnie – za sprawą Żony, a przy moim przyzwoleniu – nasze dzieci wychowywane są w tradycji katolickiej. W ten sposób Kościół, który nigdy nie był moim, poniekąd stał się moim – bo moje są związane z nim dzieci.

Będąc historykiem i socjologiem notuję sobie czasem jakieś obserwacje dotyczące dnia codziennego. Np. zapisuję, że odstałem godzinę w kolejce po papier toaletowy i wiem, ja ponad wszelką wątpliwość wiem, że za sto lat, jeśli tylko tekst przetrwa, mój przyszły kolega po fachu wprowadzi do swojego komputera informację: W Polsce u schyłku XX w. zdarzały się, trudno powiedzieć jak często, braki papieru toaletowego. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego na myśl o tym lżej mi się robi.

Gdy ostatnio przeglądałem moje notatki, natknąłem się na garść takich, które ewentualnie mogą jednak zainteresować także współczesnych. Są to zapiski o Kościele moich dzieci.

15 IV 1981

Dziś radio nadało wywiad z kimś z „Solidarności” ze Śląska. Padło m.in. pytanie o obchody 1 maja. Odpowiedź: *Widzę 1 maja tak, że załogi spotkają się w kościele w Mysłowicach, a potem pojedziemy na miejsce upamiętnione przez powstania śląskie.*

W zeszłym roku Syn (wówczas 6 lat) bardzo interesował się, jak wygląda pochod pierwszomajowy. Powiedziałem mu, że jeśli będzie chciał, to pójdę i wezmę go ze sobą. Na to Syn, zachwycony: *I na czele będzie szedł papież?!*

2 V 1981

Czytam Synowi książeczkę z jakąś rosyjską bajką. Na rysunku widać cerkwie. Tłumaczę, że to też takie kościoły, tylko inne („cel wychowawczy” w pokazaniu, że nie wszyscy ludzie są rzymskimi katolikami). Syn po pierwsze zauważa, że bardzo podobne

„cebule“ są na Zamku Królewskim. Ale ja zmierzam do mojego pluralizmu religii, więc mówię, że na Pradze, może pamiętać, jest też taki kościół z „cebulami“. Syn na to, z błyskiem zrozumienia w oczach: *To na znak przyjaźni ze Związkiem Radzieckim?!*

On nie zna dziejów cerkwi (...).

6 XII 1981

Wczoraj do pobliskiego kościoła przybył od dawna zapowiadany obraz Matki Boskiej. Peregrynuje po parafiach warszawskich, dzielnice stroją się na powitanie. U nas w procesji hutnicy w swoich strojach, ze sztandarem „Solidarność“ Huty. Tłumy dzieci. Trochę mi to kojarzy się z jakimś obchodem pogańskim – ale w końcu jedno i drugie reprezentuje religię ludową. Mniejsza zresztą o to.

Syn koniecznie chce iść *powitać Matkę Bożą*. Chodzi na religię. Wszystkie dzieci z bloku chodzą. Czyż mam mu to uniemożliwić? Rok temu już go pozbawiłem pójścia do wyborów. Po przyjeździe z przedszkola powiedział: *Tatusi, jutro każdy tatuś weźmie dziecko i pójdzie głosować!* No i *każdy tatuś* – również ci, którzy wczoraj *witali Matkę Bożą* – poszedł, a ja nie. No i dziecko się czuło wyalienowane, bo nie mogło pochwalić się przed kolegami, jak to fajnie było przy wyborach. Czy teraz mam go pozbawić możliwości rozmowy z innymi dziećmi jak to fajnie się *witało Matkę Bożą*?

13 IV 1982

Przejmujące Boże Groby w kościołach na Starym Mieście.

[— — — —] [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 6 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)]. W którymś z kościołów wielka fotografia papieża i słowa *Chciałbym być z wami*.

(A potem, gdy wyszliśmy z kościołów, beczelny gołąbek narobił na Syna i dzieci były niegrzeczne, i szybko wróciliśmy do rzeczywistości.)

*

Wczoraj, w wielkanocny poniedziałek, szedłem z dziećmi na spacer. Akurat była chwila słoneczna, dzieciaki trzymały mnie oczywiście za ręce, Córeczka podskakiwała. Jak z obrazka. Naprzeciwko szedł ksiądz. Jakże się uśmiechnął! Miałem na końcu języka narzucające się słowa: *Niech będzie pochwalony*, ale nie przyzwyczajonemu trudno.

13 VI 1982

Rzuciłem okiem na ryngraf przywieszony, po długim leżeniu w szufladzie, nad łóżkiem Syna przez Żonę; Matka Boska na tle polskiego Orła. Ryngraf był darem mojego Ojca Chrzestnego na mój chrzest. Oczywiście w czasie okupacji.

18 XII 1982

Załatwiając sprawunki przedgwiazdkowe parkujemy koło kościoła Wizytek. Krzyż jest tym razem nie z kwiatów, lecz z jedliny czy świerka. Pod nim mały krzyżyk z węgla[———] [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 6 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)]. Po bokach pionowo dwie choinki. Jedna przybrana na biało, druga na czerwono.

Syn pyta co to, dlaczego, potem *dlaczego te węgle?*

Nie byłem admiratorem prymasa Wyszyńskiego. A w miarę jak tłumaczyłem Synowi, dlaczego te węgle, dlaczego krzyż, dlaczego pomnik – ten pomnik jakby rósł, rósł...

2 I 1983

Syn biega w kółko do kościoła. On chce, a i Kościół o to dba. Gdy raz nie poszedł na mszę, przyniósł w zeszyt uwagę. Teraz już chodzi więc – a dla mnie pozostanie tajemnicą, dlaczego tą uwagę przejął się bardziej niż uwagami od „pań” w szkole. To bieganie do kościoła mnie nie drażni; atmosfera kontaktów międzyludzkich (w tym między dziećmi) jest tam lepsza niż w wielu innych znanych mi zgromadzeniach. Natomiast religijne zaangażowanie Syna jest mi na pewno obce. Co ja mogę temu jednak przeciwstawić? Czy wizję świata, z której wyprowadzone rozwiązania praktyczne spotkały się z tak szeroką (w tym także moją) krytyką? Wizję, w ramach której myśl badawczo-analityczna w tak poważnym stopniu zmieniła się w kanon jakże znakomicie sparodiowany w „Vatławie” Mrożka? W kanon w moim własnym przekonaniu nie tłumaczący zmian współczesnego kapitalizmu, rewolucji chińskiej, naszej rzeczywistości realnego socjalizmu, także przyczyn, dla których przewidywania Marksa w wielu punktach się nie sprawdziły?

A może mam przeciwstawić to, co pozostaje z mojego własnego lewicowego ethosu – pozytywną ocenę wrażliwości na krzywdę ludzką, walki o sprawiedliwość, o sensowne stosunki międzyludzkie, przeciw zakłamaniu, szacunek dla ludzkiego buntu? To mogę. Jednakże z zestawienia tych wartości wychodzi nie tyle przeciwstawienie, ile raczej Camilo Torres! Wiem oczywiście, że istota Kościoła nie da się sprowadzić do wartości wymienionych. Dostrzegam nurtującą hierarchię obaw, by nie przekształcić Kościoła w agencję do regulowania ziemskich sporów. Przeciwwstawienia jednak nie widzę – przynajmniej dziś i na obszarach świata, które lepiej dostrzegam.

29 V 1983

Syn był dziś u Komunii. Wczoraj wieczorem był bardzo przejęty. Opowiadał mi kawałki z Ewangelii. Czasem mi się zdaje, że chce ze

mną rozmawiać na tematy religijne, bo wie, że ja nie wierzę; sam czuje przez to wątpliwości i w rozmowie ze mną jakby sprawdza, co o tym wszystkim myślę.

Kościół podczas tej Pierwszej Komunii dosłownie pękał. Nigdzie w tej chwili w Polsce nie ma chyba takiego poczucia KOMUNII jak w Kościele. To jest oczywiście uwarunkowane systemowo – bo, raz, innych płaszczyzn kształtowania wspólnoty jest mało i, dwa, ta wspólnota kształtuje się jednak w przeciwstawieniu do świata zewnętrznego – nawet jeśli słowo o polityce dziś nie padło.

Ponieważ z budynku, w którym mieszkamy, wiele dzieci dziś przystępowało do Pierwszej Komunii, wzmocniła się integracja sąsiedzka. Pożyczaliśmy sobie produkty na przyjęcia, także elementy ubiorów dzieci. Nb. szyciem tych ubiorów wszystkie kobiety pasjonowały się razem od dawna. Potem witanie znajomych dzieci przed kościołem, jakaś powszechna życzliwość i zadowolenie z całej dziecięcej domowej trzódki – życzliwość i zadowolenie, które w Polsce, kraju takiej ilości chamstwa i zgryzot, trzeba cenić.

Wśród prezentów z okazji Komunii Syn dostał od Ojca Chrześnego czarny krzyż z nabitym Orłem (w koronie, rzecz jasna). [— — — — —][Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 6 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)].

Spośród gości zaproszonych na przyjęcie po Komunii S. ma na jutro wezwanie na przesłuchanie.

3 VI 1983

W publikacjach dziennikarzy i naukowców zaangażowanych po stronie panującego systemu politycznego często powtarza się myśl, że *historyczna racja jest po naszej stronie*. Gdy czytam takie stwierdzenia, przypomina mi się kazanie po Komunii Syna. Ksiądz przestrzegał mianowicie rodziców przed postawą liberalizmu w sprawach religii. Postawa pozostawienia dziecku swobody wyboru jest – twierdził – zła, gdyż słuszną drogą została już odkryta, jest znana, a nie kierując na nią dziecka naraża się je tylko na przedłużenie szukania.

No i jak tu wychowywać dziecko? Czy mam ufundować własny Kościół?! Powiedzieć Synowi żeby nie wierzył w nic, a szukał sam? Boję się, że rzeczywiście długo będzie szukał.

*

Podczas komunijnego nabożeństwa padły pod adresem dzieci słowa o *ojców spracowanych dłoniach*, czyli słowa m.in. o moich dłoniach. I chociaż w moim zawodzie mam spracowane akurat nie dłonie, chociaż mam nieodparte wrażenie stałego wkładania większego wysiłku w dreptanie wokół codziennych spraw niż w pracę, chociaż nie odczuwam braku szacunku ze strony Syna – to przecież

jestem dostatecznie zadreptany, by było mi przyjemnie. Nikt inny praktycznie takich rzeczy tym dzieciom nie mówi. Gdy padły owe słowa, Syn znacząco spojrział na mnie, ja się do niego uśmiechnąłem – że niby te moje ręce nie są aż tak spracowane...

16 VI 1983

Kupiłem dzieciom plakietkę z fotografią krzyża kwietnego i napisem *Pielgrzymka narodowej nadziei* (a wokół krzyża dyskretnie na tle płyt chodnikowych występują słowa: *My chcemy Boga*). Bardzo ładna plakietka, wystąpiłem się po nią w przedsionku Św. Anny bez końca, ludzie pchali się jak po mięso.

Dlaczego ja, niewierzący, postarałem się kupić dzieciom papieską plakietkę (nawet jeśli wybrałem tę z krzyżem kwietnym, a nie u podobizną papieża, która im by się skądinąd pewno bardziej podobała)? No właśnie.

26 VIII 1983

Dziś, wracając z Pienin, wstąpiliśmy do Częstochowy. Tyle Syn o Częstochowie i o Obrazie słyszał – chciałem, żeby zobaczył. Akurat trafiliśmy na święto i odpust. Kiermasz przed klasztorem, nieprzebity tłum w kaplicy Matki Boskiej. Ja rozumiem, każde miejsce tego typu ma swoje prawa. Lourdes pewno nie jest inne. Każde święto ludowe, a to, co widziałem, jest w końcu rodzajem ludowego święta, ma swoje prawa. Święto „L’Humanité” w Paryżu w wystroju zewnętrznym nie różni się wiele od tego, co widziałem. Wszystko rozumiem. W tej atmosferze jednak to już ja bym się na pewno nie mógł nawrócić. Syna jakoś udało mi się dopchnąć, by przynajmniej zobaczył Obraz.

Na koniec zwiedzania Syn wyprosił na odpuście pistolet kapiszonowy. Usiłowałem go przekonać, że Matka Boska kojarzy się raczej z pokojem niż pistoletami, ale mi się nie udało. Zdaje się, że tylko niewierzący mógł wpaść na pomysł tłumaczenia tego dziecku.

18 X 1983

Rozmowa przy śniadaniu:

Córka: Kto jest najważniejszy w całej Polsce?

Syn: Jaruzelski.

Córka: Nieprawda, bo Bóg!

*

W gablotce na kościele koło nas jakaś kompozycja mająca wyobrażać drogę do prawdy, czy, co na jedno w tym wypadku wychodzi, do Boga. Wije się ta ścieżka w kierunku maryjnej korony... [— — —] [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 6 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)].

13 XI 1983

Syn pierwszy raz wystąpił jako obrońca swobód religijnych. Jego koleżka wyrzucił innemu chłopcu, ewangelikowi, że „oni” nie wielbią Matki Bożej. Na co tamten się odgryzał, że „oni” czytają Biblię. Syn wezwał pierwszego, by się uspokoił, bo przecież „oni” w Biblii czytają o tych samych świętych, więc to, czy ich wielbią, jest już drugorzędne. Tak to przynajmniej wyglądało w relacji Syna. Podałem mu argument, że dzisiejszy Kościół nie potępia ewangelików.

13 XII 1983

Dziś spotkałem przynajmniej jedną bratnią duszę. Powiedział mi znajomy, odprowadzający dziecko na rekolekcje: *Nie mam nic wspólnego z Kościołem, ale ponieważ wszystkie dzieci chodzą, więc i ja prowadzę...*

[— — —][Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 6 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)].

12 II 1984

Pod koniec mszy ksiądz rytualnie mówi: *Przekażcie sobie znak pokoju*. Córka do Żony: *Ja swojego pokoju nikomu nie oddam!* Żona jej coś wytłumaczyła, więc po chwili Córka dopycha się między ludźmi do mnie; całując szepce: *Ja Ci jeszcze nie oddałam pokoju!*

8 VI 1984

Złożyło się, że po pomoc z darów dla kogoś musiałem pojechać do Stanisława Kostki, gdy byłem sam z dziećmi. Córkę wzięłem więc do samochodu, a Synowi musiałem wytłumaczyć, gdzie jadę. Naturalnym biegiem rzeczy zapytał po co. Zdecydowałem się powiedzieć mu prawdę (zresztą i tak już nieraz był zaintrygowany paczkami przechodzącymi przez dom). Naturalnym biegiem rzeczy dodałem: *Tylko cicho o tym, żadnych rozmów z nikim na ten temat*. Właściwie nie wiem, dlaczego to dodałem, bo rzecz odbywa się w ramach legalnej pomocy charytatywnej Kościoła – ale niech dziecko nie gada po próżnicy.

Przywiozłem te rzeczy z kościoła w jakimś kartonie, na którego boku przez przypadek był napis mazakiem „mąka”. Syn popatrzał na mnie porozumiewawczo: *Mąka? to tak, żeby... no tak na niby?* Powinienem mu chyba zacząć tłumaczyć, że tam naprawdę żadnego powielacza nie było!

Syn ma w ogóle trudności z uzgodnieniem w swojej głowie faktu, że jestem niewierzący, na mszę nie chodzę (chyba odprowadzając dzieci), a jednocześnie jeżdżę do jakichś kościołów i to na dodatek upodobałem sobie nie najbliższy, ale te na Piwnej czy na Felińskiego.

29 VI 1984

Przed naszym parafialnym kościołem w gablocie wielkimi literami słowa kardynała Wyszyńskiego: *Można stracić życie, ale ludzkiej godności stracić nie wolno.*

5 VIII 1984

Syn co wieczór odmawia pacierz. Ten odruch własnego dziecka jest mi niewątpliwie obcy. Akceptuję go jak się akceptuje własne dziecko. Ale jest coś jeszcze: człowiek potrzebuje w życiu jakiegoś zaczepienia, jakieś szeroko rozumianej grupy odniesienia, grupy identyfikacyjnej. Otóż nie potrafiłbym dziś Synowi wskazać grupy konkurencyjnej wobec wspólnoty katolickiej. Trudno by podstawowe nurty społeczno-polityczne zastąpiło, powiedzmy, kółko wędkarskie.

19 X 1984

Pewno w związku z nauczaniem religii Syn zaczął wypytawać mnie o innowierców, Lutra itd. Rozmowa zesłała na związku Dziadka z wyznaniem ewangelickim. Syn się trochę zaniepokoił: *Tatusi, ale Ty jesteś ochrzczony?* Uspokoilem go, że tak – a potem mówię: *Wiesz, w moim wypadku to jest trochę skomplikowane, i tłumaczę, że pochodzę z rodziny częściowo ewangelickiej, częściowo katolickiej i częściowo żydowskiej, podczas gdy sam zostałem ochrzczony w kościele katolickim.* Syn się jeszcze upewnił, że na pewno w katolickim i sprawa się skończyła. (O związkach Dziadka z wyznaniem ewangelickim Syn słyszał już dawniej. Teraz zrobiłem krok w kierunku doprowadzenia mu do świadomości, że „Żydzi” to nie jest kategoria z zaświatów. On powinien sobie z tego zdawać sprawę. Nie ma powodu, by sobie nie zdawał. O ileż łatwiej było mi jednak mu tę rzecz uświadomić po modlitwie papieża przed pomnikiem Bohaterów Getta!)

1 XI 1984, wieczorem

Pod kościołem Stanisława Kostki morze świateł. Na miejsce wypalających się świeczek nowo przychodzący ludzie natychmiast dostawiają nowe. Ludzki potok płynie nieprzerwanie. Od zawsze mieszkam w tej dzielnicy, koło tego kościoła przechodziłem setki, może tysiące razy – nigdy nie myślałem, że tu coś takiego zobaczę. Wielki napis: „Solidarność serc z ks. Jerzym”. Wielki, kolorowy portret księdza obok ołtarza. Drugi, mniejszy, na ambonie, jakby zamiast księdza.

Syn nie chciał ze mną tu przyjść. On nie lubi tłumy. Może podświadomie odpycha od siebie przykre sprawy, może się trochę boi. Żałuję – bo to trzeba zobaczyć. On powinien był to zobaczyć.

26 XII 1984

Wieczorna rozmowa z Córką:

- Tatuś, O. mówi, że ja nie noszę łańcuszka bo Ty nie wierzysz w Boga...

- Tatuś, ja nie wiem, czy Bóg jest...

- Tatuś, a czy dziecko może odmówić wierzenia w Boga jak już wierzy?

- Tatuś, a czy Ty byłeś chrzczony? (Mówię, że byłem - nie dodaje, że chyba tylko z racji warunków okupacyjnych. Na to słyszę: Tatuś, to Ty powinienes wierzyć!)

- Tatuś, a czy Ty wiesz, że my wszyscy jesteśmy dziećmi? (Mówię, że wiem i udaję głupiego: No tak, każdy ma swojego tatusia i swoją mamusię. Córka: Nie, wszyscy jesteśmy dziećmi Adama i Ewy, czy wiesz? Odpowiadam, że wiem. Córka: A skąd wiesz?)

28 XII 1984

Córce pokręciło się wszystko. Ze szkołą szła na Grób Nieznanego Żołnierza, potem w kółko słyszała o grobie ks. Popiełuszki - no i powiedziała kiedyś, że pójdziemy znów na grób *Nieznanego ks. Popiełuszki*.

Inne pytanie Córki: *Tatuś, czy to prawda, że ks. Józef... nie, ks. Popiełuszko, ocalił Polskę?* (ks. Józef był ulubionym księdzem Córki w naszej parafii; ostatnio go przeniesiono do Góry Kalwarii i ona chce tam jechać, by się z nim spotkać).

[— — —] [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 6 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)].

8 IV 1985

Dziś poniedziałek, drugi dzień świąt wielkanocnych („lany poniedziałek”, o czym dzieci namacalnie przypominały od świtu).

W Wielką Sobotę poszliśmy z dziećmi obejrzeć Boży Grób u Stanisława Kostki. Nie dostaliśmy się. Kolejka opasywała teren kościelny ulicami prawie dookoła. Dzieci zbuntowały się pierwsze, my, bardziej zahartowani kolejkowo, w drugiej kolejności. Poszliśmy ponownie wczoraj i doszliśmy już po dwudziestu minutach stania.

Kolejka oglądających ciągnie nieprzerwanie, rano, w południe, wieczór, podczas odbywających się przy ołtarzu ceremonii religijnych (córka wybiegała z kolejki bo b. chciała zobaczyć jak się chrzci *małeństwo*)... Porządek idealny, kościelna służba porządkowa nie ma najmniejszych trudności z regulowaniem przepływu ludzi.

*

Syn przyszedł ostatnio zaskopotany informacją, że niemieccy żołnierze mieli wypisanę na kłamrach pasów *Gott mit uns*. Miał

chyba nadzieję, że zaprzeczę. Zaprzeczyć nie mogłem – ale nie zdobyłem się też na powiedzenie: *Widzisz Synku, do czego też może służyć...* Już nie pamiętam dokładnie, co mówiłem. Pewno o relatywizmie wszystkiego, wszystko płynie, panta rei, ecie pecie, jak to dobrze, że słońce wiosenne przygrzewa i pojawia się zieloność...

1 VIII 1985

W jakimś momencie w kościele Córka zauważyła, że tłumię ziewanie. Powiedziała: *Nudzisz się, bo nie chodzisz na msze?* Powiedziałem jej, że się wcale nie nudzę (prawdziwie! Był czytany b. ciekawy list pasterski!).

20 IX 1985

Córce siostra na religii powiedziała, że *Pan Bóg jest najlepszym Ojcem*. Po powrocie Córka nie posiadała się z oburzenia: *Najlepszym Ojcem jest nie Pan Bóg, a mój tata!*

(Już kiedyś, chcąc mi, zdaje się, uczynić największy komplement, powiedziała coś w rodzaju: *Ty nie wierzysz, ale jesteś dobry!*)

19 X 1985

Córka czyta w swojej książeczce, iż grzeszy ten, kto źle zachowuje się w kościele. Z szelmowskim uśmiechem zwraca się do mnie: *Tatusi, Ty w ogóle nie grzeszysz – bo nie chodzisz do kościoła!*

Są rzeczy, które mnie w tej książeczce zaskakują. Np. modlitwa za brata powołanego do wojska. O co ja bym się modlił – gdybym się modlił – w momencie powołania do wojska? No chyba o to, by nie być wezwanym do wykonywania rozkazów sprzecznych z własnym sumieniem. Tekst w książeczce Córki mówi jednak zupełnie o czym innym: siostra ma się modlić, by przełożeni byli z brata zadowoleni...

7 XI 1985

Uroczyscie przez Kościół obchodzona rocznica śmierci ks. Popietuski...

(Słuchałem, jak Syn opowiadał, co mówiono na lekcjach religii o tej śmierci. Przykro mi to powiedzieć, ale nie jestem pewien, czy te treści wynikały z kościelnego hasła, by ofiara księdza nie stała się pretekstem do szerzenia nienawiści...)

(Wobec tej całej katechezy mam uczucie sprzeczne. Mniejsza, że Syn akurat stamtąd przynosi najgłupsze dowcipy; ja w przypływach humoru opowiadam pewno nie mądrzejsze. Razi mnie, powiedzmy szczerze, prymitywizm tego nauczania. Rzuca mi się w oczy – co banalne – odmienność nauczanej wizji od mojego, nazwijmy szumnie, badawczo-analitycznego podejścia do rzeczywistości; co ciekawe, samemu Synowi zupełnie nie przeszkadza rozbieżność pomiędzy np. podawaną mu na religii wizją stworzenia świata, a tą, którą słyszy, powiedzmy, na biologii w szkole.

Jednocześnie wiem przecież, że dzięki temu nauczaniu będzie miał otwartą drogę do znacznej części dziedzictwa kulturowego naszego kręgu cywilizacyjnego. Ja symbolikę biblijną poznawałem patrząc na rzeźby romańskie. On ma szansę od razu lepiej te rzeźby rozumieć.)

27 IV 1986

Na naszym osiedlu, w miejscu przyznanej lokalizacji kościoła, stoi krzyż. Dziś pod tym krzyżem wyznaczony już proboszcz odprawił pierwszą mszę. Żałowałem, że akurat nie mogłem pójść zobaczyć. Podziwiam tę siłę i zdolność parcia do swego, konsekwentnie, po kroczeniu! W przyszłą niedzielę ma być tam msza, potem nabożeństwa majowe, potem pewno nabożeństwa zaczną się odbywać w przystosowanym podziemiu kościoła (siłą rzeczy będzie zbudowane pierwsze)... i tak do skutku. Żadnego ruchu w kierunku zbudowania nowej szkoły na osiedlu nie zauważyłem.

10 V 1986

W ramach ostatnich przygotowań do Pierwszej Komunii Córki (suknię już mamy i całą resztę też, a jakże!), miała Córka pierwszą spowiedź. Zapytałem ją, czy to była próbna spowiedź, czy już prawdziwa. Córka: *Prawdziwa, z księdzem, z grzechami!* Kolega Córki, nasz mały sąsiad, też mknął do kościoła. Rzucił mi w przełocie: *Idę spowiadać swoje ciężary (sic!).* Ja: *Chyba nie masz dużych?* On: *Mam duże, mam. I polecał.*

18 V 1986

W przewidywaniu komunijnego przyjęcia kupiłem 20 butelek wody mineralnej. Córka: *I pozwolili Ci tyle kupić? I nie było awantury?*

Gdy rozmawialiśmy o jadłospisie, Córka odezwała się: *Jedna rzecz pewna, Mamusi: tylko bez alkoholu!* Myślałem, że parsknę śmiechem, bo u nas w domu alkoholu prawie się nie pije. By nie stwarzać dziecku konfliktowej sytuacji, nie będziemy mogli jednak postawić na stół nawet butelki wina!

*

Trochę z ciekawości, trochę by być blisko Syna, poszedłem dziś na mszę w osiedlowym kościele pod chmurką. Na planowanym miejscu kościoła wysoki, brzozy krzyż pod rozłożystym drzewem, a obok polowy ołtarz. Bardzo tu zielono, gdyż na resztkach starej, rozebranej bieda-zabudowy rośnie mnóstwo krzaków. Ksiądz parokrotnie podczas nabożeństwa mówi o tym miejscu jako o „naszym kościele” (*przyszliśmy do naszego kościoła*); stwarza psychologiczny fakt dokonany. Dużo ludzi, również młodych. Wiele młodych małżeństw z małymi dziećmi, które przyjeżdżają tu na rowerkach. Przypomina to wszystko jakąś próbę odtworzenia lokalnej społeczności w wielkim, termitowym i anonimowym

osiedlu. Grunt zdaje się podatny. (Gdy tym spostrzeżeniem podzieliłem się z A., powiedział mi, że podczas pierwszego nabożeństwa ksiądz *expressis verbis* mówił o swoim celu: osiedle jest skomplikowane – od ludzi z MSW po ludzi z opozycji – a on chce uczynić ze wszystkich społeczność.)

Wśród „darów Bożych” ostatnich czasów ksiądz wymienia te, które przysły po pierwszej wizycie papieża, a które były tak bogate, że *nie zdołaliśmy ich unieść*.

Parokrotnie w nabożeństwie wraca motyw nadziei na odrodzenie narodu.

Ponieważ ktoś robił zdjęcia, ksiądz prosił, by na przyszłość ten, kto chce fotografować, przedstawił się *zbiorowości lub księdzu* i powiedział w jakim celu robi; *my się niczego nie boimy, Bóg jest z nami* (może powiedział „wśród nas”) – *ale dobry obyczaj wymaga by przedstawił się*.

27 V 1986

Córka miała Pierwszą Komunię. Komunia jakoś wiąże się z pojęciem – przynajmniej mnie, niewierzącemu. Otóż chcę powiedzieć, że dawno nie było w domu takiego napięcia, jak podczas przygotowań do tej uroczystości. U nas w ogóle chyba napięcia w domu nie ma – ale tym razem wszystko stanęło na głowie. Byłe zdążyć przygotować to Święto Święt! Coś zwariowanego – by powiedzieć delikatnie. Napięcie jest, jak wiadomo, antywspółnotowe, a więc sprzeczne z duchem Komunii!

Ośmioletnie dzieci podczas Pierwszej Komunii składały ślub trzeźwości.

Przed Komunią Córka coś mi paplała z gumą do żucia w ustach. Więc mówię jej: *Jedno Ci powiem: żebyś podczas Komunii nie jadła gumy do żucia!* Ona na to, z żalem: *Nie, bo już mam ostatnią!* I ja, jej ojciec, nie mogę dojść, czy powiedziała to ironicznie, czy z prawdziwym żalem!

W tym roku na osiedlu dzieci idące do Komunii zaczęły mówić: *Idziemy do Komunii, jesteśmy komuniści, ha, ha!* Z kolei inne o tych idących: *O, komuniści!* Pomijając okoliczność, że owe dzieci, nie zdając sobie sprawy, trafnie odkryły wspólny źródłosłów obu słów i że wokół tej wspólnoty źródłosłowu i dalszych losów można by napisać powieść czy, lepiej, dramat – to nie potrafię zinterpretować opisanego zachowania. Kpina z komunistów, to pewne. Ale także jakby jakaś darmowa złośliwość wobec siebie samych?

31 V 1986

Córka z ogromnym przejęciem i radością poszła do Pierwszej Komunii. Potem z radością chodziła na pierwsze nabożeństwa „białego tygodnia”, sama zgłosiła się do sypania kwiatków podczas procesji Bożego Ciała... a dziś, po ostatnim nabożeństwie tygod-

nia, wbiegła do domu z entuzjastycznym: *Hurra! koniec „białego tygodnia”!*

5 VII 1986

Na wakacjach na Helu i na niedzielnej mszy w kościele w Jastarni. Kazanie wygłasza młody ksiądz – nadający zresztą na zupełnie innej nucie niż, jak sobie wyobrażam, słucha większość wiernych. Powołuje Asnyka, innych poetów. Taki świeżo upieczony ksiądz – intelektualista. Motyw kazania: *za coś tyle cierpień, tyle żalu, za coś nam wieszają na zakładach pracy slogany, które nie mają żadnego wsparcia w rzeczywistości? Z całości wyłania się mocno katastroficzny obraz świata. Potem wezwanie do aktywistycznej postawy szerzenia dobra, stania się samemu chlebem* (ciałem Chrystusa).

Ksiądz wygłasza kazanie na swój sposób, ale w ogóle to można podziwiać, jak Kościół potrafi dostosowywać się do otoczenia! W kościele w Jastarni ambona jest w kształcie łodzi, procesję rybaków organizuje się na łodziach. Przypominam sobie, jak już raz byłem kiedyś pod wrażeniem zdolności przystosowawczej instytucji powszechnej (przepraszam za zestawienie!): gdy we Włoszech widziałem reklamy, iż coca-cola znakomicie smakuje razem z pizzą. W każdym kraju coś do czegoś lokalnego pasuje – i tak się buduje potęgę.

W bocznych nawach kościoła fotografie wielkich ludzi i ich myśli o Bogu i religii (odbijane techniką fotograficzną – dostępną dla wszystkich). Dwie postacie mnie zaskoczyły: Tuwim i, z innego kręgu, Gandhi.

Z rozważań o rzeczach pozaziemskich (czy raczej o ziemskim przybraniu drogi prowadzącej daleko) wyrwa mnie rzecz całkiem ziemską: rozpaczliwy szept Córki do Żony: musi wyjść, ale *wytrzyma!*

13 VII 1986

Pomiędzy dwoma okresami pobytu nad morzem przechodziłem na naszym osiedlu koło miejsca gdzie umieszczono krzyż i gdzie odbywają się nabożeństwa. Zauważyłem jakiś zwiększony ruch, jakieś przygotowanie placu budowy. Pomyślałem sobie: no, zacznie się coś z krzyżem! Nie pomyliłem się. Niestety.

Wczoraj wieczorem wróciliśmy do Warszawy. Zszedłem jeszcze na chwilę, by odprowadzić samochód na parking. Gdy wróciłem, Syn zaczął mi z podnieceniem opowiadać, że przyszedł do nas sąsiad z wiadomościami. Mianowicie – opowiadał Syn – milicja zlikwidowała krzyż i prowizoryczną menę ołtarzową. Ludzie odbudowali. Jednak podczas samej mszy przyjechał największy możliwy buldożer i przyszli robotnicy. Kierowca buldożera odmówił działania i przyłączył się do mszy. Inni robotnicy, gdy zoba-

czyli, co się dzieje, także. Dziś – niedziela – nabożeństwo ma się odbyć z udziałem jakiegoś biskupa. Ksiądz przeniósł miejsce nabożeństwa trochę dalej – by pokazać, że nie chce przeszkadzać budowie – a jeśli i stąd go przepędzą (powtarza mi Syn słowa sąsiada) nabożeństwo z biskupem ma się odbyć przed sklepem osiedlowym.

Nabożeństwo, o którym mówił Syn, ma się odbyć wieczorem, ale gdy przejeżdżałem niedaleko owego miejsca o 8 rano już milicja je obsadzała; bez strojów bojowych, normalni milicjanci w znacznej liczbie. Trudno iść z dziećmi na osiedlową „wojnę o krzyż” – choć może powinno się.

Syn swoje wieczorne opowiadanie zakończył słowami: *Ale nieżyj cyrk, jutro ma być biskup.* Córka, jak przystało na jej wiek, jest programową optymistką: *Prymas się tym zainteresuje, a jak nie prymas to kardynał, a jak nie to papież!*

13 VII 1986, wieczorem

Więc nabożeństwo odbyło się na osiedlu bez incydentów. Ja nie mogłem akurat pójść, ale Żona, widząc, że zaczyna się spokojnie, zdecydowała się wziąć dzieci. Krzyż został przeniesiony kawałek dalej, poza teren ogrodzony na potrzeby budowy. Nowy teren został siłami ludzi wysprzątany i splantowany – a milicjanci patrzeli zza płotu. Dzisiejsze nabożeństwo odbywało się, według słów księdza, za tych, którzy porządkowali teren i za tych, którzy patrzeli. Ksiądz zapowiedział, że jeśli i ten krzyż zostanie zlikwidowany, zbuduje kolejny. Biskup wyjaśnił, że teren, z którego krzyż usunięto, nie był jeszcze przyznany Kościołowi, lecz dopiero toczyły się o nim rozmowy.

Na nabożeństwie dużo ludzi, trochę przybyłych z innych dzielnic, biskup, kilku księży. Patrole milicyjne w pewnym oddaleniu (patrole krążyły po osiedlu i samochody stały jeszcze o ósmej wieczór, gdy wracałem). Dużo ludzi fotografowało. Na początku odczytano „list dzieci” do prymasa – jak to źli ludzie zniszczyli „kościół pod chmurką”, ale dzieci modlą się za nich, którzy nie wiedzieli, co czynili. Potem ponoć list prymasa wyrażający uznanie księdzu. Potem normalna msza. Ale na tym się to nie skończy.

Cały epizod opowiedziany słowami Córki przez telefon Babci: *Babciu, byliśmy na tej mszy, nie takiego nie było. Był wóz milicyjny i jeepek, a jak Mama zapytała E. gdzie są milicjanci, to mąż E. powiedział, że w krzakach.*

19 VII 1986

W dzień po historiach z krzyżem szliśmy z Synem do autobusu. Po osiedlu chodziły wciąż wzmocnione patrole milicjantów – w sposób oczywisty z jakiejś formacji zewnętrznej, nie dzielnicowej. Minął nas jakiś taki patrol. Syn do mnie po cichu: *Oni są na pewno niewierzący!* Usiłowałem mu wytłumaczyć, że człowiek nie

zawsze jest koherentny. Bo ja jestem pewien, że oni są wierzący. Proste chłopaki, najpewniej ze wsi, może z poboru zamiast do wojska poszli do milicji...

20 VII 1986

Wieczorem wracaliśmy z kina. Niedaleko krzyża osiedlowego twardo stoi milicja. O Boże, przecież wiadomo, że kiedyś – choć może po 20. latach – kościół i tak stanie. Nawet jeśli nie w tym miejscu, to stanie o dwa kroki dalej. Ale te dwadzieścia lat szarpnięcia ludzie zapamiętają. Moje dzieci zapamiętają już nawet ten ostatni tydzień – takie wrażenie zrobiła na nich sprawa (milicja pod krzyżem, patrol pod domem).

24 VII 1986

Zapytałem znanego mi wysokiego urzędnika miejskiego o naszą osiedlową „wojnę o krzyż” (nb. wczoraj milicja znów stała w pobliżu krzyża). Usłyszałem, że teren sporny wcale nie był jeszcze Kościołowi przyznany, że ksiądz młody, zapalczywy, zaczął stwarzać fakty dokonane, a *teraz nie można już wymuszać, czasy się trochę zmieniły* (ten motyw wracał parokrotnie). Potem mi tłumaczył mój rozmówca, że stosunki państwo-Kościół są obecnie tak dobre, iż zezwolenie by na pewno przyszło, ale ksiądz „zaczął wymuszać”, więc władze miasta się trochę usztywniły... kościół jest przecież na osiedlu przewidziany...

(Wiem, że gdybym powtórzył tę rozmowę księdzu, też coś usłyszałbym – może np. informację, iż o zezwolenie walczył już bez końca...)

21 VIII 1986

Koniec wakacji w Zakopanem. W niedzielę z dziećmi na mszy w pobliskiej kaplicy. Ksiądz rozwija zdanie Ewangelii: *Ogień przyszedłem rzucić na ziemię, a czegoś chcę, jeno aby zapłonął* (Łk 12,49). Całe kazanie jest do głębi rewolucyjne. Nie tylko przez akcenty bezpośrednio polityczne; tych jest nie tak wiele. Jest rewolucyjne przez wezwanie do postawy aktywnej. Aktywnej w zwalczaniu zła, nieprawdy. *Trzeba chcieć pokoju – ale nie świętego spokoju!* [— — —] [Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z 31 VII 1981 r. art. 2, pkt 6 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm. 1983 Dz.U. nr 44, poz. 204)]. *Choćby Was ośmieszano, nękano, pukano się w czoło na Wasz widok, choćby to robili Wasi najbliżsi... ogień winien płonąć!*

*

Kościół może dostarczyć zajęcia na cały pobyt w Zakopanem – zwłaszcza gdy pogoda nieszczerólna. Po mszy ksiądz zapowiedział poświęcenie kamienia węgielnego na Księżówce przez prymasa (zaprowadziłem tam dzieci, a jakże!), pielgrzymkę na Giewont (ja nawet chciałem pójść, ale Synowi się nie chciało, *bo będą wolno iść*), odpust w Murzasichlu – a potem się zgubiłem w terminach.

*

Gdy poszliśmy oglądać prymasa na Księżówkę, Córce się przypomniało jak widziała biskupa (czapa!), gdy przyjechał na nasze osiedle. Zobaczywszy prymasa w biskupiej czapie zapytała: *Czy on był wtedy, gdy zniszczyli nasz kościół pod chmurką?* Jak dziecko zapamiętało sugestywne sformułowanie użyte wówczas przez księdza!

21 IX 1986

Krzyż na naszym osiedlu jest w kolejnym miejscu, a nabożeństwa odbywają się regularnie co niedziela. Ludzie uprzątnęli znów teren; dopomógł spychacz, który akurat niedaleko pracował (zasłyszane określenie: *Spychacz pojechał trochę w naszą stronę*). W zimie ma stać już barak. Pytam, czy jest już teren i zezwolenie na postawienie baraku. W odpowiedzi słyszę, że barak stanie. Mnóstwo ludzi na mszy. Schodzą się wszystkimi ścieżkami, wychodzą zza domów, teren osiedla jest jeszcze w części dziki, więc idą jakby zewsząd... Wygląda to jak na wsi, gdy w porze mszy ludzie suną ku kościołowi drogami, miedzami i uliczkami od chałup.

28 IX 1986

Dziś niedziela. Żona przed chwilą wróciła z Córką z osiedlowej mszy. O tej porze jest już ciemno. Podobno ktoś wyłączył światło na terenie. Ksiądz dziękował tym, którzy zdołali ponownie włączyć, przy czym dał do zrozumienia, że on już dawniej rozpoznał, gdzie są osiedlowe wyłączniki. Potem wezwał, by się nie przejmować tymi, którzy fotografują, ani tymi, którzy nagrywają (to jest w ogóle jakiś dziarski ksiądz; podobno ma na swoim koncie alpinistykę i służbę w marynarce wojennej).

Komentarz Żony: *Gdy padają słowa: „Podajcie sobie znak pokoju”, ludzie coraz mocniej ściskają się za ręce.*

Podczas śpiewania jakiejś końcowej pieśni ksiądz wezwał, by ludzie podali sobie dłonie. Komentarz Żony: *Mieszanina mszy i harcerskiego ogniska.*

8 XI 1986

Odwiedził nas Hiszpan, którego poznaliśmy wiele lat temu w Oxfordzie. Lewicowiec, rzecz jasna (Hiszpan pracujący nad Ameryką Łacińską inny być chyba nie może!). By mu coś z tego kraju pokazać, zaprowadziłem go na naszą osiedlową mszę pod chmurką (barak jeszcze nie stanął), a potem do Stanisława Kostki. Zadał jedno tylko pytanie: Jaki jest stosunek polskiego Kościoła do teologii wyzwolenia? Jak mówią Anglicy, *that's a good question*. Potem jeszcze stwierdził, że coś podobnego widział w Kraju Basków.

*

Na Zaduszki w klasie Syna zrobiono jakiś kącik symbolizujący cmentarz – na ścianie zawieszono kilka krzyży z papieru. Żona,

która to widziała, twierdzi, że wyglądało okropnie; mniejsza jednak o sam fakt. W jakimś kontekście po paru dniach zapyaliśmy Syna, czy te krzyże jeszcze wiszą. Gdy potwierdził, Żona półżartem zauważyła, że w związku z biegiem czasu pewno niedługo zmieniają dekorację na związaną z symboliką rewolucji październikowej. Na to Syn: *Wołę krzyże niż Lenina!* Spojrzał jednak na nas spode łba – bo pewno zdaje sobie sprawę, że w domu słyszy mniej niż gdzie indziej wymysłów na „Sowietów”; w domu spotyka się raczej z postawą zmierzającą przede wszystkim do poznania historycznej rzeczywistości. Musząc coś powiedzieć, zapytałem, półżartem, co wie o rewolucji październikowej i Leninie. On oczywiście nie wie nic – bo i skąd? O tym w gruncie rzeczy nikt nigdy nie mówi – a jednostajnego szumu propagandy się nie słyszy.

10 XII 1986

Pocztą dostałem od osobiście mi zresztą nie znanego księdza opłatek i obrazek papieża z papieskimi życzeniami na Nowy Rok na odwrócie. Zrobione to jest tak dobrze, iż dzieci uznały, że patrzą na odręczne pismo papieża; z trudem im tłumaczyłem, że wykorzystano dobry kserograf. Potem dzieci same kupiły po 10 zł na religii takie obrazki z identycznym błogosławieństwem papieża. Zdaje mi się, że pół Polski dostaje w ten sposób osobiste życzenia od papieża. Jaki jest głębszy sens tej akcji? Czy powiedzenie każdemu z osobna: *Ja jestem blisko Was?*

20 XII 1986

Córka rysowała anioły – tym razem na plastykę, nie na religię. Jej pytanie pod adresem Żony: *Mamo, czy aniołom trzeba rysować nogi jak leca?*

4 I 1987

Dziś z Córka (Syn przeziębiony) na mszy w naszym „kościelie pod chmurką”, przy szopce i choince. Dużo ludzi. Podobno na sumie w południe też było dużo ludzi. Ksiądz, wspominając o tym, zauważył sarkastycznie: *A mówiono mi, że tu kościół niepotrzebny!*

Bardzo silna reakcja na słowa: *Przekażcie sobie znak pokoju.* Ja, jak wiele razy czyniłem w podobnych sytuacjach, odprowadziwszy dzieci stanąłem trochę z boku; nie sędzę, by miejsce niewierzącego było akurat przed ołtarzem. I ludzie podeszli do mnie ze słowami: *Pokój Tobie!*

Podobna reakcja była na opłatku mojego środowiska zawodowego: wszyscy nie tylko łamali się ze wszystkimi, co oczywiste, ale wszyscy się całowali. Mnie to trochę razi, gdyż nie widzę powodu, by się całować z ilomaś facetami – nawet jeśli im życzę jak najlepiej. Faktycznie to nie są jednak pocałunki i życzenia pod adresem konkretnych osób, lecz umacnianie spójności grupy. Może nawet przekonywanie siebie, demonstrowanie (przynajmniej wobec siebie), że grupa jest spójniejsza niż jest faktycznie.

22 II 1987

Z powodu mrozów nabożeństwa odbywają się teraz nie pod krzyżem, lecz w pobliskim kościele. Ksiądz w coraz większym stopniu staje się instytucją na osiedlu. Osiedle żyje zaś w tej chwili dwiema sprawami: polowaniem na zboczeńca, który atakuje w windach kobiety i dziewczynki (pełna solidarność z usiłującą go złapać milicją!) oraz wariactwem jakiejś kobiety, która ostatnio wyrzuciła swój dobytek przez okno, dopóki strażacy po drabinie nie dostali się do jej mieszkania. Dziś podczas kazania ksiądz podjął oba tematy. Mówił, że posądzanie kogoś o bycie owym zboczeńcem i atakowanie mieszkania posądzanego (zdarzył się i taki wypadek) nie ma sensu, a kradzież mienia wyrzuconego przez chorą kobietę jest po prostu kradzieżą... Bardzo dobrze, że ktoś to mówi. Dobrze, że w ogóle ktoś mówi o sprawach osiedla – a kto inny mógłby mówić i gdzie? Przewodniczący Rady Mieszkańców? Bez szans.

12 IV 1987

Dziś Niedziela Palmowa i dziś ksiądz wznowił msze pod osiedlowym krzyżem po zimowej przerwie. Było oczywiste, że dzieci pójdą święcić palmę na to właśnie nabożeństwo – a i mnie pociągnęło z nimi, bo chciałem zobaczyć owo wydarzenie w życiu osiedla (społeczności lokalnej w uczonym języku). Trudno żyć na osiedlu nie wiedząc, co tam się dzieje.

A co się dzieje? Deszcz padał i w tym deszczu i błocie tłum ludzi uczestniczył w mszy. Z parasolami, moknąc. Niezwykła siła. Niby to banał, widziano już w historii większe ofiary w imię wiary czy idei niż moknięcie przez godzinę – ale to robi wrażenie.

Spotkana w windzie, luźno znana sąsiadka, która też wraca z mszy, robi uwagę z poczuciem dumy: *Ależ ludzi było!* Mnie się zdaje, że w pogodne dni wiosenne czy jesienne widziałem ich tam więcej – ale to, że ona chce tak rzecz widzieć, też jest charakterystyczne.

18 IV 1987

Wielka Sobota – więc święcenie i Groby. Poszliśmy oczywiście do osiedlowego „kościoła pod chmurką”. Na tym polu między osiedlem a ulicą ksiądz urządził już małe „harcerskie” miasteczko: brezentowy daszek nad paroma rzędami ławek, dwa namioty-hangary, ołtarz polowy. Grób znakomicie zrobiony, gdyż dostosowany do sytuacji – nawiązująca do prowizorki pieczara z gałęzi i kamieni, a nad tym „rumowiskiem” wysoko podniesiona złota monstrancja. Mieszkańcy osiedla ochotniczo pełnią dyżury przez okrągłą dobę (znajoma, która ma dużo dzieci, mało pieniędzy, a w sumie ciężkie życie, zgłosiła się na dwie godziny: *Przynajmniej już z musu odpocznę sobie...*).

Podobno jest już zezwolenie na budowę kościoła – w miejscu, gdzie ksiądz postawił pierwszy krzyż.

Ksiądz ma bardzo dobry kontakt z ludźmi, znakomity z dziećmi. Dziś zaproponowałem – bo jakoś tak się złożyła rozmowa – że sfotografuję nasze dzieci z nim. Odpowiedział mi entuzjazm obu stron. Nawet jeśli ze strony księdza był to może entuzjazm „zawodowy”, to przecież jego zachowanie było jak najbardziej naturalne.

Dla dzieci ta parafia jest jedyną instytucją poniżej poziomu „kraj–państwo–ojczyzna”, z którą się identyfikują. Syn informuje mnie, że jest lokalizacja dla kościoła. Pytam gdzie. Odpowiedź: *Tam, skąd nas wypędzono*. Córka mi wczoraj opowiada: *Mamy już tabernakulum pod krzyżem, mamy piękny, biały, drewniany konfesjonał...* Dzieci lubią pod ten krzyż chodzić. Wczoraj (Wielki Piątek) Syn mi tłumaczył, że wieczorna msza była *piękna*. Dla mnie to jest rodzaj widowiska z udziałem publiczności nie tylko w charakterze widzów, ale także w roli aktorów.

Nie widzę innej instytucji, która mogłaby wystąpić tu i teraz w tej roli wobec moich dzieci. Organizacji młodzieżowych w okolicach w ogóle nie widzę – już nie mówiąc o zastrzeżeniach, jakie wobec nich mam. O harcerstwie w szkole nie słyszę. Kościół jest blisko i sam przyszedł.

19 IV 1987

Niedziela wielkanocna, pogodny wieczór. Poszliśmy z Żoną się przejść. No i gdzie poszliśmy? W kierunku mszy pod osiedlowym krzyżem. Nawet nie po to, żeby w niej uczestniczyć, bo przyszliśmy pod koniec. Po prostu jest ciekawiej iść gdzieś niż nigdzie, popatrzeć na coś niż na nic – a gdzie pójść w naszym odrzuconym od miasta osiedlu? Wprawdzie kiedyś podczas spaceru niedaleko osiedla przebiegły nam drogę sarny – więc coś się działo – ale to nie co dzień się zdarza!

16 V 1987

Sąsiadka, której dziecko przystępuje do Pierwszej Komunii, wróciła z poświęconego tej sprawie zebrania rodziców bardzo późnym wieczorem. Myślę, że na żadnym innym zebraniu, ze szkołą tego dziecka włącznie, nie zgodziłaby się tak długo siedzieć. Co czyni, że ona parafię uważa za swoją instytucję, a zbliżającą się uroczystość za swoją uroczystość?

Raz zdarzyło mi się, że stojącemu obok mnie Synowi ktoś zwrócił uwagę, że depte trawnik. Było to na Księżówce w Zakopanem, gdy przyjechał tam prymas i był tłok. Ja się jeszcze zmieściłem na ścieżce, a Syn rzeczywiście stał na trawniku. Mniejsza jednak o trawnik. Istotne, że nigdzie indziej nikt by spontanicznie (tj. nie

będąc powołanym do tego dozorcą) nie zwrócił uwagi na deptanie trawnika.

Sąsiadka dyskutowała z innymi rodzicami długo, gdyż nie mogli się dogadać, w jakim momencie i w jakiej formie przystępujące do Komunii dzieci mają dziękować księdzu. Wszyscy tak bardzo, zdaje się, chcieliby, by podziękowanie wypadło jak najpiękniej, że nie mogli się pogodzić. Co przyciąga ludzi do tego księdza? Na pewno jego gorliwość w staraniach o budowę kościoła i chęć wsparcia go w trudnościach. Na pewno urok osobisty. A co przyciąga dzieci? Na pewno instynkt stadny; one widzą, jak wielu ludzi garnie się do księdza, garną się więc także. One wyczuwają jednak również, iż ksiądz czuje do nich sympatię. W Polsce na dzieci się krzyczy. Krzyczy dozorca, krzyczą nauczyciele, krzyczą rodzice. Nie wszystkich krzyczących winię. Wiem, że tylko część krzyków wynika z chamstwa. Wiem, że ludzie są przepracowani, nawet jeśli rezultaty tej pracy często trudno dojrzeć. Wiem, że w tych krzykach wyładowują frustracje dnia codziennego i historii. Fakt pozostaje jednak faktem. Tymczasem ksiądz na dzieci nie krzyczy. Ksiądz, gdy wypowiada słowa: *Przekażcie sobie znak pokoju*, podchodzi do pierwszego rzędu wiernych i całuje maluchy.

*

Dzisiaj córka zapewniała mnie, że *nasz kościół ma być największy i najwyższy w Warszawie*. Póki co, kościół jednak jest nadal „kościółem pod chmurką”. Podczas próby śpiewu katechetka dzisiaj ładnie upomniała chłopców: *Chociaż jesteście w kościele, gdzie deszcz pada na głowę – nie gadajcie!*

17 V 1987

Dzisiaj rocznica Pierwszej Komunii Córki. Przeczywa ją ona jako swoją uroczystość, jest ogromnie zadowolona, że znów wystąpi w białej sukni. Podstawowy problem domowy: Córka w ciągu roku wyrosła, a z sukni po przedłużeniu nie można sprząć śladu poprzedniego zakładu! Obicie czubków białych pantofli (nie można dostać nowych!) załatwiliśmy prościej: białą farbą-plakatówką (na szczęście nie padał deszcz). Córka strasznie żałowała, że tym razem nie będzie już miała „białego tygodnia”.

Po mszy w rocznicę Komunii dzieci dziękowały księdzu (czy też dziękowali rodzice – napisał w dzieciom tekst?) za ten kościół bez dachu i ścian, za szopkę na mrozie, za pasterskie ogniska, za nauczenie, że Kościół to nie tylko mury, ale więź ludzka.

Na zakończenie nabożeństwa ksiądz wyraził swoją radość, iż wierni wytrwali z nim przez rok w tej *bazylice bez ścian i dachu*. Mówił: *Jest trudno, ale jestem szczęśliwy, wiercie...* Czy ludzi nie przyciąga do niego właśnie ten spokojny, pogodny jego optymizm?

W dalszym ciągu dnia rozmowa z dziećmi zesłała na księdza. Mówię, że ten ksiądz musi mieć bardzo dużo roboty (widać jak

dużo pracuje). Na to Córka: *Mity jest ten ksiądz... bez brody byłby mniej miły!*

Kamień węgielny pod przyszły, „prawdziwy” kościół pochodzi z Cytadeli Warszawskiej.

14 VI 1987

Dzieci nie pały się do pójścia na spotkanie z papieżem na plac Defilad. Wolały chyba oglądać je w telewizorze, wygodnie – a na dodatek, zdaje się, w jakimś momencie dnia w TV miał zostać wyświetlony ostatni odcinek „W pustyni i w puszczy”. Tak intensywnie przekonywałem je, byśmy poszli, że Syn mi z serdeczną ironią wypalił: *Poczekaj. Tata, jeszcze się nawrócisz!* Ja mu na to, że to akurat jest mało prawdopodobne – ale interesuje mnie co mówi papież, jak reagują ludzie... i mówię: *Jeszcze będziesz, Synku, własnym dzieciom opowiadał, jak uczestniczyłeś w nabożeństwie celebrowanym przez papieża!*

No więc poszliśmy wcześniej rano, wybierając się – znów Syn to ironicznie zauważył – jakby na wycieczkę, nie na mszę: z kanapkami, herbatą, kocem...

Najgorsze było dojście do sektora, do którego – niech będzie chwała głęboko wierzącemu koledze, który dla niedowiarka zdobył miejscówki – mieliśmy dojść. Organizacja wejścia skandaliczna. Cóż z tego, że jegomość dyrygujący tym akurat wejściem miał czapkę funkcyjną, skoro nie miał najprostrzego mikrofonu, by powstrzymać pracę tłum?! Nasza Córeczka, przerażona, że ją zdepcą, rozplakała się. Zacząłem się zastanawiać, czy to wszystko warte jest też dziecka. Pożałowałem, że nie poszliśmy w okolice kościoła Stanisława Kostki. Ale wyjść już też nie było można. Jakiemuś człowiekowi obok nas wyrwano z ręki kartę wstępu – wyciągnął ją do góry, by pokazać bramkarzom i w tym momencie ją stracił. Złe wrażenie tego początku było tym większe, że w kościele na ogół człowiek jeszcze czuje się człowiekiem, a nie elementem masy kolejkowej, pracowniczej, realizującej dziejowe prawidłowości. Gdy już doszliśmy na miejsce, Córka uspokoiła się i odreagowała wspaniałym rysunkiem na jakimś świstku papieru: stłoczone na podobieństwo kartofli kółeczka oznaczające ludzi, przy kółeczkach „dymki” ze słowami: *Niech pan się nie pcha!* lub jękami „aaa” – zaś przed kółeczkami „bramkarz” w charakterystycznej czapeczce.

Nasze miejsce było i dobre, i złe. Złe – gdyż z niego dosłownie nic nie widzieliśmy. Syn był zawiedziony: *Uczestniczyć w mszy nie widząc nawet ołtarza? Uczestniczyć w mszy z papieżem i nie zobaczyć go nawet?* Miejsce było dobre, gdyż ocienione, pod drzewkami, na trawie... Rozłożyliśmy jakąś pelerynę – inni robili podobnie – i powstało zupełne wrażenie pikniku. Nb. byłem jedynym z bardzo niewielu mężczyzn w garniturze i pod krawatem.

Siedząc pod tymi drzewkami, z głową na kolanach, Żona nawet zdrzemnęła się. Tak odezwało się codzienne zmęczenie Matki-Polki – to zmęczenie, któremu nie buduje się pomników.

Siedzieliśmy w miejscu, które znam od dziecka. Pamiętam jak urządzano plac Defilad, wówczas reklamowany jako największy plac Europy. Pamiętam jak budowano Pałac Kultury. Pamiętam Warszawę patrzącą na budowę i styl architektoniczny, na te attyki z Sandomierza stanowiące tu, w wielokrotnym powiększeniu, realizację pierwszego elementu formuły *narodowe w formie socjalistyczne w treści*. Pamiętam Festiwal i otwarcie Pałacu, który w tym momencie nosił nazwę trochę dłuższą niż dzisiaj. Pamiętam wchodzenie do Pałacu za przepustkami i urządzoną tam kawiarnię dla *przodujących naukowców*, też oczywiście za przepustkami. Tę ostatnią pamiętam nie z własnego doświadczenia, ale stąd, że Rodzice zostali zaliczeni do „przodujących” i dostali przepustki. Pamiętam właśnie ich smętne patrzeć w domu na te kartki, ich patrzeć na nie jak na pomysł będący realizacją mieszaniny infantylizmu i bizantyjskiej hieratyczności. Pamiętam ich smętny do-ciep à propos tego, że dostali przepustki w różnych kolorach: *Na żółte pewno będą dawać świeże ciastka, a na niebieskie czerstwe*.

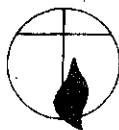
Potem pamiętam wiec przed Pałacem w 1956 r. Szedłem wtedy, jako uczeń pierwszej licealnej na zajęcia do Pałacu Młodzieży. Szedłem chodnikiem biegnącym obok miejsca, gdzie dziś, po 30. latach, oczekujemy na papieża. Kawiarnia dla *przodujących naukowców* zmieniła się w międzyczasie w lokal striptisowy, trybuna – tak monumentalna, by nikt nie mógł z dołu doskoczyć do hierarchów, i tak podpiwniczona, by mogli oni do niej dojść dołem bez narażenia swego cennego życia – zmieniła się w ołtarz, a renesansowe attyki, które miały symbolizować element narodowy w nowej treści, górują nad gromadzącym się w dole i zapatrzonym zupełnie w co innego narodem. Sam Pałac zaś wydaje się mały, gdy od ołtarza brzmia słowa o braterstwie ludów, braterstwie Słowian, braterstwie z Litwinami. Słowa wyrażające idee, które on miał symbolizować. Wydaje się mały, bo tym razem te słowa setki tysięcy ludzi oklaskuje. Bo to są jedne z najgorętszych podczas całego nabożeństwa oklasków – porównywalne chyba tylko z oklaskami, które się wzniosły, gdy delegacja archidiecezji warszawskiej przyniosła papieżowi dar – ryngraf z symbolami AK. Ich temperaturę trzeba docenić, gdy się wspomni zrodzoną z nadwiślańskiej historii siłę polonocentryzmu, naloć ksenofobii.

Czy Syn był zadowolony z przyjęcia na mszę z papieżem? Jest – na szczęście – normalnym dzieckiem. Nie mam wątpliwości, że momentami się nudził, że jego myśl uciekała ku czemuś zupełnie innemu, że był w końcu mocno zmęczony... Czy będzie w przyszłości wierzącym? Oczywiście nie wiem. Ja jednak, niewierzący,

mówię: Niech sobie wybierze. Niech sobie sam, świadomie wybierze. Ja chciałbym tylko, by miał warunki do takiego wyboru. By żył w czasach, gdy będzie mógł go dokonać uczciwie, zgodnie z własnym sumieniem i przekonaniami. By mógł w ogóle wybierać w życiu. O to, jeśli mogę tak powiedzieć, na swój sposób się modlę.

Jeśli zaś Syn wybierze wiarę, znajdę w tym też zadowolenie: będę się cieszył, że w trudnych sytuacjach, których życie mu na pewno nie oszczędzi, odczuje wspólnotę z innymi, może znajdzie wsparcie w tej wspólnocie. W kraju, gdzie więzy ludzkie tyle razy targała historia, w społeczeństwie tak zatomizowanym, to jest wiele warte. Ksiądz spod osiedlowego krzyża nawet nie wie, jaki sukces osiągnął – ale Zona twierdzi, że od czasu gdy zaczęły się u nas nabożeństwa, więcej ludzi się z nią wita, zagaduje, serdecznie się do niej odnosi. Prawda, zmiana nastąpiła najpewniej nie w wyniku nauk księdza, lecz w konsekwencji spotykania się w ramach wyodrębnionej społeczności. Ważna jest jednak nie przyczyna, lecz skutek – przeciwstawienie się anonimowej, zatomizowanej, warczącej, gryzącej kolejce w osiedlowym sklepie.

Marcin Kula



Zaprzeszły czas teraźniejszy

Kresy są wciąż żyzną, nieustającą w płodności dziedziną naszej literatury. Choć wyzbyte politycznej żywotności i geograficznej pozycji istnieją już tylko jako wyobrażenie historyczne, to wzbudzone, tam przecież, źródło romantyzmu wciąż przyciąga swoim niewyrachowaniem, różnorodnością współtworzących je kultur, egzotyką kontrastów, szerokością obyczajowego gestu. Nawet wyolbrzymiały, rozrosły się psychologicznie, myślowo, wtargnęły na obszary filozofii, metafizyki. Stały się przecież ziemią pamięci. Utraconą i obiecaną zarazem. Arkadią, krainą dzieciństwa kultury, ale także dziedziną przeklętych problemów w skali narodowej i ogólnoludzkiej. Na kresy, na Podole, Ukrainę, Litwę pisarze idą z daleka, ze Śląska, z Wielkopolski, z Kalifornii, aby odszukać korzenie własnej tożsamości, tak, ale także po to – co wydaje się istotniejsze – aby dać konfliktom, antynomiom i dramatom czasu teraźniejszego wymiar eschatologii, skalę dramatu antycznego. Wędrowanie na kresy to poszukiwanie sacrum, to pielgrzymowanie po charyzmę, którą każda przeszłość daje teraźniejszemu stanowi świata. Tak jak Faulkner i idący jego tropem Styron na Południu, tych kresach amerykańskiego czasu teraźniejszego, szukają ukrytych ciemnych źródeł, odnajdując pod naciągniętą i szczelnie przywierającą maską amerykańskiego optymizmu metafizykę krwi, genezę poczucia winy trawiące status moralny, tak Odojewski w swojej wspaniałej trylogii („Zmierzch świata”, „Wyspa ocalenia”, „Zasypie, zawieje”) szuka na kresach, dzikich polach ostatniej wojny, źródła destabilizacji wartości i tego braku komfortu moralnego, który znamionuje nasze czasy. Największa miłość i najgwałtowniejsza nienawiść, jakie pokazała współczesna polska literatura, tylko na kresach mogły znaleźć głębię irracjonalizmu umożliwiającą urodzaj takich nadmiernych, nie liczących się z żadną rzeczywistością, uodpornionych na życiową mądrość oportunistów, namiętności. Odojewski ze szczędnej i rozsądnej Wielkopolski pielgrzymuje na kresy po nieobliczalną wielkość kreacji, uciekając przed drobnostkowym zegarem racjonalizmu, aby zanurzyć się w żywioł, który wszystko zasypie, zawieje czasem wieczności.

W „Czarnym potoku”, który kiedyś Hostowiec zestawiał z literaturą schyłkowego okresu Cesarstwa Rzymskiego, kiedy rozpad wartości umożliwiał jedynie odbijanie, ogarnianie rzeczywistości bez pojmowania sensu i logiki dziejących się zdarzeń, Buczkowski dał naturze kresowej funkcję krajobrazu świata w czasie bitwy instynktów, przeczuć, emocji, sumień porażonych niepojętością ludzkich zachowań. Kresy nie tylko tworzywem, faktograficznym

materiałem pamięci, ale samą swoją naturą niespójności, niewyrachowaniem, będącym konsekwencją kulturowych sprzeczności, właśnie uformowały poetykę całej twórczości Leopolda Buczkowskiego od „Czarnego potoku” do „Kąpieli w Lucca” i „Kamienia w pieluszcze”, które są jednym, ciągłym wyznaniem wolności, nie krępowanej żadnymi konwencjami swobody wyrażenia warunkującej ogarnianie całego spłotu przypadkowości, które składają się na ludzki los.

Pisarze pielgrzymują na kresy, gdyż tam, gdzie rządzi już tylko czas przeszły, wszystko, uczucie i przecucie, nierealne pragnienie, daremna nadzieja – może mieć status mitu. Tam można odwrócić bieg zaszłych zdarzeń, unieruchomić lawinę, zażegnać zagładę, rozbroić wojnę, unieważnić Bekanntmachung obwieszczającą koniec świata. Przeszłość jest wyrozumiała, cierpliwa, nic już jej spokoju nie może zakłócić. Arogancja żadnej mitologii nie wyprowadzi jej z równowagi. Bezpieczny schron na wypadek inwazji przyszłości. To właśnie kresy i zawarta w ich pojęciu tolerancja czasu przeszłego umożliwia Strykowskiemu zatrzymanie lawiny historii i ukazanie ostatniego dnia świata w blasku moralnej czystości.

Kresy utraciwszy swoją pozycję polityczną, geograficzną, schodząc w historię, legendę, mit zagarniają i wchłaniają coraz większe obszary narastającej pamięci. Będąc już tylko czystą kategorią czasu obejmują swoim pojęciem, swoim wyobrażeniem wszystko co przeminęło, co żywioł wieczności zawiął i zasypał. Litwa, Białoruś, Ukraina, te klasycznie historyczne obszary polskiej kultury, sąsiadują w wyobrażeniu kresów z małymi miasteczkami, Bełżcem, Biłgorajem, Itzą, Kazimierzem nad Wisłą, gdzie pozostał w pamięci ziemi, krajobrazu, obyczaju ślad współżyjącej z nami przez wieki społeczności Żydów. W wyobrażeniu kresów zawiera się wszystko, co składa się na różnorodność, bogactwo myśli, chłonność i gotowość akceptacji świata, płodna złożoność psychologiczna, atrakcyjność polskiej kultury. Może właśnie teraz skazani na post kultury jednorodnej bardziej niż kiedykolwiek zdajemy sobie sprawę z tych wartości, które wnieśli – współtworząc język, obyczaj, wyobraźnię – Litwini, Białorusini, Ukraińcy i Żydzi. Im właśnie nasza kultura zawdzięcza tę wyjątkową pozycję w europejskiej kulturze, którą w naszych czasach Iwaszkiewicz określał swoją twórczością jako most łączący Wschód z Zachodem. Dzisiejsze pielgrzymowanie naszej literatury na kresy to pielgrzymowanie do ocalałej przeszłości.

Najwartościowsza, najambitniejsza, a w każdym razie najwrażliwsza współczesna proza polska, najmłodsza, młoda i ta już doświadczona eksploruje kresy, przeszłość. Najmniej odpowiednim określeniem tej tendencji jest eskapizm. W tej tendencji

wyraża się nie odwrót od czasu teraźniejszego i jego problemów, lecz potrzeba przywrócenia teraźniejszości utraconych, zagubionych symboli, znaków i mitów, które wyznaczają temperaturę i skalę przeżywania każdej rzeczywistości. Włodzimierz Paźniewski, wywołując w „Krótkich dniach” wizję Krzemieńca w przeddzień końca kruszącego się świata, pragnie ocalić od lekceważenia uczucia międzyludzkiej solidarności, tolerancji, ciepło obyczaju jednoczącego rasy, religie, języki. „Zagłada” Piotra Szewca to akt niewiary w skuteczność kataklizmu. Koniec świata nie jest możliwy. Zamość ostanie się i będzie trwał dopóty, dopóki dzień powszedni będzie miał swoje kłopoty, interesy i niewielkie satysfakcje. Małe nie musi bać się lawin i katastrof, małe jest bezpieczne, małe jest nie tylko piękne, małe jest trwałe. Krzemieniec Paźniewskiego i Zamość Szewca to miasta z baśni o świecie, który jest, był i będzie, z baśni o ocalającej pamięci.

Andrzej Kuśniewicz w „Mieszaninach obyczajowych” nie poszukuje w przeszłości kategorii baśniowych, nie szuka tam ani symboli, ani mitów. Także mitem Piłsudskiego posługuje się jak realnością historyczną. Mimo wątków fikcji powieściowej jest to książka najwnikliwszą, jaką znam, monografią życia duchowego mojej generacji, pokolenia inteligencji uformowanej przez dwudziestolecie Niepodległości. Kresy, które ewokuje, przeszłość, którą eksploruje, nie są dlań legendą czy postojem pamięci, lecz rzeczywistością, która uwarunkowała byt PRL. Książka Kuśniewicza nie jest publicystyką historyczną, ale wyczytuje w niej prawdy zapomniane lub lekceważone: to dwudziestolecie scalilo społeczeństwo podzielone przez rozbiory, to dwudziestolecie wychowało generację bez kompleksów niewolniczych dając PRL kadry inteligencji, kadry profesjonalne, uniwersyteckie, które umożliwiły dzisiejszy stan kultury i nauki kraju. Książka Kuśniewicza ukazuje mimochodem, jak przeszłość zrasta się z czasem teraźniejszym, stając się jego – nawet w sensie doraźnym – ocaleniem. (I pomyśleć, że to właśnie „Mieszaninom obyczajowym” wypominano eskapizm.)

Kresy jako czysta kategoria przeszłości są w obrębie naszej kultury obszernym pojęciem współczesnej filozofii. Nie ma w tym nawet paradoksu, że w epoce rozkwitu futurologii oraz inwazji literatury science fiction, ukazujących przyszłość jako domenę wszystkich arbitralnie możliwych niemożliwości, dziedzinę dezynwoltury i domyślności parodiującej jasnowidzenie, jedyna stała, niezmienna wartość świata, jego status ontologiczny i moralny zawarty jest w przeszłości. W epoce niepewności najważniejszą wartością jest to co pewne i trwałe. Tylko przeszłość istnieje na pewno, tylko przeszłość jest wieczna. Nieunikniona *nagła wie-*

czność, mówi poeta. Z prochuś powstał i w proch się obrócisz. Z przeszłości wyszliśmy i do przeszłości powracamy. W ludzkich uczuciach, pragnieniach, tak samo w ludzkim śnie jak w ludzkiej jawie odbijają się miliardy spełnień i niespełnień, które toczy dokoła słońca *ziemia ciężka od umarłych*. Każde ludzkie istnienie jest powtórką lub korektą, odbłaskiem lub cieniem żarliwej chęci życia zakodowanej w wieczności minionego. Poeci od zawsze poszukiwali w przeszłości azylu wyobraźni. Każdy akt kreacji artystycznej jest przecież powtórzeniem stworzenia świata. Dzisiejszy poeta ma spotęgowaną świadomość współistnienia z żywiołem czasu i przestrzeni świata. Pielgrzymowanie do przeszłości nie po wzorce i recepty sztuki, ale po tworzywo swojej osobowości. Mówi poeta (Adriana Szymańska):

*Mówię i słowa tłoczą się w labirynt
otwarty zwinnym kluczem metafory
a chciałam powiedzieć tylko siebie
od początku świata:
przez eksplozję galaktyk
płonący kłębek ziemi
samowolę ożywającego białka
przez brata pantofelka
i brata dinozaura
przez glinę i krzemień
przez iskrzącą różę żywiołów
rozkwitłą w dłoni mego prapradziada
przez jasny płomień świadomości
i ciemną krew matki
przez szaleństwo rodzonego brata
przez szaleństwo zmysłów
Mówię jak gdybym mogła w tym jednym istnieniu
ocalić tętniący puls tysiącleci
ja – ciało
z głębokim śladem życia pod skórą
z pazurkiem serca*

Dzieje się, i to w naszych oczach się dzieje, że powieść, wiersz, lub jakaś myśl już zaczęta nagle odwraca się od doraźnych, ważnych, pilnych, koniecznych do załatwienia spraw i zamiast załatwiać lub chociażby ustosunkowywać się do problemów swojego czasu teraźniejszego idzie tam, gdzie iść nie zaplanowała, nie zamierzała nawet, idzie coraz prędzej, prędzej, aż znika w oddaleniu. Przeszłość ją wezwała, wchłonęła, pożarła. A może działa się inaczej, może to ona, przeszłość przybyła i wtargnęła w tok zdarzeń stających się właśnie i gmatwa je, plącząc wątki myśli, komplikując kompozycję i życia, i dzieła.

Dwie książki autobiograficzne, dwa wysoko utytułowane warsawiana* są właśnie polem walki, terenem ścierania się, a raczej może godzenia się i współżycia dwóch światów, świata będącego i świata, który odszedł, teraźniejszości i przeszłości.

Tadeuszowi Konwickiemu jak mało któremu ze współczesnych pisarzy, jak żadnemu ze współczesnych polskich pisarzy, zwał się cały świat na głowę. Nie powiem, że nie ma wcale, ale mało jest spraw, które by go nie obesły. Musiałby być Prusem, Żeromskim, Kisielem i Stefanem Bratkowskim, by wszystkiemu podołać. Każda jego powieść pęka w szwach od nadmiaru rzeczy, problemów, urazów, losów pojedynczych i losów zbiorowych, które chciałby bodaj aluzją, no nie rozwiązać, literatura nie jest od rozwiązywania, ale dotknąć, ubóść lub pogłaskać. I jeszcze rzecz, która wcale nie ułatwia mu ani życia, ani dzieła: musi być zawsze po stronie słusznej, to znaczy słabszej, skrzywdzonej, obowiązującym prawem zakazanej. Nic dziwnego, że jest ulubieńcem biedoty, czyli całego czytającego polskiego narodu. Konwicki nie komplikuje swoim wielbicielom życia. Nie żąda od nich wysiłku ponad miarę, nie stawia ani pytań, ani problemów nie do rozwiązania. Łagodną stylistyką gawędy jak dobrze udeptaną ścieżką prowadzi ich przez swoje rojsty. Mogą iść śmiało z zamkniętymi oczami. Muszą tylko uważać, aby się nie potknąć o leżącą plackiem w zachwyceniu („Twórczość” nr 1/87) panią Helenę Zaworską. Najnowsza książka Konwickiego jest dziariuszem jego udręki fizycznej i duchowej. W tej jego udręce jak w każdej udręce nie brak sporych satysfakcji, niemałych radości i ciepła doznawanych i darowywanych przyjaźni. Tego ciepła jest tyle, że neutralizuje słuszne gniewy i wściekłości. W tej książce niejadowitej trafiają się rzucane jakby od niechcienia zaskakujące przenikliwością spojrzenia. W galerii portretów literackich zwraca uwagę niewielki, ale zastanawiający psychologiczną niekonwencjonalnością szkic przedstawiający Leona Kruczkowskiego. Czas teraźniejszy „Nowego Świata” podrzuca Konwickiemu drobiazgi i sprawy duże. Także politykę. Wielką i małą, również środowiskową. Jest więc narkomania, alkohol (także spożywany przez autora), polski kołtun i państwowa cenzura, filozofia piosenki i filozofia egzystencji, także cierpienie duszy trawionej i dręczonej potrzebą wiary. I pomiędzy te doraźne, palące aktualnością sprawy wpada nagle bez uprzedzenia jak gość nie czekany przeszłość: Wilno. *Nie mogę się odkleić od tego Wilna, od tej ni to Litwy, ni to Białorusi, nie mogę się odczepić, odlepić, oderwać jak ta oszmiańska albo mejszagolska mucha w skwarne dawne lata, pachnące miodem, świeżo udojonym mlekiem i rozniecionymi czernicami. Ale hola, znowu mnie znosi w tę stronę, już niby dla akuratności zaczynam wspominać owe lata,*

dawno zapomniane i nikogo dziś nie obchodzące. Bezradność Konwického wobec przeszłości – i autor o tym doskonale wie – jest ocalająca. Wilno, Kolonia Wileńska i wciąż powracający na stronic „Nowego Świata” słoneczny pejzaż nad Wilejką dają dziaruszowi czasu terażniejszego wiarygodność psychologiczną. Przeszłość, kresy wileńskie dają czasowi terażniejszemu Konwického konsystencję i dystans a jego dziełu urodę, światło emocji i coś więcej jeszcze, coś bardzo istotnego – więź kompozycyjną. Obrazy i obrazki, felietony i publicystyczne przestania będące odbiciem doraźnych potrzeb, nawyków, przeklętych i błogosławionych problemów autora stają się dzięki przeszłości przelewającej się przez stronic książki całościowym ciągiem, jednym ujmującym bezpośredniością wyznaniem. Konwicki znakomicie zdaje sobie sprawę z energii kreacyjnej zawartej w jego przeszłości. Jeśli jeszcze kiedyś w życiu wspomnę słowem Kolonię Wileńską, Wileńszczyznę albo Litwę, niech mnie najbliższy przechodzień bezlitośnie zastrzeli. Jest to stylistyczna figura retoryki miłości pojemniejsza niż ten tryb oznajmujący: /.../ muszę wyjaśnić moim wielbicielom, że wszystkie moje książki są przepełnione Wilnem, że w kółko i stale piszę o Wilnie, że właściwie piszę całe życie jedną i tę samą książkę, powieść z jednakową za każdym razem treścią, fabułą, z tymi samymi bohaterami, a nawet nie wysilam się przy opisie przyrody. Walę te same już od dwudziestu lat.

Kresy wileńskie ocalają dzieło Konwického od zagrażającego każdej twórczości, która wyraża czas terażniejszy, oportunizmu. Kresy wileńskie nawet drobnostkowości dają wymiar powiększający jej funkcję w doznawaniu świata. Usprawiedliwiają także ułomność formalną książek Konwického. *Otóż ja wiele wysiłku włożyłem, żeby te moje książeczki jak „Kalendarz i klepsydra” oraz te „Wschody i zachody”, były nierówne. Pocitem się jak mysz trudząc się nad mozaikową, swobodną, może nawet nonszalancką budową tych broszurek. Mnie zależało na pomieszaniu, na zgiełku, na kakofonii. Bo ja jestem ostatnim szlacheckim gawędziarzem. Jeszcze dopiero co żyli tacy mistrzowie tego polskiego gatunku literackiego jak Wańkowicz, Mackiewicz, czy ksiądz Meysztowicz. Ale ich już nie ma. /.../ Dlatego ja szarak wileński, potomek marnej zaściankowej szlachty, jakby podświadomie i instynktownie w którymś roku swego paskudnego życia wziąłem się do tej gawędy, choć pozorowałem jakiś dziennik czy raportar. Obecność kresów ma więc w twórczości Konwického także konsekwencje stylistyczne. Nie mniejsze konsekwencje formalne ma obecność kresów w twórczości Adolfa Rudnickiego.*

* Tadeusz Konwicki, *Nowy Świat i okolice*, Czytelnik, Warszawa 1986; Adolf Rudnicki, *Krakowskie Przedmieście pełne deserów*, PIW, Warszawa 1986.

Proza Rudnickiego nie jest tak bezgrzeszna i tak w sumie dobroduszną jak proza Konwickiego. Na tę prozę (powieściową, nowelistyczną, esecystyczną) nigdy nie płynącą łożyskiem uregulowanej narracji, zawsze spiętą, wybuchającą synkopami liryzmu, pokonującą w każdym niemal zdaniu katarakty, wiry i bezdnie, złożyły się doświadczenia pisarza, dla których określenia słowo „nadmierne” jest za ciasne. Kresy Adolfa Rudnickiego nigdy nie ułożą się w obraz czy symbol. Przeszłość Rudnickiego nawet grobu nie ma. Nad doliną Wilejki czy doliną Issy, nad Krzemieńcem i Ukrainą, mimo całego związanego z ich wyobrażeniem dramatu wschodzi i zachodzi słońce pamięci. Kresy Rudnickiego to popiół rozsypany po całej polskiej ziemi, po Iłżach, Bełżcach, Biłgorajach, Kazimierzach nad Wisłą, Sanem, Bugiem, po dziesiątkach, setkach wsi i miasteczek żydowskich, są wszędzie, w powietrzu, którym oddycha, w ziemi, na której żyje, w myśli, którą się zamysla. Instykt życia mówi: wypłakać rozpacz i uciekać. Wielka część twórczości Adolfa Rudnickiego jest zawodzeniem płaczki nad przeszłością. „Wysokie okna”, żeby się ograniczyć do jednego tytułu symbolizującego tę część twórczości Rudnickiego, to płacz pisarza nad sobą, nad własnym sieroctwem i nad próżnią po umarłym narodzie. A potem jest ucieczka. Gorączkowa, paniczna ucieczka i gorączkowa, paniczna pogoń za teraźniejszością jak za umykającym pociągami. By nie pozostać sam na sam z nieodstępową go przeszłością, Rudnicki dopada czasu teraźniejszego i od razu robi sobie miejsce w pierwszym szeregu maszerujących. By nie odstać i nie czuć za sobą oddechu doganiającej go pamięci. Jest zawsze na pierwszej linii frontu. Jeszcze zanim Andrzejewski opublikował „Popiół i diament”, Rudnicki pisze „Majora Huberta z Armii Andersa”. Jest czołowym prozaikiem łódzkiej „Kuźnicy”. Przypominam, nie wypominam. Ja nie jestem od wypominania. On sam zresztą, może z pewną przesadą, tę swoją pierwszoliniowość stwierdza, kiedy polemizuje z denerwującym go zarzutem, że zajmuje wygodną pozycję outsidera. */.../ zawsze brałem udział w głównych bitwach. To ja napisałem i „Żołnierzy”, i „Lato”, nie kto inny. „Lato”, które było ostatnim latem Żydów polskich. Po wojnie zmierzyłem się z tematem zagłady Żydów, ja nie kto inny. Wciąż namawiam komunistów do dialogu – ja, nie kto inny, niestety nie mam dywizyj, na zapleczu mam tylko ścianę. Zmierzyłem się z Sierpniem w książce, która dotąd śpi snem głębokim w szufladach wydawców, ja, nie kto inny. Zawsze na pierwszej linii frontu.*

Oczywiście nie był outsiderem. Był zawsze artystą. W sztuce szuka azylu i ocalenia. W „Nickochanej”, w „Pałeczce” sięga niebezpiecznego pułapu psychologizowania. Lokując się bez reszty w czasie teraźniejszym żyje wyłącznie jego problemami, dużymi i małymi, także drobnostkowymi. Był rywalem, miał rywali, był

kochany i był niekochany, był znośny i bywał nieznosny. W „Krakowskim Przedmieściu pełnym descrów” rzadko jest słodki. Ma denerwującą niekiedy odwagę pokazywać swoje fobie, nawet zawiści w pełnym wymiarze. Więcej, ma równie denerwującą co rozczielającą śmiałość wdziaczyć się swoimi urazami i chyba wymyślonym niedopieszczaniem. Jest chyba rzeczywiście autentyczny. Powiadam „chyba”, gdyż z tak powiklaną strukturą psychiczną nigdy nie wiadomo. Sam powiada: *Słowa jednego z moich bystrzych przyjaciół: masz tak obrzydliwy charakter, że nie bardzo można się przyczepić do ciebie.* Dodam: ani odczepić także. Te wszystkie powbijane w umarłych i żywych rywali szpilki i harpuny są Rudnickiemu niezbędne, by już całkowicie pozbyć się kompleksów czasu teraźniejszego i móc wreszcie obejrzeć się za siebie. Sięga do przeszłości ostrożnie poprzez czule wspomnianie swoich braci w sierotwie, Robba-Narbuta, Prutkowskiego, a w symbolicznej, jakby zbiorowej postaci Rywana z Rywanowa zgna całą przeszłość odchodzącą z tej ziemi.

Lecz ta przeszłość jest nie do pokonania. Dopada Rudnickiego i wypełnia jego czujące i myślące trzewia. Daremne były wszystkie ucieczki. Daremne, chociaż nie bezowocne, były flirty z teraźniejszością. On ten popiół rozsypany po całej polskiej ziemi wchłoniął z powietrzem, którym oddychał, i z chlebem, którym się karmił. Rudnicki nosi kresy w sobie. To one, kresy, uformowały to, co sam najwyżej (dawał temu niejednokrotnie wyraz) w sobie ceni – swoje myślicielstwo. „Niebieskie kartki” przed laty publikowane w „Świecie”, publikowane osobno, stanowią trzon kompozycyjny „Krakowskiego Przedmieścia”. W luźnych zapiskach porozrzucanych po stronicach książki Rudnicki mówi o świecie, Bogu, sobie, wolności, przyjaźniach, obojętnościach, języku, wojnie, literaturze, życiu, diable, śmierci, grobach, Polsce, jednostce, masach, narodzie... Wymieniam przykładowo. Katalog tematów myśli jest bardzo obszerny, praktycznie niewyczerpany. Wśród tych myśli są myśli celne, niccelne, wyraziste, nijakie, złote, pozłacane, miedziane, paradoksalne i banalne. Wszystkie eleganckie i wszystkie denerwujące. Jedne denerwują, bo niepokoją (*Przecież to Bóg stworzył diabła*). Inne denerwują, bo są niejasne (*Pejzaż jako koło. My jako koło. Wszystko co w nas wielkie, wiąże się z kołem. Jeszcze jeden dowód, że znajdujemy się – stale – w drodze. Pejzaż w swej formie kolistej. My w naszej formie kolistej*). Jeszcze inne denerwują, bo zdumiewają (*Pismo zawarte w krajobrazie. Twoje pismo. Dwa królestwa równorzędne. Król spotyka króla. Z jaką wirtuozerią gra ten pejzaż na tobie! Nic sztucznego w tej wirtuozerii, sama naturalność!*). Wszystkie denerwują stylistyką odkrywczości, która błyszczy także wówczas, kiedy nic nie odkrywa. Cytując: *W swej długiej drodze hasła te, tak wyraziste z początku, z czasem stały się*

mniej wyraziste. Wolność? Aby co z nią uczynić? Wszystkim ma być wolno to samo? Tak samo? Być równym komu? Być bratem czyim? Lecz czym bratem nie być? I to za nic w świecie? Hasła przejrzyste, pomimo to ciemne. A zatem walka, śmiertelna walka. O guzik, jak mówił Napoleon.

Przed laty czytywałem „Niebieskie kartki”, kiedy ukazywały się w „Świecie”. Razita mnie ich elegancja i emanujące z nich przekonanie, że z impulsów estetycznych można zrobić Pascala. Teraz śledząc myślicielstwo Rudnickiego w „Krakowskim Przedmieściu”, zastanawiam się, skąd ono wypływa, gdzie jest jego źródło. Nie dociekam sensu poszczególnych myśli. Szukam ich korzeni, ich genezy. Imperatyw niezależności. Konieczność, niemożliwa do zwalczenia konieczność samodzielnego myślenia, myślenia na wyłącznie własny rachunek. Bez oglądania się na autorytet. Myśleć bez względu na rezultat. Myśleć za wszelką cenę. Dochodzić samemu do wiedzy o sobie i świecie. W myślicielstwie Adolfa Rudnickiego odzywają się jego kresy, jego przeszłość, stara kultura niezależności. Żydowskość dopada Rudnickiego tym, co jest w niej najwspanialszego. W Rudnickim dochodzi do głosu chasydyzm, mądrość pojedynczego, osobnego obcowania z absolutem.

W dzieciństwie miałem kiedyś mój własny Machzor, modlitewnik przeznaczony na groźne święta jesiennie. Tekst hebrajski wytłuszczony większą czcionką mieścił się w środku, zaś boki objęzione były komentarzami, komentarzami do komentarzy oraz tłumaczeniem na język polski. We wczesnej młodości nawet byłem znawcą świętych tekstów, stąd widziano we mnie „nadzieję ludu izraelskiego”.

Sztuka, literatura ześwieczyła i zdegenerowała potrzebę mądrości, chasydzką konieczność rozmawiania z Bogiem. Stylistyka elegancji zamiast oliwy dolewała perfum do ognia. Ale sama potrzeba, konieczność samodzielnego, osobistego obcowania ze sprawami świata i ducha przetrwała z dzieciństwa i poprzez czas terazniejszy dopadła go i podbiła. Autor „niebieskich kartek” rozsiąanych po całym dziele Rudnickiego to chasyd w salonie literatury. Pomyśleć, że to co najgorsze w tym pisarzu, jest tym co w nim najlepsze! Wymuszonymi, często pretensjonalnymi, uszminkowanymi stylistyką paradoksu myślami wypowiada się to, co w Rudnickim jest najbardziej autentyczne, jego chasydzki rodowód. Bo najlepsza część jego twórczości to wciąż żywa, samokreująca się przeszłość, kresy.

Każda literatura ma swoje kresy. Jeśli nie ma kresów, to musi mieć bezkres. Nie do pomyślenia jest literatura, która nie ma odniesienia do jakiegos żywiołu.

Zbigniew Bieńkowski

Wirydarz na Stegnach

Kościół OO. Marianów
p.w. Najświętszej Marii Panny Matki Miłosierdzia
w Warszawie

Pół wieku temu na warszawskich Bielanych działało liceum znane ze swoistej ekskluzywności i wysokiego poziomu kształcenia. Status „bielańczyka” oznaczał dobre przygotowanie naukowe i obywatelskie. Wśród absolwentów tej szkoły znajdują się znani dziś naukowcy, ludzie sztuki, ale i politycy – Adam Rapacki i Wojciech Jarużelski; chociaż nie wiadomo dlaczego ich życiorysy nie podkreślają zbytnio tego faktu. Powojenna eksmisja przeniosła ojców marianów z zielonych Bielanych w sam środek zdeintegrowanej przestrzeni osiedlowej, jaką są wbrew intencjom projektantów Stegny. Jedno z wielu osiedli, gdzie mieszkanięc ucieka przed swym szarym cieniem do prywatności ciasnych mieszkań. W tym trudnym i nijakim pejzażu jedyną integrującą – chociaż w sposób dramatyczny – formą stał się od kilku lat zespół budynków klasztoru z kościołem już nie „bielańskich marianów”, ale „marianów ze Stegien”. Może to i dobry symbol obecności ojców tam, gdzie środowisko psychoprzestrzenne nie sprzyja wolności ducha. Takich zresztą świątyń wkraczających odważnie w środek wielkomiejskich osiedli jest coraz więcej: nowohuckie Bieńczyce i Miśrzejowice, gdańska Zaspą, łódzki Teofilów. To pożądane społecznie znaki czasu.

Ten zespół sakralny wart jest opisu nie tylko z racji bielańskiej przeszłości mecenasa, wysokiej jakości rozwiązania architektonicznego, ale i dlatego, iż jest to ostatnie dzieło profesora Jana Bogusławskiego (nie licząc odbudowy Zamku Warszawskiego, ale to specyficzne zadanie architektoniczne i konserwatorskie, powstałe koncepcyjnie znacznie oczywiście wcześniej). Wielokrotnie próbując relacjonować ciekawsze wydarzenia w nowej architekturze sakralnej odczuwam brak osoby Profesora, jego dzieł. Pamiętam moją ostatnią z nim rozmowę w sierpniu 1980, kiedy to między relacjami ze Świdnika i Stoczni Profesor wspominał, iż najbardziej ceni sobie ukończony niedawno wiejski kościół w Gorajcu na Zamojszczyźnie. Jakoś nie udało mi się tam dotychczas dotrzeć – wierzę relacji i opinii Profesora, że warto go poznać.

Rozpoczęcia budowy na Stegnach profesor Bogusławski nie doczekał. Brał udział tylko w opracowaniu koncepcji, razem z synem Jerzym i swym wychowankiem z uczelni, Krzysztofem Dygą. Ci ostatni, a przede wszystkim starszy wiekiem i doświadczeniem

w projektowaniu Krzysztof Dyga, doprowadzili realizację obiektu do jego poświęcenia w jesieni 1986 r.

Całość zespołu nie jest jeszcze ukończona. Można już oceniać główne elementy: kościół i część klaszorną. W budowie jest jeszcze wieża i kaplica tygodniowa. Charakter architektury, zdecydowany i wyrazisty formalnie, pozwala już jednak oceniać jego jakość i atmosferę sakralną.

Zawsze trudny styk architektury sacrum z anonimowością suchych pudełek mieszkaniówki został tutaj rozwiązany decyzją znaną już z podobnych sytuacji: zastosowaniem cegły jako podstawowego kolorytu materiałowego oraz wyraźnym aż do organiczności rozrzeźbieniem tektoniki brył. Te dwa zabiegi usiłują metodą kontrastu wydobyć sacrum z obojętnego tła. Dopelni efektu rzeźbiarskiego akcent wysokościowy w postaci 50-metrowej, wolno stojącej smukłej dzwonnicy. Całość zespołu została rozwiązana na planie siatki sześcioboku foremego, co jeszcze i w ten sposób wyróżniło go od prostokątnej siatki budynków osiedla.

Bryła głównego kościoła wyrasta ponad 2-3-kondygnacyjnym klasztorem formą gigantycznego dwuspadowego dachu z kalenicą na wysokości ponad 32 m nad ziemią. Przy powierzchni 1000 m² centralnej nawy daje to efekt strzelistości wnętrza świątyni, podkreślony dodatkowo układem filarów. Niosą one strop z trójkątnych kasetonów. Atmosferę wnętrza kształtują oprócz formy sześciobocznego planu przekrytego dwuspadowym dachem dwa materiały: surowy beton filarów i stropu oraz cegła ścian. Ich surowość dopełniona zostanie w przyszłości elegancją marmurowej, beżowej w kolorystyce posadzki z „Morawicy”, przyciemnionym dębem ławek i pionami abstrakcyjnych, w autorskim założeniu, witraży. Charakterystycznym tak z zewnątrz jak i we wnętrzu motywem jest system świetlików w dachu, wpuszczających rozrzedzone przez wysokość światło gdzieś z nieba, znad bloków. Chwała inwestorowi, iż nie przestraszył się wyimaginowanych przecież trudności technicznych i otrzymał dzięki temu efekt sprawdzony dawno w barokowych świątyniach i tak ciągle sakralny w nastroju. Współtworząca go forma odkrytej żelbetowej konstrukcji to znaczący współudział konstruktora, inż. T. Jan-kowskiego, od wielu lat budowniczego nowych świątyń. Surowy beton jako ostateczna faktura wnętrza ciągle jeszcze jest odbierany przez wiernych co najmniej dyskusyjnie, jeśli nie wręcz negatywnie. A to przecież już symbol współczesnej architektury i jej konstruktywistycznego charakteru. Prawdą jest również, iż polska architektura – i nie tylko – kocha także ciepły tynk i drewno.

Anegdotyczna część opisywania kościoła na Stegnach związana jest ze zjawiskiem pozaziemskim. Ten kościół „gra”. Nawet przy

małym podmuchu wiatru słyhać przedziwne dźwięki o zmiennych wysokościach tonu, dochodzące, jak przystało na świątynię, gdzieś z góry... Sami twórcy długo nie mogli odszukać źródła tej antelskiej muzyki. Teraz już wiadomo (niestety), że to nie przewidziany efekt połączenia otworów wywietrzających i zabezpieczenia odgromowego. Szkoda, że nie może to pozostać, bo odebrałem granie jako efekt bardzo sakralny. Przecież w romańskich świątyniach francuskich zakładano podobno specjalnie „grające” gąsiorzy w kalenicach dachu, aby wspomóc modlitewną kontemplację metafizycznym dźwiękiem.

Część sakralna to nie tylko górny kościół mieszczący ponad 3000 wiernych, ale także amfiteatralna dolna kaplica na prawie 1000 miejsc, stanowiąca równocześnie swoiste forum okalających ją klas katechetycznych. Budowana w tej chwili boczna kaplica tygodniowa z lewej strony głównego wejścia nosić będzie imię Bł. Jerzego Matulewicz. To jedynie możliwy i współczesny pomnik wileńskiego biskupa i jego dwudziestowiecznej unii polsko-litewskiej.

Wymieniłem twórców świątyni, architektów i konstruktora. Nie byłoby jej w tej postaci bez równie twórczego mecenatu o. prokuratora Stanisława Zambrzyckiego towarzyszącego budowie od początków. Trzeba mieć nadzieję, iż doprowadzi szczęśliwie całość autorskiego zamysłu aż do ostatecznego efektu, na który składa się nie tylko konsekwentna integracja projektu architektury zewnętrznej i wewnętrznej, plastyki, ale też i porozumienie jej twórców z gospodarzem-inwestorem.

Widzę w wyobraźni tę architekturę i jej najbliższe otoczenie za kilka lat: skameralizowany i rozrzeźbiony wirydarz klasztoru – nie jak kiedyś zamknięty, ale otwarty na osiedle – zaprosi wiernych, ceglano-miedziana architektura świątyni oswoi sąsiednie bloki i stanie się koniecznym elementem nadwiślańskiego pejzażu, miękkie rytmy pionów ścian obrosną winobluszczem, a na jego tle jaskrawo odetną się kolorem malwy i irysy od ojców z Rakowieckiej, na trawnikach przed wejściem zapachnie maciejka. Tak będzie.

I mimo iż ojcowie nie prowadzą już znanego liceum, tutejsi parafianie wspominać będą jak kiedyś „swoich” ojców marianów.

Konrad Kucza-Kuczyński

**Kościół Najświętszej Marii Panny Matki Miłosierdzia
Warszawa-Stegny**

autorzy:

architektura: prof. Jan Bogusławski, Krzysztof Dyga, Jerzy
Bogusławski

konstrukcja: Tadeusz Jankowski

inwestor: o. Stanisław Zambrzycki

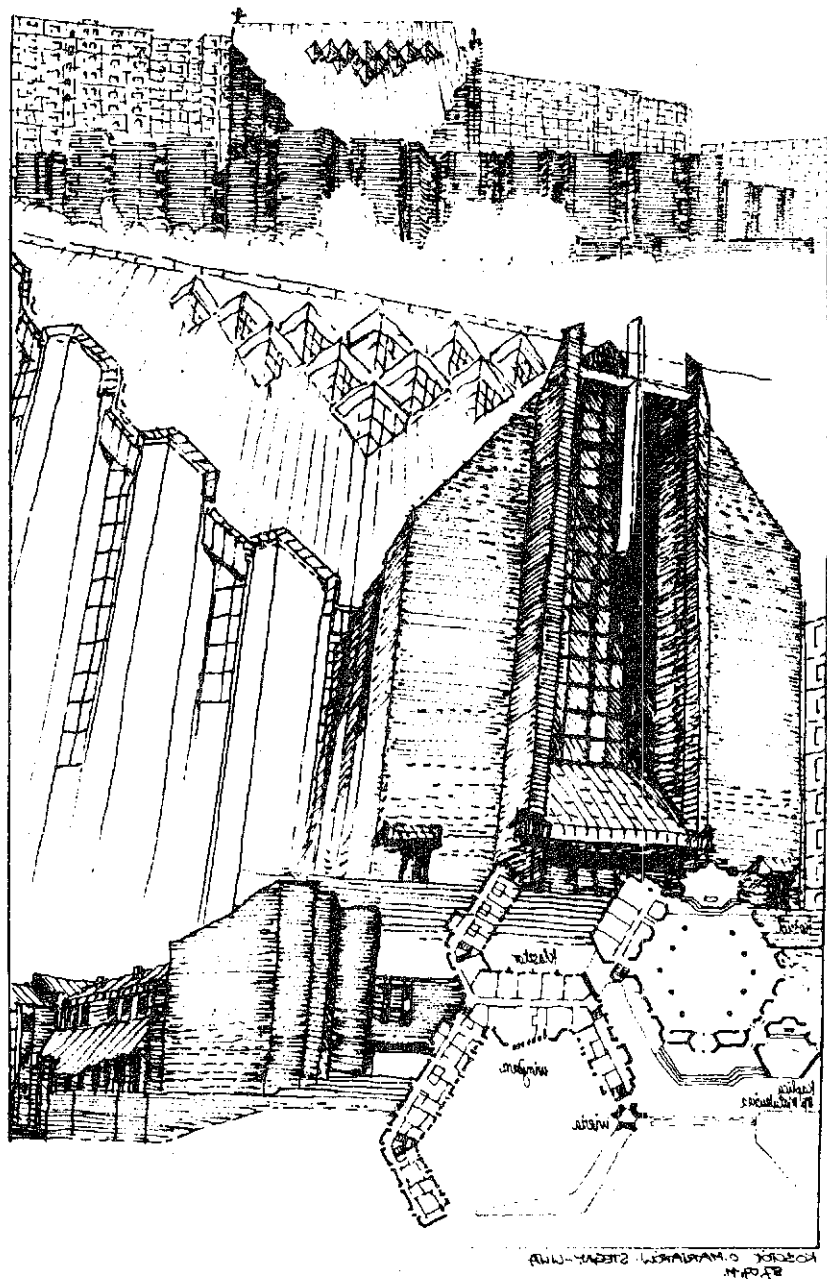
ogólne dane użytkowe:

kubatura (kościół i klasztor) ca 50000 m³

pow. kościoła górnego ca 1000 m²

pojemność kościoła górnego ca 3000 wiernych

pojemność kościoła dolnego ca 1000 wiernych



Odpust dla Makiawela

1.

Bronić polityki? Dziwaczny zamysł, moralnie wątpliwy. Polityka ma zasłużenie opinię równie fatalną jak żurnalistyka, a nie-szczęście przyczynia więcej. Tak utrzymują wszyscy, którzy nie są politykami profesjonalnymi (albowiem politykiem kawiarnianym lub piwiarnianym bądź kolejkowym, biurowym, w ostateczności domowym na skalę M-3, jest przecież każdy Polak). Polityka to brud, kłamstwo, cynizm, brutalność, manipulacja, jeden wielki kant. Porządny człowiek powinien trzymać się z dala od polityki – prawią ludzie niekoniecznie porządni.

Kazimierz Dziewanowski uparł się, by polityki bronić. Stara się objaśnić ją bez gniewu i uprzedzeń i choć oczywiście nie dla każdego stylu polityki jest wyrozumiały, to rehabilituje sens – nawet konieczność, nawet pożytek – politykowania. Wprawdzie *polityka jest najstraszniejszą dziedziną, w jakiej człowiek może działać* (pisze z niejaka przesadą, bo dałoby się wyszukać straszniejsze), to: *Człowiek mianowicie może nie mieszać swego życia z polityką, ale nie może zapobiec, by polityka nie wmieszała się do jego życia*. Ten fakt wątpliwości nie podlega. Ergo – zamiast postawy: moja chata z kraja, która niczemu dobremu nie służy, trzeba obrać postawę sumiennego lekarza, który wie, że medycyna jest bezradna wobec śmierci, lecz stara się jej moment odroczyć jak najdalej.

Obrony polityki podjął się Dziewanowski w książce „Złom żelazny, śmiech pokoleń” (wyd. Libella, Paryż 1987), złożonej z 24 esejów, drukowanych uprzednio – poza jednym – na łamach „Przeglądu Powszechnego”; co jest rzeczą pikantną, skoro ongiś mówiło się o ojcach jezuitach... no, zostawmy staroświeckie miły miłośnikom teorii spiskowych.

Dziewanowski jest eseistą wyborowym i wybrednym. Medytując nad dokonaniem oraz błędami sztuki polityki – przedkłada historię ponad czasy współczesne. Słuszny wybór, wszak dęby były kiedyś mocarniejsze, lata gorętsze, mężowie stanu stanowczo mężniejsi, a teraz ciągiem słota, wszystko spsiało, czemuż politycy mieliby być wyjątkiem?

„Historiozofia polityczna” jest najlepszym określeniem gatunku pisarskiego, któremu w dojrzałym wieku poświęcił się Dziewanowski, ongiś okołoziemski reporter; co jest chwalebne, bo sędziwy reporter staje się postacią komiczną jak podstarzały amant; po czterdziestce trzeba zmierzać ku literackiej metaforyce, jak Kapuściński, albo ku esejistycznej syntezie, jak Dziewanowski właśnie. Partnerami jego dyskursu są same tuzy: Machiavelli, Bismarck, Tocqueville, Richelieu, Franciszek Józef, Napoleon rzecz

jasna, jeszcze de Gaulle, jeszcze Orwell, cała plejada gwiazd polityki i myśli politycznej – plus KTT jako kontrapunkt. Jednych Dziewanowski broni, z innymi kłóci się zajadle, nie kryjąc osobistych sympatii (szczególnie do Machiavellego) oraz antypatii; z Cesarzem Francuzów ma na pieńku, i tu się z nim różni, z przyczyn porozumowych.

Nota bene jest jeszcze trzecia szansa przed dziennikarzami, którym obrzydło rutynowe dyletanctwo tego zawodu – zostać politykiem właśnie, robić karierę rządową. Na przykład: *W roku 1930 połowa ministrów Mussoliniego, połowa członków Wielkiej Rady Faszystowskiej, jedna szósta parlamentu składała się z dziennikarzy*. Efekty były takie, jakie były, co powinno stanowić przestrożę dla sfrustrowanych publicystów i felietonistów, zawojowanych manią męskiego sprawdzenia się w politycznym działaniu. Ale każdy myśli, że to on ma w plecaku buławę marszałkowską.

2.

Recenzent książki Dziewanowskiego stoi przed niebezpieczeństwem popadnięcia w zawiść albo w styl laurkowy, gdyż dzieło to kumuluje erudycję, przenikliwość i pisarską maestrię. Groźba urasta do kwadratu, gdy recenzent (co zachodzi w niniejszym przypadku) ma zaszczyt zaliczać się do przyjaciół Autora. Niech jednak milczy serce, skoro trzeba wejść w rolę czepliwego zoila! Ba, ale czego się uczyć, jeśli Kazik na ogół wyraża dokładnie to samo, co myśli recenzent:

że wszyscy (nas dwóch ewentualnie wyłączając...) cierpimy na niedowład wyobraźni;

że realizm jest wprawdzie pojęciem wspaniałym, ale: *Dopiero czas rozstrzyga, co było prawdziwym realizmem, a co tchórzostwem, głupotą lub oportunizmem*;

że dyktatura jest zła, totalitaryzm zły, a demokracja dobra prawie na wszystko;

że nie istnieją obiektywni historycy;

że w myśleniu analogiami kryje się zarodek fatalnych pomyłek; że ekstrapolacja tendencji obserwowanych DZIŚ prowadzi zazwyczaj do bzdurnych wniosków na jutro;

że prawidłowe myślenie polityczne *polega przede wszystkim na dostrzeganiu wielu rozmaitych możliwości*;

że *teorie galimatiasu* są lepszym rozpoznaniem stanu świata i mechanizmów polityki aniżeli *teoria spisków*;

że trzeba, wbrew eskapistom, uprawiać politykę, bo to mniej złe niż jej zaniechanie;

że należy jednak wystrzegać się politologii, która bezzasadnie pretenduje do naukowości, albowiem polityka (tu tworzymy wspólny front z Bismarckiem) nie jest nauką ścisłą, ale bardziej przypomina działalność artystyczną;

że historią nie rządzą żadne żelazne prawidła, których nikt i nie zmienić nie może.

Długo jeszcze można by pociągnąć katalog pryncypialnych zgodności, ale byłoby to sprzeczne z sensem recenzowania. Szukajmy zatem dziur w spójnej materii, sondujmy mielizny na pobożach głębokiego nurtu.

3.

Pierwsza wątpliwość rodzi się od razu przy pierwszym tekście: „Utopie, mity i życie codzienne”. Dziewanowski oznajmia, że: *Utopie przeżywają kryzys* – określając utopię jako wyobrażenie idealnego społeczeństwa, w którym nierozwiązywalne problemy społeczne zostaną rozwiązane. Wspiera się przy tym znieścacka autorytetem prof. Ryszki, który utożsamia utopijne ideały... z ideologicznym kamuflażem.

Jeden i drugi myli się.

Utopia nie musi być kompletnym projektem urządzenia społeczeństwa, w stylu staroświeckich konstrukcji Morusa, Campanelli, Fouriera (poniekąd i Marksa), które istotnie stanowią jeno kwintesencję marzeń swoich twórców. Utopia może być także ogólną wizją modelu własnej przyszłości, obranego przez społeczeństwo w demokratycznym procesie decyzyjnym – określeniem własnych POTRZEB – który to model (co z góry się rozumie) będzie w trakcie realizacji podlegać rozmaitym korekturom i przewartościowaniom, wynikającym z pojawiania się nowych możliwości i przeszkód. W tym znaczeniu utopia nie tylko nie jest czymś w rodzaju fatamorgany, ale stanowić powinna (i może) podstawę planowania rozwoju społecznego, od którego nie ma ucieczki w ŻADNYM ustroju. Co prawda cele, metody, techniki planowania w ZSRR są inne niż w Japonii, a we Francji odmienne niż w Chinach, lecz konieczność jakiejś formy planowania (która wcale nie wyklucza funkcjonowania mechanizmu „nicwidzialnej ręki” wolnorynkowej) pojmowana jest powszechnie. Nawet fanatyk futurologii i *superindustrialnego kapitalizmu*, Hermann Kahn, przewidywał w swych ekstrapolacjach (skądinąd groteskowych) *wszechobejmujące planowanie gospodarcze*. Ignacy Sachs uważa, że podstawą planowania powinna być ogólna teoria KONSUMPCJI, zdolna rozumować w kategoriach wartości użytkowej, a nie – jak dotąd – w kategoriach wskaźników ekonomicznych, takich jak np. stopa wzrostu. Ekonomisci są coraz bardziej zgodni, że bez wizji celu (czyli utopii) ludzkość nie ma szans przezwyciężenia zagrożeń, które się przed nią piętrzą coraz wyżej. Potrzebę myślenia utopijnego z całą mocą głosili – bliscy, sądzę, Dziewanowskiemu – Edward Lipiński (*Bez utopii nie można żyć... Historia zawsze coś niecoś z nich zrealizuje*), Juliusz Mieroszewski (*Wszelki postęp w fazie embrionalnej jest utopią*) i Gabriel Garcia Marquez

(...jeszcze nie jest za późno, by zaangażować się w tworzenie przeciwstawnej utopii. Nowej i pełnej rozmachu utopii życia...).

Przywołany z rewerencjami pogląd prof. Ryszki o *ideologicznym kamuflażu partykularnych interesów* – jakim są rzekomo ideały wolności, równości i braterstwa – stanowi ideologiczny kamuflaż partykularnych interesów, którym służy, może bezwiednie, prof. Ryszka. Wymienione ideały stanowią temat odwiecznych refleksji, których nie da się zbyć jednym zawijaszem pióra, a przede wszystkim są one **KONKRETNA** propozycją ustrojową, zsyntetyzowaną w skrótowym hasle. Ideał wolności można bez trudu rozpisać na szereg **PRAW**, które powinny przysługiwać obywatelowi, a w krajach demokratycznych przysługują rzeczywiście. Ideał równości także wyznacza realny, choć niekoniecznie optymalny wariant urządzenia życia społecznego. Nawet mniej jednoznaczny ideał braterstwa wyraża istotę różnych koncepcji społecznych (np. chrześcijańskiej, solidarystycznej, „alternatywnych”), które wcale nie są fikcyjne. Każde z tych haseł można oczywiście odrzucić, ale wtedy również zajmuje się dokładnie określoną pozycję polityczną: totalitarną, elitarną bądź polegającą na apoteozie walki klasowej. Fakt, że owe ideały **MOGĄ** być manipulacyjnie stosowane jako kamuflaż czyichś interesów, jest oczywiście przykry, ale nie stanowi dowodu, że **MUSZĄ** taką funkcję spełniać.

(Na marginesie: pusty jest natomiast ideał sprawiedliwości społecznej, gdyż o tym co sprawiedliwe każdy sądzi wedle własnych oczekiwań i nie można się zasadnie spodziewać, by kiedykolwiek udało się osiągnąć consensus satysfakcjonujący wszystkich; i całe szczęście, bo pewien poziom stałych napięć jest niezbędny dla zdrowia społeczeństwa.)

4.

Na kwietniku myśli, który uprawia Dziewanowski, jedną z najtrafniejszych jest *passus* następujący: *Zwolennicy dyktatur głoszą zawsze, że demokracja nie jest w ich krajach możliwa, ponieważ stopień kultury politycznej jest w nich zbyt niski. Jest to argument nielogiczny i fałszywy, bo rządy dyktatorskie, będąc zaprzeczeniem kultury politycznej, bynajmniej nie stawiają sobie za cel pogłębianie jej. Tymczasem społeczeństwa, które wydobyły się spod długotrwałej opresji – np. Niemcy, Włochy, Japonia, Austria, także Hiszpania, Portugalia i Grecja – potrafiły (kontynuując Dziewanowski) niezwykle szybko opanować reguły gry demokratycznej zapobiegające nawrotowi dyktatury. Kultura polityczna ujawniła się, gdy tylko zyskała szansę ujawnienia.*

Fenomen ów Dziewanowski objaśnia nader osobliwie. Uważa, że niezwykle skuteczną szkołą kultury politycznej – co prawda szkołą à rebours – jest stan, w którym rządząca grupa nie uznaje i nie toleruje istnienia niezgodnych z jej interesami i aspiracjami

interesów i aspiracji innych grup społecznych, a wynikające z tego konflikty przełamuje siłą. Ludzie poddani dyktatorom cierpią i dlatego nabierają apetytu na demokrację, bo: Ten kto się sparzył – dmucha na zimne. Czując, iż taka interpretacja jest nazbyt przewrotna, na zakończenie szkicu „Wyjście z dżungli” Dziewanowski wyraża się powściągliwiej: Dyktatura jako szkoła demokracji: dziwne to i paradoksalne, a przecież zaczyna wyglądać na prawdziwe.

Nie sądzę. Długotrwała opresja wytwarza w społeczeństwie raczej zobojętnienie, apatię i przeciwdziała tworzeniu opinii publicznej – wyłączając może intelektualne elity; spowolnia przeto postępy demokracji. One przebiegają chyba inaczej i prościej niż domniemywa Dziewanowski. Otóż w toku „dziania się” historii następuje zanik rozmaitych form zniewolenia, które w poprzednich wiekach były normą stosunków międzyludzkich. Wiele czynników składa się na tę tendencję: rozwój gospodarczy, któremu przeszkadza brak wolności, idocwórcza praca filozofów i polityków, upowszechnienie wartości kultury, dzieła artystów. Siły wsteczne próbują rzecz jasna utrwalić odchodzące w niebyt praktyki samodzierżawia, co **OPÓŹNIA** (a nie akceleruje, wbrew pogładowi Dziewanowskiego) nurt przemian demokratycznych, lecz nie mogą go powstrzymać. Łatwiejszą drogę mają zatem kraje, które dyktatur pozbyły się dawno (Anglia, Francja), nie znały ich nigdy (Stany Zjednoczone) bądź odziedziczyły instytucje demokratyczne po metropoliach kolonialnych. Przykład Indii jest szczególnie wyrazisty. Kraj do niedawna funkcjonujący jako symbol wszystkich plag, kraj w którym kultura polityczna nadal stoi nisko – dzięki demokracji (aczkolwiek) porzuca status światowego pariasa, uczy się „oswajania” dramatycznych konfliktów etnicznych i odrzuca pokusy totalitaryzmu, mimo że go nie doświadczył w ostrej postaci.

Najlepszą szkołą demokracji jest system demokratyczny. W szkole złej edukacja trwa dłużej, co nie znaczy, że jest beznadziejna.

5.

Pro domo sua. Spośród dwóch wybitnych Polaków – których myśli, czyny i postacie do dziś funkcjonują w świadomości narodu i w dużej mierze określają współczesne opcje polityczne – Dziewanowski surowiej osądza Dmowskiego, ale i Piłsudskiego nie szczędzi. Zgoda. Sądzę jednak, że krytycyzm wobec Marszałka jest o ton za wysoki. Zbyt kategorycznie brzmi zdanie: *Legiony były fiaskiem, a co gorsza – pomyłką*. Jeśli się nawet z tą opinią zgodzić, rezygnując z kontrargumentów, to wypada przypomnieć, że z pomyłki owej Piłsudski umiał się szybko wycofać – wbrew piłsudczykom (i Sikorskiemu). Co zaś do przewrotu majowego, to istotnie

był on czynem fatalnym w skutkach, lecz retoryczne pytanie: W imię czego to zrobić? – wymagałoby nieco szerszej refleksji. Może właśnie w imię *timingu* – umiejętności działania w odpowiednim momencie, której Dziewanowski jest przecież gorącym zwolennikiem? Może chodziło nie tylko o sanację moralną i o przezwyciężenie sejmokracji (które to hasła Dziewanowski słusznie krytykuje), ale o to też – o to przede wszystkim – że dzięki zamachowi stanu udało się zatrzymać ofensywę INNEJ formacji prawicowej, która pod hasłami totalitarnymi z impetem parła ku władzy? Może autorytarna dyktatura Piłsudskiego oszczędziła Polsce dyktatury faszystowskiej, w którą popadło w tymże czasie niejedno państwo europejskie? Za rozwiązaniem totalitarnym optowały potężniejsze siły społeczne, Mussolini był w modzie. Dziewanowski wielokrotnie zachwala wyobraźnię polityczną, ale jakby przeoczył, że właśnie Piłsudski był wyobraźnią hojnie obdarty i nieraz się nią kierował w decyzjach.

Może i w dniu wymarszu z Sulejówka.

6.

Jeszcze kilka uwag polemicznych.

Uniesiony szlachetną intencją ośmieszania awantur wojskowych podejmowanych przez reżimy dyktatorskie (Grecja „czarnych pułkowników“, Argentyna, Uganda), Dziewanowski stwierdza *tout court* dla przeciwwstawienia: *Demokracjom to się nie zdarza*. No, nie przesadzajmy. Ktoś wysłał wojska pod Dien Bien Phu, ktoś uderzył na Suez, organizował desant na Playa Giron; ktoś obalił księcia Sihanouka, torując drogę najpierw „Wolnym“, a w konsekwencji Czerwonym Khmerom; w Chile ktoś uśmiercił prezydenta Allende. Przecież i do tych działań można zastosować słowa Autora: *Powyższe przykłady są tak drastyczne, że trudno byłoby w nie uwierzyć, gdyby nie rozegrały się na naszych oczach*. Do siły uciekają się także demokracje; bywa, że bez oczywistej konieczności. Co prawda demokratyczne mechanizmy częściej „siłowym“ akcjom zapobiegają, a ich inicjatorzy podlegają kontroli, bo ponoszą odpowiedzialność przed społeczeństwem. Jeszcze inna sprawa, że działania militarne, niezbędne niekiedy do obrony, bywają w demokracjach paraliżowane przez obowiązujące tam mechanizmy decyzyjne. Dylematów tych nie da się rozstrzygnąć jednym kategorycznym zdaniem.

Awantura falklandzka, którą Dziewanowski przypisuje *próżności państwa* (słuszniej byłoby użyć słów: „próżności dwóch państw“), była w istocie błędem kalkulacji argentyńskich generałów: sądili, że łatwe zwycięstwo przysporzy im popularności – na co się zresztą początkowo zanosilo. Z brytyjskiego punktu widzenia riposta była konieczna – w obronie ZASAD międzynarodowych, ale chyba też do pobudzenia determinacji narodu od dawna pogrą-

żonego w poczuciu bezsily. Obie strony miały więc REALNY cel polityczny. Tylko jedna mogła go osiągnąć. Owoce zebrała pani Thatcher. Trzeba moralnie potępiać wojny, trzeba zmierzać do ich całkowitej eliminacji, ale nie ma podstaw do kwestionowania ich tragicznej celowości. Wojny „bezsensowne“ należały w dziejach do zupełnych wyjątków. Nawet konflikt Iranu z Irakiem ma swoistą racjonalność – jeśli mówimy o polityce, a nie o godnych pietyzmu pryncypiach pokojowych.

Nie podzielałam też intuicji Dziewanowskiego, że kończy się epoka *wielkich uproszczeń* i totalitaryzm ustępuje, nawet w krajach biednych. Owszem, są takie przykłady – ale odwrotne też. Obawiam się, że najgorsze jeszcze przed nami: w Ameryce Łacińskiej po kompromitacji dyktatur wojskowych teraz kompromituje się demokracja, niezdolna rozwiązać nabrzmiałych konfliktów. Może nadejść nowa fala totalitaryzmów skrajnych, w różnych barwach. Jest to nawet wielce prawdopodobne. Oby rację miał Dziewanowski, nie ja.

7.

Książka Dziewanowskiego, jestem przekonany, będzie wznawiana, przejdzie do kanonu lektur niezbędnych do uprawiania „historiozofii politycznej“ i rozumienia bieżących zdarzeń na światowej scenie; gatunkowo najbliższe jej jest dzieło pisarskie Juliusza Mieroszewskiego i podobna jest waga refleksji obu autorów. Za szczególnie cenne uważam eseje: „O realizmie – realistycznie“, „Nasza „przejęciowość“, „Uwaga: moralnie podejrzan“ i „Nasłuchując kroków Boga“, ale każdy czytelnik będzie miał własne preferencje. Nie ma natomiast w książce tekstu, o którym można by powiedzieć: słabszy.

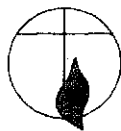
Intryguje mnie atoli niewyraźne i trudne do wystowienia pytanie, czy aby SUMA rozważań Dziewanowskiego nie grozi (absolutnie wbrew jego intencjom i przekonaniom) popadnięciem czytelnika w złudne przeświadczenie, że do zrozumienia spraw świata, tego „galimatiasu“, jaki każdy z nas odczuwa mniej-bardziej dotkliwie, wystarczy rozważanie wielkich sukcesów i wielkich omyłek ludzi, których można nazwać demiurgami historii – oraz rzeczowe wyłożenie katalogu niezbitych (?) reguł polityki, takich np., jak umiejętność *timingu* i czytania *znaków czasu*, kierowanie się *realistycznym realizmem*, unikanie ekstrapolacji i myślenia analogiami.

Odnoszę wrażenie, iż Dziewanowski jest nieco jednostronnie opanowany pasją reinterpretacji historii politycznej ad usum polityki. To ważne, to niesłychanie cenne – ale czy nie grozi deifikacją wybitnych jednostek, jakby w ripoście na uproszczenia materializmu historycznego, który wśród różnych słabości ma i tę, że rolę owych jednostek pomniejsza? O wiele węższy jest u Dziewanow-

skiego nurtu refleksji nad innymi czynnikami, które TEŻ składają się na tok historii, np. nad zjawiskami ekonomicznymi, które co prawda nie stanowią alfy i omegi rozwoju społecznego, lecz z pewnością są jego ważnym, szczególnie ważnym elementem. Jeszcze słabiej rysuje się panorama ruchów masowych, często pobudzanych UTOPIĄ właśnie bądź takimi fenomenami psychospołecznymi, jak różne odmiany mesjanizmu (dotyczy to zwłaszcza mocarstw), albo ksenofobią, odrzuceniem obcości kulturowej albo mistyką religijną lub parareligijną, albo wszystkimi tymi (i innymi) czynnikami łącznie. Wątek świadomości „wnoszonej” do życia politycznego przez rozmaite filozofie, uproszczone do ideologicznych frazeologii, także jest na dalszym planie zainteresowań Autora. Nie zgłaszam o to pretensji, każdy skupia się na tym, co go najbardziej frapuje, a czyny ludzi z krwi i kości są na pewno ciekawsze niż anonimowe „siły”; zresztą esej to nie synteza, ale raczej zwiad na słabo rozpoznane pola. Nonsensem byłoby oczekiwać, że znajdziemy u Dziewanowskiego odpowiedź na wszystkie nurtujące nas zagadki polityki. Aliści, gdy tak wyraźnie wyeksponowane są sprężyny nakręcane przez przywódców i ich sztabowców, to ktoś mniej zorientowany w INNYCH mechanizmach, które także kształtują tok zdarzeń i procesów historycznych, może stać się podatny na urok teorii spiskowych objaśniających świat najprościej i najbliżej. Dopiero bowiem sfera zjawisk NIE OPISANYCH przez Dziewanowskiego (bądź słabo zamarkowanych), zawiera w sobie skuteczne antidotum myślowe na potoczną wizję świata, w której o wszystkim decydują mafijne intrygi, spiski, mroczne intencje i subiektywne nastroje wielkich figur polityki.

Tyle gwoli przestrodze czytelników, a nie jako zarzut wobec Dziewanowskiego, którego tekst „sam w sobie” nie daje pożywek takiej interpretacji.

Wojciech Giełżyński



książki

Szaleństwo Orfeusza

Michał Wójcikiewicz

Spóźniony inicjał

Czytelnik, Warszawa 1986, ss. 112

Wędrowka przez piekła czasu, przez czas żywy i martwy, czas ludzkiej intymności i pamięci, czas mitów, historii, czas *wielkiego wygnania* to główny motyw tematyczny poezji Michała Wójcikiewicza. Mit Orfeusza obecny jest tutaj wprost – w tytule jednego z utworów, a także pośrednio – w aluzjach, symbolach, inwokacjach, w anegdotycznej i formalnej stylizacji wierszy na pieśni i inskrypcje nie tylko zręszłą archaiczne. Orfeusz Wójcikiewicza to poeta-śpiewak wędrujący samotnie przez epoki i kultury – od starożytności, nawet tej legendarnej, po współczesność: *Kim był podobny do mnie wędrowiec którego spotkałem / wczoraj o szarym zmierzchu krzychał wieloma głosami / odkrywając gwałtownie to co zdążyłem pomyśleć*. Ten Orfeusz jest szalony nie tylko z powodu swego mitologicznego nieszczęścia. Szaleństwo Orfeusza w „Spóźnionym inicjale” polega przede wszystkim na gorzkiej wiedzy poety współczesnego znajdującego daremność słowa, który nie chce jednak uwierzyć w tę prawdę. Wyrazem niewiary poety jest eksplozja słów, nadużywanie możliwości

języka aż do granic absurdu. Wszystko po to tylko, aby potwierdzić nieuniknioną przegraną: *i nigdy liczba która wyzwoliłaby nasze języki z uwiękłań / nie padnie na purpurowym stole bytu przed drwiącą tam twarzą / w owym najdoskonalszym zdaniu które równe byłoby kryształowi świata*. Możliwość śledzenia zmagających się z zalewającym go żywiołem mowy staje się źródłem nieoczekiwanych emocji.

Wójcikiewicz z uporem szaleńca piętrzy przed czytelnikiem trudności, miesza się tu bowiem stylistyki, przenikają szyfry i aluzje, zachwył samym narzędziem tworzenia mnoży niekontrolowane, zachłystujące się smakiem słowa obrazy, z których wyłania się i poraża przenikniętą ostrością wyrazu wewnętrzny dramat poety. Dramat, który nie zawsze, wbrew usiłowaniom autora, daje się całkowicie zaszyfrować. Przedstawia nam zatem Wójcikiewicz wizję pełną sprzeczności: obok rozległych, stylistycznie zawikłanych poematów zamieszcza kilkuwersowe wiersze-obrazki czarujące staroświeckim wdziękiem i ujawniające niekiedy wprost, częściej przez zaszyfrowaną aluzję historyczną, mitologiczną czy wręcz baśniową, postawę poety wobec podstawowych problemów istnienia. Wiersze-obrazki, do których należą „Illustratio”, „Imię”, „Keiros”, „Zrenice”, „Dar Aladyna”, „Drzwi”, „Upadek Damy” a także kilka „Graffiti”, stanowią z pewnością najjaśniejszą część przesłania poety przez filozoficzną jednoznaczność, przez liryczną czystość i przejrzystość konstrukcji.

Najwięcej czytelnicznych kłopotów dostarczają rozbudowane utwory z wyraźną intencją epicką, takie jak „Petrarca” czy „Pasterz bezimienny”,

a także poematy – „Kronika miłości” i „Dzień Zaduszny” – rozkwitające powoli przez wiele stron książki. Komplikacja formy niesie ze sobą komplikację treści. Praktyki surrealistów i symbolistów zdają się być niewinne wobec tej pasji Wójcikiewicza: maksymalnego kamuflażu, nieustannego zaciemniania znaczeń, tworzenia struktur na granicy onirycznych miraży i fantasmagorii szaleńca. Meandry stylistyczne, brak konsekwencji składniowych, nadmierna aluzyjność, nadużywanie „wielkich” pojęć (wieczność, śmierć, przeznaczenie, los, nieskończoność, nicność, czas) – wszystko to powoduje, że utwory te odbiera się jako zbiór obrazów korespondujących ze sobą jedynie nastrojem, emocjonalną tonacją, bardziej magią liryczną niż czytelnym sensem, co nie pozwala dotrzeć bezpośrednio do przeżyć wyrażającego je podmiotu.

A jednak jest w tym szaleństwie metoda. Sam autor daje czytelnikowi klucz do nadużyć werbalnych, ujawnia wewnętrzne imperatywy własnej poetyki. W „Kronice miłości” – najbardziej formalnie udratyzowanym utworze – wyznaje: *Chciałem opowiedzieć wprost ale wszystko prze-
minęło i opowieść / jeśli znajdziesz ją
wybacz ty Bezpośredni NIC NIE ULEGA
POWTÓRZENIU. A także: mówię dłużej
niż tego wymaga poezja / wyczerpałem
prawa rozumu nie odsunąwszy zasłon.* Najbardziej racjonalne, najbardziej bezpośrednio koncepcje poetyckie mogłaby zaćmić ta precyzja wyrazu, ta świadomość twórczych niespełnień wyrażona przez szalejącego wśród słów poety, który poprzez programowe przekraczanie praw rozumu i języka, daremnie, powtórzymy – z pełnym poczuciem tej daremności,

szuka sposobu wyrażenia NIEMOŻLIWEGO. A więc przeszłości i przyszłości świata, a więc niepoznawalnych praw rządzących ludzkim losem.

Konsekwencja poety w dążeniu do przezwyciężenia środkami poezji owej niemożliwości, oglądana z tej perspektywy, przekonuje. Wójcikiewicz mnoży swoje „nieodpowiedzialne” wizje wbrew ograniczeniom języka, ale także wbrew gorzkim rozpoznaniom egzystencjalnym: *bogów i śmiertelnych jedna niepamięć spotka w sercach pokoleń / i świadkowie-słowa zmieniając głos na starość mogą mówić inaczej / lub cichną pośmiertnie bez odpowiedzi.* Poczucie zmienności, niestałości, względności pojęć, doznań i uczuć towarzyszy zatem obrazom tej poezji. Heroizm poety polega na wielokrotnym ponawianiu prób wyznania prawdy swego życia za pomocą zawodowych słów-świadków. I poprzez świadomość bezsilności słowa wobec żywiołu życia, poprzez poczucie własnej niemocy, poprzez bariery rozpacz mówi nam o sobie, pozwala, mimo wszystko, rozszyfrowywać swoje stany psychiczne. Dowiadujemy się więc, że tęskni za północą (chodzi o kierunek nie o porę), którą go fascynuje, w związku z którą tworzy osobny zaszyfrowany mit; domyślamy się istnienia kobiety, którą utracił; uczestniczymy w misteriach jego bólu. Orfeusz wszechświatów przeistacza się niepostrzeżenie w żywą czującą osobę, doraźnie i zmysłowo doświadczającą własnego losu. I nagle to, co zdawało się ułomnością tej poezji, staje się jej walorem. Wzrusza nas mądrość ludzkiego doświadczenia wyrażona z taką niekiedy prostotą, że bez wysiłku można ją wytuskać z labiryntu stylistycznych uwikłań.

Jeśli w „Pasterzu bezimiennym” poeta przemawia jeszcze cudzymi, wypożyczonymi ustami bohatera lirycznego: *i byłem sam w jaskini podziemnej krótcząc naprzeciw / ciemnej rzeki bez końca / bo nie wiedziałem dokąd dąży, / gdzieś dołem szli tak mali ci których spotkałem / ich głuchy śpiew podziwiano kiedyś i zapominano po wiekach*, w poemacie „Dzień Zadzuszny” forma wypowiedzi zmienia się w bezpośredni monolog liryczny z natężającą się gradacją cierpienia, które osiąga apogeum pod koniec poematu w takim wyznaniu: *Oto ja – ból, oto ja – śmierć jestem nimi dwoma, dwójgiem / dwugłowy winowajca*. W ten sposób wszystkie czasy i wymiary cierpienia kumulują się i potęgują w przeżyciach podmiotu lirycznego. Wójcikiewicz-Orfeusz tworząc swój prywatny mit kończy historię własnego życia w „Godzinie radości godzinie smutku”: *choć zawsze wiedziałem patrząc wokół jasno / cokolwiek uczynię będzie odczynione / że co kochałem zabierze nienawiść /.../ więc witając szalony zarazem żegnałem / wszystko wokół obce inaczej myślało / wchodząc wychodziłem na wielkie wygnanie*.

Orfeusz-katastrofista, a więc moralista, staje się Orfeuszem triumfującym, a więc wolnym od wszelkich zobowiązań egzystencjalnych, w pewnym sensie już poza granicami swoich penetracji. Światło metafizyki przenikające „Spóźniony inicjał” rozświetla mroki tej poezji na przekór wpisanej w nią filozofii rozpacz i antynomicznej, rozbitej na bieguny dobra i zła wizji świata. Światło to bije z dematerializującej się samej w sobie materii słowa, z podskórnej ekspresji duchowości tworzącego ją poety. Michał

Wójcikiewicz swoim spóźnionym debiutem (w 1974 r., wydał zaledwie arkusz poetycki będący suplementem do „Nowego Wyrazu”) zaskoczył z pewnością krytyków nawykłych do publicystycznej rzeczowości dominującej w naszej młodej poezji. „Spóźniony inicjał” nie ma w sobie nic z popularnej wciąż postawy „tu-i-terazowania” ani z płaczącej retoryki neoromantycznej. To poezja samoswoja, poważna, odbijająca skomplikowaną osobowość nie tyle porażoną duchem czasu, ile zgłębiającą tajemnice własnej duszy. Sięgnijmy raz jeszcze do „Kroniki miłości”: *trudno zmierzyć się z prawdą wspaniałych żywiołów / opisać wiarę przechodzących kres i zmienność fałszywych wydarzeń / tak nikłe doświadczają nas mgnienie obfitości i niedostatku / w zamykających światło o świecie wrotach podstępny chaos / wzięci formę /.../ / ale na szczytach świata / w skrzydłach / blask święty jakiegoś przedziemskiego źródła Piękno nieprzebrane*. W tym przesłaniu-ołśnieniu dokonuje się samoistnie akt odczynienia szaleństwa Orfeusza, a jego samotna wędrówka uwieczniona zostaje mądrością najgłębszego poznania.

Adriana Szymańska

Codzienne trwanie, cywilizacja materialna i kapitalizm

Fernand Braudel

Afterthoughts on Material Civilization and Capitalism

The Johns Hopkins University Press,
Baltimore and London 1985, ss. 120

Autorowi tej niewielkiej książeczki, zmarłemu niedawno Fernandowi Braudelowi (1902–1985), jednemu z najwybitniejszych historyków XX w. należy się na tych łamach skromny choćby wyraz podziwu, tym bardziej że jego postać i dzieło pozostają u nas nadal znane tylko wąskiemu gronu specjalistów. Braudel ukończył uniwersytet paryski, po czym wykładał w Algierze, a następnie w Brazylii. W czasie II wojny światowej przebywał w obozie jenieckim koło Lubeki, gdzie zrodził się pomysł napisania na nowo dziejów świata śródziemnomorskiego. Wydana w 1949 r. praca „La Méditerranée et le monde méditerranéen à l'époque de Philippe II” stała się sensacją naukową. W twórczości swej nawiązywał do szkoły „Annales” i Lucien Febvre’a; w istocie jednak stworzył własną metodę, w której proces historyczny nabierał wielowymiarowego wyrazu. Uwzględniał czynniki geograficzne, demograficzne, klimatyczne, psychologiczne, wpływ zmieniających się instytucji ludzkich, a także systemów i podsystemów społecznych. Od 1949 r. należał do Collège de France, w latach 1956–1972 przewodniczył VI sekcji École de Hautes Études, a w 1983 r.

został wybrany do Akademii Francuskiej. Po wydaniu ostatniego, trzytomowego dzieła „Civilisation matérielle et capitalisme 1400–1800” odezwały się głosy, że Braudel winien otrzymać literacką nagrodę Nobla.

W omawianej książeczce, której pierwsze wydanie sięga 1977 r., Braudel zawarł garść najogólniejszych przemyśleń nad tym, co nazwał cywilizacją materialną i kapitalizmem. Jednocześnie jednak pozostawił w niej interesujące autorefleksje nad własnym pisarstwem i metodą badań.

Punktem wyjścia rozważań nad istotą procesów rozwoju ekonomicznego w historii jest tu obserwacja trwania życia gospodarczego na poziomie codziennej egzystencji, wspólnej dla wszystkich cywilizacji ludzkich krzątania wokół zaspokojenia podstawowych potrzeb. Na tym poziomie, pisze Braudel, ludzie byli zamknięci przez tysiąclecia. Gnębił ich niedostatek dóbr, wysoka śmiertelność dzieci i niemowląt czy stale powtarzające się epidemie, związane z niskim stanem higieny. Ten poziom codzienności był jak magnes przyciągający ku ziemi i podstawowym czynnościom związanym z czynieniem jej sobie poddaną przez człowieka. Jednostki czy grupy wybijające się ponad ten horyzont codzienności gospodarczej nie mogły go, zdaniem Braudela, zmienić w żaden zasadniczy sposób aż do XV w.

Jest to oczywiście wizja modelowa, choć warto w tym miejscu podkreślić, że niewątpliwym przewrotem, nawet w obrębie owej podstawowej tkanki ekonomicznej, była „rewolucja neolityczna” polegająca na przekształceniu się myślistwa w hodowlę, a zbieractwa – w uprawę roli, czy też późniejsze

wyodrębnienie się rzemiosła i handlu jako samodzielnych działów gospodarowania. Powstanie podziału pracy i wymiany było dla owej codzienności ekonomicznej bardzo poważnym wstrząsem.

Braudel przesuwając przełom w „gospodarkę rynkową” na XV w., gdy stała się ona dźwignią aktywności wychodzącej już poza zamknięty krąg „życia codziennego”. Oto ta nowa sytuacja: gdy chłop zachodnioeuropejski sprzedawał na targu kurczaka lub jajka, by zapłacić podatek, mógł jedynie rozplaszczyc swój nos na szybkiej wystawie sklepowej (s. 19), jednakże kiedy sprzedawał tyle, by móc zakupić w mieście odzież, czy narzędzia, wchodził w orbitę rynku. Dopiero gwałtowny rozwój rynku uczynił z gospodarki zachodnioeuropejskiej to, czym się wkrótce stała – stale rozwijającą się strukturę, która dzięki mechanizmom efektywnościowym podbiła świat.

Następnie autor przedstawia różnicę między „gospodarką rynkową”, a więc jakby drugim etapem procesu rozwojowego, a „kapitalizmem”, czyli jego trzecim, najwyższym stadium. *Ze swej natury gospodarka rynkowa sprawdza się do tworzenia więzi między produkcją i konsumpcją; do XIX wieku była to mniej lub bardziej skomplikowana warstwa – czasem bardzo cienka – pomiędzy oceanem życia codziennego poniżej i mechanizmem kapitalistycznym powyżej* (s. 41). Między XV i XVIII w. warstwa ta stale rosła, aż do przełomu, jaki stanowiła rewolucja przemysłowa, najpierw w Anglii, potem i w innych krajach. Dopiero na początku XX w. zjawisko to nazwano powstawaniem kapitalizmu. Miano to Braudel stosuje i dla całego okresu po

rewolucji przemysłowej wskazując, że istotą nowego etapu był rozwój kapitału, a więc bogactwa zaprzęgniętego do produkcji. Zgadza się więc w zasadzie z Karolem Marksem, który poszedł nawet dalej i twierdził, że kapitał jako fenomen ekonomiczny powstał dopiero w XVIII w. Braudel sięga nieco wstecz pokazując, że proces powstawania kapitału rozpoczął się wówczas, gdy między producentem i konsumentem pojawił się pośrednik, choć prawdziwy przełom nastąpił wtedy, gdy pośrednictwo to stało się dominującą cechą systemu gospodarczego Europy Zachodniej. Gromadzeniu bogactw i wydłużaniu dróg handlowych towarzyszyło odchodzenie od specjalizacji kupieckich, przerzucanie się przedsiębiorców do branż bardziej zyskownych i coraz częstsze manipulowanie samym bezpostaciowym kapitałem na giełdach.

Chociaż pochod kapitalizmu torowały jednostki, takie jak Jakob Fugger, Jacques Coeur czy John Law, sukces zależał od tego, jak społeczeństwo i jego struktury zaadaptują nowy sposób myślenia. Pierwszym pozytywnym przykładem były republiki włoskie, Holandia, a w końcu Anglia, Hiszpania i Portugalia, które miały wszelkie szanse, by w tym wyszycu utrzymać uprzywilejowaną pozycję, stanęły w miejscu, co niektórzy tłumaczą dominacją Kościoła katolickiego w tych krajach. Braudel neguje to twierdzenie wskazując przykład katolickich przeciw republik włoskich, które w swoim czasie wiodły prym w biegu po kapitał. *Przyszłość kapitalizmu – pisze – została określona przez jego zetknięcie ze strukturami społecznymi* (s. 67). Tam, gdzie „nowej klasie” udało się skutecznie „prze-

gryźć" przez dominujące warstwy feudalne, a nawet je w końcu przekształcić na swój sposób, akumulacja kapitału była najszybsza, tam zaś, gdzie mobilność społeczna była mniejsza, a feudalowie zbyt mocni i nieugięci, utrwały się dawne stosunki. Przykładem tego może być Europa na wschód od Łaby. By wyjaśnić regionalne różnice w tempie rozwoju kapitalizmu Braudel sięga do analizy form dominacji feudalnej. Feudalizm zachodnioeuropejski stał się stosunkowo wcześniej systemem zdecentralizowanym, w którym dziedzice lenn byli w praktyce ich właścicielami pełnymi. W systemach azjatyckich beneficja były w ostatecznej instancji własnością władcy, który często zmieniał układ zastany obdarowując nadaniami ludzi nowych (s. 72-73). Utrwalanie kapitalizmu wymagało więc *stabilizacji porządku społecznego oraz słabości, neutralności lub tolerancji ze strony władzy państwowej dla poczynań nowej klasy* (s. 74). Model ten nie bardzo pasuje do Polski szlacheckiej, gdzie te warunki rozwoju kapitalizmu akurat istniały, lecz zabrakło innych.

W końcu Braudel ukazuje różnicę między tym, co nazywa „gospodarką świata” a „światem gospodarczym”. Istotą tego ostatniego jest, według niego, zawarcie się w pewnym kształcie terytorialnym i swoista samowystarczalność. Takim „światem gospodarczym” było Cesarstwo Rzymskie, a obok niego praktycznie niezależnie świat chiński, później zaś na przykład Rosja sprzed Piotra Wielkiego, Indie przedkolonialne, czy wreszcie burzliwie rozwijający się świat zachodnioeuropejski. „Świat gospodarczy” miał zawsze swoje centrum: w ostatnim z podanych przykładów była to

najpierw Wenecja i Genua, potem Amsterdam, Londyn, a w czasach najnowszych – Nowy Jork. System najbardziej dynamiczny – zachodnioeuropejski – zyskał od końca XVIII w. rangę pioniera „gospodarki światowej”, która do dziś, mimo takich czy innych enklaw autarkii (najważniejsza chyba – świat „socjalizmu realnego” – W.R.), rozwija się ciągle przed naszymi oczami jako twór o częściach coraz bardziej współzależnych, Braudel potwierdza też o tym, iż kapitalizm wyrósł z nierówności. Tylko ona mogła umożliwić pierwotną akumulację kapitału. Lecz jednocześnie nie można zapominać o tym, że przetrwanie kapitalizmu, mimo licznych kryzysów, było możliwe dzięki wewnętrznemu mechanizmowi znajdowania rozwiązań najbardziej efektywnych oraz stopniowego podnoszenia poziomu życia, a więc rozszerzania rynku, społeczeństw żyjących na poziomie codzienności.

Wojciech Roszkowski

Sztuka wychowania

Stanisław Kuczkowski SJ

Strategie wychowawcze

WAM, Kraków 1986, ss. 276

Nie ma wątpliwości co do tego, że wychowanie, a raczej wychowywanie jako długofalowy proces dynamiczny, jest jednym z najtrudniejszych problemów, z jakimi się stykamy, jako że

chodzi w nim o przedsięwzięcie, które – gdy powiązane z odpowiednią wiedzą, mądrością życiową i doświadczeniem – powinno wydać człowieka o pełnej i dojrzałej osobowości. Powinno, ale nie zawsze podejmowany wysiłek doprowadza do tak optymistycznego skutku. Rozwój osobowy to zadanie, które można realizować na wiele różnych sposobów.

Prezentowana książka psychologa, jezuitę, to zbiór kilkudziesięciu sposobów wychowawczych. Opiera się na publikacjach znakomitych uczonych i praktyków w dziedzinie wychowania tej miary, co Charles Schaefer – członek American Psychological Association, Reinhard Tausch – profesor psychologii w Uniwersytecie Hamburgskim, Anna-Maria Tausch z tegoż Uniwersytetu... *Poglądy i osiągnięcia naukowe wymienionych autorów* – pisze Kuczkowski we „Wstępie” – *zostały możliwie najwinniej przedstawione*.

By zorientować czytelnika w treści „Strategii wychowawczych”, wystarczy wymienić kilka tytułów nawet nie kolejnych, ale chronologicznie następujących po sobie rozdziałów książki: „Wychowawca”, „Wychowanie, jego cele i style”, „Rola nagród w wychowaniu dziecka”, „Karać czy nie karać”, „Pobudzanie do osiągnięć”, „Wychowanie w rodzinie”, „Pomoc w ustalaniu ideałów i wartości”, „Udział wychowawcy w rozwiązywaniu przez dziecko sytuacji konfliktowych”.

Nie znajdziemy w książce jednoznacznej, raz na zawsze zamkniętej i niezmiennej definicji wychowania. Te zaś, które autor podaje, eksponują bardzo ważny, jakoś wspólny wszystkim aspekt: że jest to proces rozpięty

między wychowankiem i wychowawcą. Potocznie uważa się, że wychowanie polega na aktywności jednej ze stron – wychowawcy, na jego oddziaływaniu na wychowanka, który w sposób bierny przyjmuje docierające doń z zewnątrz bodźce i sugestie. Tymczasem właściwą strategią jest ta, która budzi inicjatywę i twórczość w wychowanku, zdolność do odpowiedzialności i samodzielnego wyboru (s. 30).

O wychowawcy, o tym, jaki powinien być, o jego roli i zadaniach w procesie wychowania, mówi autor w pierwszym rozdziale książki; często wraca do tego zagadnienia także przy omawianiu różnych metod wychowawczych. Syntezą prawdy o wychowawcy mogą być krótkie, ale jakże znaczące zdania: *Aby w pełni pomagać dzieciom stawać się osobami dojrzałymi, trzeba samemu być zdyscyplinowanym, dojrzałym /.../ A swoją drogą, wychowanie wskazuje nam ciągle na własne niedoskonałości i konieczność ustawicznego udoskonalania siebie* (s. 118).

Autor ilustruje przedstawiane metody i sposoby wychowawcze licznymi przykładami, które najczęściej są wynikami badań czy przeprowadzonych eksperymentów. Teoretyczne rozważania nabierają dzięki temu praktycznego charakteru i stają się łatwiejsze w odbiorze, choć podane za pomocą fachowego słownictwa i terminologii.

Wiesław Kulisz SJ

Filozofia zajmująca

Franciszek Bargieł SJ

Wojciech Tytkowski i jego „*Philosophia curiosa*“ z 1669 r.

Wydział Filozoficzny Towarzystwa
Jezusowego w Krakowie, Kraków 1986,
ss. 200

Autor należy do niezbyt licznej grupy tych, którzy od wielu lat badają dzieje filozofii polskiej w XVII i XVIII w. Dotychczas wydał monografie następujących filozofów jezuickich tego okresu: Stanisława Szadurskiego (1978), Benedykta Dobszewicza i Jana Morawskiego (1980), Adama Kwiryna Krasnodębskiego (1981), Tomasza Młodzianowskiego (1985 – artykuł; 1987 – obszerna monografia) i wreszcie Wojciecha Tytkowskiego. Obecnie pracuje nad Jerzym Gengellem.

Omawiana rozprawa dotyczy najbardziej płodnego i jednego z najwybitniejszych filozofów i teologów staropolskich: Wojciecha Tytkowskiego (zm. 1695). Wobec bogactwa spuścizny pisarskiej Tytkowskiego (wydał łącznie ok. 80 książek) trzeba było dokonać selekcji. Ks. Bargieł zajął się wydaną w 1669 r. w Krakowie książką „*Philosophia curiosa*“, będącą wersją pośrednią między wydanymi w 1666 r. w Braniewie materiałami do dysput a wielotomowym wydaniem „*Filozofii zajmującej*“, jakie ukazało się w Oliwie w latach 1680–90.

Książka ks. Bargieła składa się z dwu głównych części: wstępnej, bi-

bliograficzno-historycznej oraz zasadniczej, sprawozdawczo-doktrynalnej. W części pierwszej zamieszczono m.in. szkic „Tytkowski w oczach historii“ oraz podano jego krótką biografię i wykaz filozoficznej twórczości, a także bibliografię prac o Tytkowskim. Część druga referuje krytycznie poglądy filozoficzne zawarte w „*Philosophia curiosa*“. Obejmuje ona następujące uprawiane wówczas działy filozofii: logikę, filozofię przyrody (czyli fizykę), o powstawaniu, ginięciu i żywiołach, psychologię i metafizykę wraz z problematyką dotyczącą Boga. W podsumowaniu podkreślono ogromną erudycję autora, który na niespełna 300. stronach powołuje się na ponad 300. pisarzy; przedstawiono także charakterystykę i ocenę całej „*Filozofii zajmującej*“ z 1669 r. Pracę zamyka 5-stronicowe streszczenie łacińskie i skorowidz nazwisk.

Gdy chodzi o typ i gatunek tej filozofii, to z formalno-metodologicznego punktu widzenia *tekst Tytkowskiego nie ma prawie nic ze scholastycznej metody, skoro nie ma tam wyraźnych śladów sylogistyki, lecz gawędziarski sposób filozofowania /.../ Treść jest niewątpliwie scholastyczna, skoro zasilana myśl perypatetyczną i tekstami Arystotelesa /.../* (s. 176). Ks. Bargieł wiele miejsca poświęca wnikliwej, szczegółowej analizie tzw. uduwnień, jakie w przeszłości nierzadko przypisywano Tytkowskiemu. Nie przecząc całkowicie ich istnieniu w tekście, wykazuje jednak, że zdecydowana większość poruszanych zagadnień i kwestii ma rzeczywiście filozoficzny charakter i niesłusznie bywała niekiedy przedmiotem kpiny, choć sposób ich przedstawiania może dzisiaj

zaskakiwać. Na końcu więc zadaje pytanie: *Czy w świecie powyższych danych ów „ostawiony polihistor” jezuicki z II połowy XVII wieku nie zasługuje na spóźnioną historyczną rehabilitację, równą sławie zażywanej u swoich współczesnych?* (s. 177).

Praca ks. Bargieła jest najobszerniejszą i najlepszą z dotychczasowych publikacji o Tylkowskim. Nieprędko znajdzie się inny autor posiadający podobną znajomość języka łacińskiego (a język Tylkowskiego nie jest łatwy) i filozofii scholastycznej, który by z taką wnikliwością i dociekliwością pisał o Tylkowskim.

Pewien niedostatek rozprawy stanowi jednak to, że nie przedstawia ona całości poglądów filozoficznych Tylkowskiego, lecz jedynie ich określony etap; nie jest bowiem wykluczone, że w późniejszych latach podlegały one zmianom, a przynajmniej zwiększył się ich zakres. Dopiero przesłedzenie wydanych później książek omawianego autora może dać odpowiedź. Jest to oddzielne, niełatwe zadanie, choćby ze względu na nieporównanie większą objętość książek wydanych w latach 1680–90.

Dodatkowe światło na sylwetkę filozoficzną Tylkowskiego mogłoby rzucić porównanie jego poglądów z poglądami jemu współczesnych. W rozprawie w pewnej mierze dokonano tego w stosunku do niektórych autorów jezuickich, nie ma natomiast odniesień do filozofów spoza środowiska jezuickiego w Polsce. Inna rzecz, że ciągle jeszcze brak wystarczającej liczby opracowań na ten temat.

Ks. Bargiełowi należy się wdzięczność za podjęcie i wykonanie tej znużającej pracy oraz za jego znaczny

wkład do opracowania dziejów kultury filozoficznej w dawnej Polsce.

Roman Darowski SJ

Siedziba jezuitów w Krakowie

Jerzy Paszenda

Kościół Św. Barbary w Krakowie z domem zakonnym księży jezuitów. *Historia i architektura*

(Biblioteka Krakowska, nr 125). Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1985

Literatura o sztuce Krakowa powiększyła się ostatnio o obszerną książkę Jerzego Paszendy SJ o kościele Św. Barbary i domie profesów. Już sam fakt ukazania się tej pracy należy powitać z największą radością, bowiem dotychczas tylko nieliczne kościoły Krakowa doczekały się własnych monografii; ukazują się natomiast kolejne woluminy t. IV „Katalogu zabytków”.

Liczący ponad 400 stron tom, poza tekstem wzbogaconym przez 44 rysunki, 24 fotografie i przypisy, zawiera wykazy: ważniejszych dat z historii kościoła i domu profesów, przełożonych jezuickich, osób pogrzebanych pod kościołem Św. Barbary; słowniczek ważniejszych osób; indeksy: osobowy i rzeczowy oraz spisy rysunków i fotografii. Cała ta rozbudowana część dokumentacyjna budzi zaufanie

do rzetelności naukowej, jakkolwiek w wykazie rysunków nie ujawniono ich autora, a do rysunków zaliczono bez różnicy rekonstrukcję, przerysy i fotografie oryginalnych planów. Z obowiązku należy w tym miejscu odnotować charakterystyczną dla większości polskich książek niską jakością graficzną reprodukcji, nie tylko mało kontrastowych, ale też popsutych grubym rastrem, nadającym się raczej do zdjęć w prasie codziennej.

Praca, podzielona na części: „Historia” i „Architektura”, traktuje o dziejach, formie oraz wyposażeniu kościoła i domu zakonnego, które dotąd nie doczekały się gruntownego opracowania: najpełniej zostały omówione w „Katalogu zabytków” przez E. Chojeczką, A. Malkiewicza, P. Maliszewskiego i in.¹ Paszenda skrupulatnie wykorzystał znacznie więcej źródeł pisanych i dzięki nim mógł pełniej naświetlić liczne szczegóły dziejów kościoła. Zachowana do dzisiaj budowla została wzniesiona w okresie 1394–1402 jako kaplica cmentarna staraniem rady miejskiej, zapewne na koszt królowej Jadwigi, prawdopodobnie przy udziale Mikołaja Wenera, konstruktora sklepień naw w sąsiednim kościele N. P. Marii (s. 26). Autor książki prostuje dotychczas obowiązujący błędny pogląd, jakoby pierwotnie kościół Św. Barbary był budowlą dwunawową (s. 177–187). Ten niestuszny wniosek wyciągano mianowicie stąd, że w środku fasady zachowała się gotycka szkarpa. Tymczasem Paszenda słusznie wskazał, iż większość polskich kościołów dwunawowych nie miała takiej szkarpy; miały ją za to niektóre świątynie o innej liczbie naw (s. 187).

Ponieważ zaś do 1583 r. kaplicy nie przebudowano, a badania archeologiczne nie wykazały w podziemiach istnienia żadnych podpór, sporządzony w tym samym roku przez prowincjała Pawła Campano opis kościoła, który miał m.in. *jedno całe sklepienie, bez żadnych słupów* (ARSI, Germ. 161, f. 103), charakteryzuje pierwotny wygląd tej budowli o jednoprzestrzennym wnętrzu. Autor rozważa dalej różne możliwe układy pierwotnego sklepienia. Gdzie indziej koryguje też inne szczegółowe ustalenia wcześniejszych badaczy. Np. stwierdza (s. 200–203), że Z. Hendel² mylił się w sprawie obecnego portalu głównego: w rzeczywistości jest to przerobiony starszy portal z pocz. XV w.

Najobfitsze źródła dotyczą historii kościoła w okresie jezuickim (1583–1772) i później, toteż Paszenda najobszerniej omawia właśnie tę część dziejów zespołu. Bardzo szeroko relacjonuje perypetie towarzyszące osiedleniu się jezuitów w Krakowie w II poł. XVI w. (s. 31 n.) i uzyskaniu przez nich kościoła i domu; fundację kaplic, budowę siedmiu krypt, wykupywanie sąsiednich kamienic i ich przebudowy: przed r. 1615 i w l. 1666–86 na dom profesów. To ostatnie zagadnienie nie było dotąd należycie opracowane.

Równie szczegółowo omawia autor pertraktacje jezuitów z miastem o zezwolenie na powiększenie wschodniej części kościoła oraz dobudowanie apsydy w l. 1687–88, zapewne pod kierunkiem i według projektu Stanisława Solkiego SJ (s. 130). Prace przy barokizacji wnętrza, trwające do 1694 r. i prowadzone prawdopodobnie przez Jana I. Delamarsa SJ

(s. 131), polegały tylko na wprowadzeniu nowych szczegółów przy zachowaniu dawnej, jeszcze gotyckiej kompozycji całości (wyodrębniającej sklepienie, tworzące jakby baldachim nad gładkimi ścianami, ozdobionymi teraz emporami, obrazami i tkaninami). Paszenda słusznie przypuszcza, iż właśnie z tego czasu pochodzą rzeźby balustrady przez ołtarzem głównym, z bujnymi liśćmi akantu i puttami, poprzednio datowane wbrew ich formie na lata 1764–67. Kościół remontowano też w l. 1709–26; w r. 1730 zdjęto emporę i podwyższono ołtarze, ale drugi etap barokizacji, której wnętrze zawdzięcza swój obecny wygląd, nastąpił dopiero w latach sześćdziesiątych. Ok. 1756–61 Franciszek Koźmiński przygotował plany przebudowy (s. 137), potem dodano drewniany gzyms pod sklepieniem i lustra, a Franciszek Molitor ozdobił sklepienie malowidłami, skądinąd omówionymi przez Paszendę zbyt pobieżnie w stosunku do innych części wyposażenia (s. 237). Sam Molitor nie został nawet uwzględniony w „Słowniczku ważniejszych osób”!

W l. 1762–63 wzniesiono też nową sygnaturkę, zapewne według projektu Franciszka Placidiego (s. 137). Zauważmy, że Paszenda cytuje tu tylko wcześniejsze streszczenie, a nie pełniejszą wersję pracy J. Lepiarczyka, który wysunął to przypuszczenie na temat autorstwa. Po kasacie jezuitów kościół ciągle zmieniał właścicieli aż do powrotu zakonników w r. 1874, którzy poddawali świątynię remontom i konserwacjom. Podczas ostatniej z nich, w l. 1975–76, Paweł Mitka wymalował na ścianach pilastry, których tam nigdy nie było (s. 174).

Równie drobiazgowej analizie historycznej poddał autor poszczególne kaplice i ich wyposażenie. Omawia m.in. kaplicę Ogrojcową (s. 234–243), fundowaną w IV ćwierci XV w. jako grobowa kaplica rodziny Schwarców. Poważnym brakiem tego fragmentu pracy jest pominięcie znajdującej się tam grupy rzeźbiarskiej, przekonująco przypisanej Stwoszowi w r. 1984³, a więc w czasie, kiedy tekst Paszendy mógł zostać uzupełniony choćby w korekcie. Autor omówił natomiast rzeźby wewnątrz kościoła, m.in. znakomitą Pięć przypisywaną Mistrzowi Pięknych Madonn. Za L. Kalinowskim datuje ją w tekście na ok. 1410 r. (s. 233), ale już w podpisie il. 15 na następnej stronie podaje bez uzasadnienia datę ok. 1420. Dalej przytacza dwie bardzo ciekawe wzmianki z II poł. XVII w. (s. 225) chwälące tę średniowieczną rzeźbę, *peculiari artificio elaborata* lub *admirabili arte elaborata*. Szkoda, że ograniczył się tylko do ich zacytowania, bo jest to chyba wyjątkowy w Polsce przykład estetycznej recepcji dzieła GOTYCKIEGO w okresie baroku, kiedy to myślano nawet o usunięciu Stwoszowskiego ołtarza z sąsiedniego kościoła N. P. Marii.

Kilka słów należy poświęcić metodzie przyjętej przez autora recenzowanej książki. Mając do wyboru szczegółowe omówienie licznych i po części dotąd nie opublikowanych dokumentów albo podanie syntetycznych wniosków z własnych badań źródłowych, zdecydował się na to pierwsze rozwiązanie. W rezultacie czytelnik otrzymał rzetelną pracę źródłową, przynoszącą wiele nowych materiałów archiwalnych, która jednak przez to swoje bogactwo pozostaje bardzo

trudna w odbiorze. Zauważmy ponadto, że podział pracy na wymienione dwie części nie został konsekwentnie zrealizowany, bowiem historię omawia autor cały czas, tyle że w cz. I na ogół w oparciu o źródła pośrednie, czyli pisane (ale nie zawsze, bo np. na s. 124 opisuje konstrukcję dachu), w cz. II zaś posługuje się ponadto źródłami bezpośrednimi, tj., samym zabytkiem. Zbyt obszernie, z punktu widzenia historii sztuki, omawia np. kwestię przybycia jezuitów do Krakowa, i to mimo deklaracji, że przedmiotem pracy będą architektura i historia kościoła i klasztoru, a nie działalność jezuitów (s. 11).

Niniejszy przegląd nie jest w stanie oddać bogactwa faktów zawartych w tej gruntownej pracy Jerzego Paszندی. Autor książki odmalowuje szeroką i świetnie udokumentowaną panoramę dziejów domu profesorów i kościoła Św. Barbary, tak ważnych dla historii samego Krakowa, całej Polski, a zwłaszcza zakonu jezuitów. Czytelnik zainteresowany bardziej sztuką niż historią może jednak odczuwać żal, że dzieło tak skrupulatnie przygotowane i bogate, jakim jest „Kościół Św. Barbary”, zostało poświęcone świątyni stosunkowo mniej ważnej w porównaniu z innymi budowlami miasta, z których wiele zasługiwałoby na równie gruntowne opracowanie. Jednakże ważność historyczna i wartość artystyczna nie zawsze idą w parze.

Marcin Fabiański

¹ Kościół p.w. Św. Barbary i klasztor jezuitów, w: *Katalog zabytków sztuki w Polsce*, t. IV: *Miasto Kraków*, cz. II: *Kościół i klasztory Śródmieście*

cia, 1, red. A. Bochnak i J. Samek, Warszawa 1971, s. 94–107 i 170 (bibliografia).

² Z. Hendel, *Kaplica Zmarłych zwana „Ogrojcem” przy kościele Św. Barbary w Krakowie*, „Sprawozdania Komisji Historii Sztuki” V, 1896, s. 235–236.

³ P. Penczakowski, *Rzeźby w Kaplicy Ogrojcowej przy kościele Św. Barbary w Krakowie*, „Folia Historiae Artium” XX, 1984, s. 21–29.

Franciszkańska ewangelia

Władysław Śniński

Franciszek rozdaje słońce

IW Pax, Warszawa 1987, ss. 299

Przypomnijmy najpierw rozmowę, którą wiodło kiedyś dwóch artystów słowa:

– Czy Chrystus istniał? – pyta Tuwim.
– Istnieje – odpowiada Brandstaetter.
– A gdyby udowodniono, że nie istniał?

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo Chrystus MUSI ISTNIEĆ...

– Wie pan, pan ma rację... To MUSI ISTNIEĆ jest bardzo mądre... (por.: K. Bukowski, „Biblia a literatura polska”, Warszawa 1984, s. 130).

Przypomnijmy dalej: Roman Brandstaetter, który przytoczył tę rozmowę, swe własne spojrzenie na Chrystusa wiązał ściśle z postacią św. Franciszka z Asyżu; świadczą o tym jego „Kroniki Asyżu” oraz „Inne kwiatki świętego Franciszka z Asyżu”. Dlatego nie popelnimy pewnie błędu, kiedy argument pisarza z przytoczonej przezeń rozmowy odniesiemy nie tylko do osoby Chrystusa, ale również do Jego najwierniejszego

chyba obrazu, jakim był Biedaczyna. Święty Franciszek **MUSIAŁ ISTNIEĆ**.

Oznacza to najpierw: gdyby nie pojawił się święty, który tak dosłownie wcielił w swym życiu ducha Chrystusowej ewangelii, ducha Kazania na Górze, wówczas wolno by pytać, czy cała ewangelia nie jest jedynie utopią niemożliwą do zrealizowania w naszym świecie. Wprawdzie opory, jakie budził ewangeliczny radykalizm Franciszka w czasie jego życia, raz jeszcze ujawniały nieodłączny od Chrystusowej ewangelii cień krzyża, ale jednak czyste światło Franciszkowego świadectwa okazało się silniejsze i głębiej zapadło w ludzką pamięć. A następnie: przekonanie, że Franciszek **MUSIAŁ** istnieć w owym głębszym, teologicznym sensie, znalazło swój wyraz w fakcie, że już pierwsze świadectwa o jego życiu, przekazane w „Kwiatkach”, zawierają elementy, które z historycznego punktu widzenia mogą budzić wątpliwości, stają się natomiast zrozumiałe jako przejaw **KONIECZNEJ** prawdy o życiu świętego. Ta konieczna prawda nie ogranicza się do jednorazowego, historycznego życia Biedaczyny, lecz można ją określić jako ducha franciszkańskiego. Sam Franciszek objawił tego ducha jako pierwszy, ale jego głębia każe myśleć o innych jeszcze, coraz to nowych realizacjach, na przykład w opowieściach, w których duch ten staje przed nami jak żywy, i dlatego chciałoby się je uznać za prawdziwe – wzięte z życia.

Przykładem literackiej realizacji franciszkańskiego ducha, przedstawiającej go w żywy i prawdziwy sposób, są wznowione ostatnio opowieści W. Smólskiego „Franciszek rozdaje słońce”. O pierwszym wydaniu z

1958 r. nota wydawnicza wspomina: *Krytyka wysoko oceniła tę książkę, a czytelnicy przyjęli ją z wdzięcznością, domagając się nowego wydania*. Obecne wydanie, ukazujące się już po śmierci autora, która nastąpiła w 1986 r., zostało uzupełnione i opatrzone ilustracjami. O ile możemy bez zastrzeżeń przyłączyć się do wysokiej oceny zawartych w książce opowieści, o tyle trudno nam się zgodzić ze sformułowaną w dalszym ciągu noty wydawniczej twogą o *pięknej szacie graficznej* książki. Prymitywizm ilustracji miał zapewne stanowić odpowiednik franciszkańskiej prostoty i dziecięctwa; tymczasem są one przerysowane, przyciężkie i po prostu odpychające.

Inspiracją do opowieści Smólskiego były „Kwiatki świętego Franciszka”. Autorowi chodziło o takie przedstawienie ducha franciszkańskiego, które ułatwiłoby dostęp doń współczesnemu człowiekowi, niezbyt sobie radzącemu z przedawnionymi pod niejednym względem „Kwiatkami”. Większość opowieści nawiązuje więc nie do litery, lecz do ducha „Kwiatków”, ukazując przede wszystkim uniwersalizm franciszkańskiej miłości obejmującej nie tylko świat ludzi, ale przyrody i zwierząt, a nawet tę postać zła, którą zwie się diabłem. W prologu do opowieści, przypominającym pod względem ujęcia prolog biblijnej Księgi Hioba, zadowolony z siebie diabeł, który *jak wieprz uył* dzięki postępowaniu członków Kościoła, słyszy z ust Chrystusa: *Ześlę na ziemię świętego, który cię, diable, wygoni z dusz ludzkich* (s. 14). Zło, z którym autor opowieści każe się dalej Franciszkowi zmierzyć, przybiera rozmaite postaci. Za każdym

razem święty zwycięża mocą miłości. Jeżeli nawet, jak np. w opowieści „Kuszenie świętego Franciszka”, wydaje się mu, że szatan przyszedł go kusić w postaci przygarniętego przezeń kota, to jednak po przepędzeniu zwierzęcia *żał się świętemu zrobiło kota* (s. 104). Uzupełnienie przynosi inna opowieść – „Jak Franciszek diabła wypędził z kota” (s. 171 nn.). Przewyciężenie zła polega tu już nie na odpędzeniu „kuszącego” zwierzęcia, ale dokonuje się poprzez przyjęcie i cierpliwe znoszenie go, uwalniające od złego w sposób bardziej radykalny. W „Epilogu” zaś czytamy, jak Franciszek po swojej śmierci słyszy z ust Chrystusa pochwałę jako *największy ze zwycięzców diabła! Patrz, jakieś go pogłębił! Na widok wychudłego i zgnębionego przeciwnika żał go się zrobiło Biedaczynie. Uczuł diabeł żał jego i ze wstydu zapłakał. – Chwała ci, Franciszku, najpotężniejszy z mocarzy – rzecz Pan – któryś zmusił do płaczu diabła!* (s. 295).

Opowieści, w których Smólski z fantastyczną pomysłowością rzuca franciszkańskie światło na rozmaite problemy ludzkiego życia, prześiknięte są ciepłym humorem i życzliwością. Poddając się ich oddziaływaniu czytelnik żywo odczuwa, jak wielkim błogosławieństwem może być ludzka dobroć, cierpliwa i wyrozumiała, łagodna – i właśnie dlatego znosząca, obezwładniająca zło. W tej mierze, w jakiej franciszkański duch, przedstawiony w opowieściach, budzi w czytelniku żywy odzew, może się on dalej jeszcze wcielić. A wówczas się okaże, że również przedstawiony w opowieściach Smólskiego św. Franciszek **MUSIAŁ ISTNIEĆ**.

Jacek Bołewski SJ

Bóg mój i wszystko

Antologia mistyków franciszkańskich

Akademia Teologii Katolickiej, T. I
Warszawa 1985, ss. 303, T. II
Warszawa 1986, ss. 303

Duchowość franciszkańska. Wielki rozdział dziejów i myśli Kościoła. Ważny i znaczący etap kultury europejskiej. Wydane dotychczas dwa tomy „Antologii mistyków franciszkańskich” znakomicie wprowadzają w głębię doznań religijnych dojrzałego średniowiecza.

Tom pierwszy zawiera pisma „filarów” zakonu: św. Franciszka, św. Antoniego, św. Klary – duchowej matki *pań dobrych*, św. Bonawentury – doktora serafickiego, Jana z Calvoli – najpokorniejszego w dziecięcej miłości, i innych. W tomie drugim poznajemy twórczość Konrada z Saksonii, Rogera Bacona, Jana Duns Szkota, bł. Rajmunda Lull, Dantego Alighieri. Układ chronologiczny pozwala śledzić rozwój duchowości franciszkańskiej ogarniającej coraz szerzej ludzką rzeczywistość, poszukującej ciągle nowych sposobów i możliwości zbliżenia do rzeczywistości Boskiej. Ci ludzie dali podstawy nowego chrystocentryzmu skupiającego się na miłości i kontemplacji Chrystusa. Nastąpiła wówczas jakże znamienna w skutkach zmiana perspektywy wiary. Chrystus Król, odległy i wyniosły Pantokrator, w wizji franciszkańskiej ustępuje miejsca Chrystusowi Człowiekowi, cierpiącemu i umęczonemu, Chrystusowi Przyjacielowi, który wymaga i oczę-

kuje tylko jednego – miłości. Odtąd pobożność (nie tylko franciszkańska) staje się bardziej spontaniczna, wrażliwa, uczy współczucia i przeżywania, współuczestniczenia w ofierze. Przynosi także jakże wspaniałą możliwość nawiązania intymnej przyjaźni między ludźmi a Bogiem-Człowiekiem.

Mimo pobieżnego charakteru tego omówienia chciałbym zatrzymać się nad dziełem bł. Rajmunda Lull „Księga o Przyjacielu i Ukochanym”. Jest to poemat prozą o niezwyklej walorach stylu i obrazowania poetyckiego. W warstwie treściowej natomiast stanowi syntezę franciszkańskiej myśli mistycznej, sublimację pojęcia miłości Boga. Można przyjąć, że pisma Rajmunda Lull miały wpływ na Pascala i Anioła Ślązaka, że bez „Księgi...” nie byłoby „Pastorałek” i „Wędrowek Cherubina”. Utwór wart jest szerszego rozpropagowania i powinien znaleźć się w każdym poważnym zbiorze poezji religijnej.

„Antologia mistyków franciszkańskich” mając ogromną wartość poznawczą może stać się podstawą do dalszych przemyśleń i badań. Nowatorstwo chrystologii i mariologii Dunsza Szkota, wpływ nurtu mistyki franciszkańskiej na kwietyzm i devotio moderna, to pierwsze przykłady porównań i analiz.

Książkę redagował o. Salezy Kafel OFMCap., jest on również autorem krótkiego wprowadzenia do każdego tomu. Budzą one zastrzeżenia, są bowiem zbyt krótkie i pobieżne. Wyjaśniając zasadnicze terminy, „mistyka” i „mystyk”, autor powołuje się tylko na jeden autorytet – Dom Saviniana Louismet. Pozycja tak poważna jak „Antologia...” powinna posiadać jednak wszechstronniejszy i głę-

szy zarys problematyki, która jest jej treścią.

Andrzej Datko

Wartościowa monografia

Bronisław Lubicz-Nycz *Batalion „Kiliński” AK 1940–1944*

Państwowe Wydawnictwo Naukowe,
Warszawa 1986, s. 304

W pięć lat po śmierci autora ukazała się monografia batalionu „Kiliński” AK pod red. doc. dr. hab. Tomasza Strzembosza, obecnie pracownika naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, który od lat prowadzi badania nad problematyką polskiego ruchu oporu w okresie II wojny światowej.

Jak dowiadujemy się ze wstępu, tylko pierwszy tom został przygotowany przez autora. Ciężka choroba i śmierć 6 VIII 1981 r. przerwała dalsze jego prace. Bronisław Lubicz-Nycz, nauczyciel i aktor słynnej Reduty, działacz teatrów ludowych posiadał wrażliwość humanisty i społecznika. Starał się też naszkicować szerokie tło działalności konspiracyjnej, udział w niej różnych warstw społecznych, obraz tworzonego przez pięć lat batalionu, którego głównym zadaniem miało być wystąpienie z bronią w rękę w momencie powszechnego powstania.

Czy książka daje odpowiedź na pytanie, kto konspirował, skąd brało się 10–15% aktywnych, odważnych,

bezkompromisowych? Batalion „Kiliński” tworzyli inteligenci, robotnicy, rzemieślnicy, zawodowi żołnierze, młodzież szkolna. Nie miała być rolą rzemiosła warszawskiego. Początkowo batalion nosił nazwę „Vistula”, gdy jednak w marcu 1943 r. opiekę nad nim roztoczyła społeczna konspiracyjna rada, w skład której weszli przedstawiciele Cechu Rzemiosł, nazwano go „Kiliński”. (Rzemieślnicy zabezpieczyli finanse na zakup broni, sprzętu saperskiego itp., ufundowali też sztandar.)

W książce znajdziemy też obraz dwóch stylów walki, reprezentowanych przez dwie odmienne formacje ludzi: zawodowych oficerów i podoficerów oraz ochotników, konspiratorów szkolonych do działań powstańczych w stałej improvisacji życia okupacyjnego. Autor dokonał dużego wysiłku, by zestawić ilość broni, którą dysponowały plutony „Kilińskiego” i przydzielić dla nich obiektów przewidywanych do zdobycia w czasie powstania. Jest to pierwsza próba tak szczegółowa w dotychczasowej literaturze przedmiotu.

„Batalion «Kiliński» AK 1940–1944” to pokaźna dokumentacja postaw społeczeństwa okupacyjnego. Ciekawe, kiedy doczeka się ona zainteresowania historyków, którzy opracują syntezę przemian społeczeństwa polskiego w czasie okupacji.

Maria Wiśniewska

Inaczej o Niemcach

Dziesięciu sprawiedliwych

Wspomnienia okupacyjne

zebrał i wstępem poprzedził

Jan Turnau

Warszawa 1986, Biblioteka „Więzi”
t. 54, ss. 193

Niewielka to książeczka, skromna i niebytnie starannie wydana, ale o jej wartości nie decydują ani rozmiary, ani szata graficzna. Przywołanie biblijnej opowieści o dziesięciu sprawiedliwych wyznacza tyleż szlachetne, ile ryzykowne przesłanie moralne: na przekór, a może raczej w uzupełnieniu zbiorowych doświadczeń zapisać świadectwo dobrego uczynku Niemca, jego gestu życzliwości i pomocy okazanej Polakom w latach II wojny światowej. Pomysł wytonił się trochę z przypadku, ale wkrótce przekroczył oczekiwania autora zbioru. Na jego apel ogłoszony na łamach „Gościa Niedzielnego” i „Tygodnika Powszechnego” nadeszło ponad 120 wspomnień i relacji, niekiedy obszernych, a przy tym jakościowo znaczących. Nie tylko bowiem znalazło się miejsce na opis faktów, ale również na głębszą refleksję świadczącą o wrażliwości i prawdziwie chrześcijańskiej postawie respondentów. Mimo ogromnej skali krzywd i cierpień, których byli świadkami a często też ofiarami, mimo całkowitego zrozumienia prawa do niechęci do Niemców stać ich było na samodzielną ocenę, na powstrzymanie się przed łatwym uogólnieniem. O złożoności doznań

świadczy choćby wypowiedź Marii Zaremby z Warszawy: *Przyznam się, że początkowo, kiedy od Niemców spotkało mnie coś dobrego, byłam tym upokorzona; wołałabym, aby wszyscy byli tacy sami, jakich poznałam w czasie okupacji*. Przełamanie naturalnej zwłaszcza w obliczu skrajnego zagrożenia skłonności do jednoznacznych, czarno-białych sądów to znamienny, godny uwagi rys relacji, z których ogromna większość, bo 94, znalazła się w niniejszym zbiorze.

Redakcja poskapiła wiadomości o autorach materiałów, przytaczając jedynie nazwiska i pseudonimy, obecne miejsce zamieszkania oraz znak stanu kaptańskiego. Mimo to daje się zauważyć różnorodność profesji i poziomu wykształcenia, część tekstów cechuje wyrobienie literackie, inne zostały napisane, z mozołem, ręką przywykłą do zupełnie innych zajęć. Niektórych autorów stać na dłuższe wspomnienie, przeważają jednak lakoniczne zapisy faktów, kroniki zdarzeń pozbawione szerszego komentarza. Bez względu na objętość wypowiedzi zastanawia skrupulatność, z jaką respondenci odszukują w pamięci uczynki i gesty świadczące o życzliwości lub tylko o dobrym usposobieniu napotkanego Niemca. Ktoś nie znający sytuacji w okupowanej Polsce mógłby wzruszyć ramionami: czy trzeba pochwał pod adresem oficera wrogiej armii traktującego z rewerencją bezbronne kobiety i rozdającego słodczyce dzieciom, czy należy wyróżniać żołnierzy zachowujących się po ludzku wobec gospodarzy kwater i innych cywilnych mieszkańców zajętego kraju? Czy komisaryczny szef fabryki lub przedsiębiorstwa rolnego, naczelny lekarz lub niemiecki majster

odnoszący się rzeczowo i bez szykan do podwładnych Polaków to figury osobliwe, godne specjalnej wzmianki? Wreszcie – czy sąsiedzi lub znajomi niemieckiego pochodzenia, dochowujący po 1939 r. przyjaźni Polakom, to ludzie odstępujący od norm przyjętych w cywilizowanym świecie?

Odpowiedź na tego rodzaju wątpliwości wymaga przypomnienia dwóch zasadniczych kwestii dotyczących kształtu polsko-niemieckich stosunków w dobie najnowszej. Po pierwsze – XIX wiek i początkowe dwudziestolecie XX w. przyniosły zintensyfikowanie czarnej barwy w obrazie Polaka w Niemczech. Do starych hasel w rodzaju: *polnische Wirtschaft, ciemny chłop, wsteczny i brutalny polski szlachcic* doszły nowe, wiążące się ze zmianami terytorialno-ludnościowymi po I wojnie światowej. Pojawiły się oskarżenia o ekspansjonizm, zabór niemieckiej ziemi, ucisk bezbronnej mniejszości niemieckiej. Odrodzone państwo polskie zostało uznane za *wichrzyciela Europy*, twór sezonowy, pozbawiony trwałych podstaw egzystencji. Po krótkim okresie lat 1934–1938, kiedy to ze względów taktycznych antypolski tenor został przytłumiony, nastąpiła kulminacja. W przededniu II wojny Polskę i Polaków wystylizowano na wroga numer 1 Niemiec, łączącego negatywne cechy państwowe (organizm źle rządzony, destabilizujący układ sił w Europie Środkowej), narodowościowe (niegodziwy sąsiad, terroryzujący mniejszości) i rasowe (bezwartościowy, „zażydzony” Słowianin).

Po drugie – totalitarne struktury III Rzeszy w pełni doceniły rolę środków masowego przekazu w realizacji celów polityki wewnętrznej i zagranic-

czej. Na niespotykaną dotąd skalę i z niewątpliwą znajomością rzeczy wprężnięto w służbę hitlerowskiej propagandy prasę, film i radio. Przeciwny Niemiec, tradycyjnie podatny na presję silnych autorytetów, został poddany totalnej manipulacji propagandowej, której w taki czy inny sposób ulegał, tym bardziej że proponowała mu zrozumiałe, proste odpowiedzi na pytania o przyczyny zła, sylwetkę wroga, drogi wiodące do przyszłej pomyślności. Szczególne spustoszenie hitlerowska propaganda czyniła w duszach i umysłach młodych Niemców, których setki tysięcy wyruszyły na wojnę z Polską w przekonaniu, że czyha na nich wróg podstępny, nie respektujący reguł walki, pozbawiony zasad moralnych. Dowódcom zaś dźwięczała w uszach wytyczna Hitlera z 22 sierpnia 1939 r.: podstawowym celem wojny nie jest osiągnięcie pewnej linii czy nowej granicy, chodzi o całkowite zniszczenie Polski, zagładę biologiczną narodu polskiego.

O skutkach realizacji tej i podobnych wytycznych napisano już wiele. Awangarda nowego prądu – Wehrmacht i hitlerowska policja – dopuściły się na polskich ziemiach niewyobrażalnych okrucieństw, odruchy humanitarne, nie mówiąc już o życzliwości, nalczały do obszernie marginalnych. Wyjątki ograniczały się do prostych gestów, nie wiążących się z ryzykiem i większym wysiłkiem. Ma jednak rację Jerzy Marcinkowski z Wrocławia, iż w sytuacjach wyjątkowych, a hitlerowska okupacja ich nie szczędziła, nawet drobny gest kurtuazji wymagał dużej odwagi cywilnej. W opisywanym przez niego zdarzeniu oficer niemiecki idący war-

szawską ulicą w towarzystwie dwóch kolegów świadomie, wręcz demonstacyjnie salutował... ukłony Żydów przymuszonych do tego nazistowskim nakazem. Na ogół oficer lub żołnierz niemiecki niezmiernie rzadko pozwalał sobie w obecności Polaków – nie wspominając już o Żydach – na wyrażniejszą manifestację antyhitlerowskich uczuć. Jeśli już – czynił to w końcowej fazie wojny lub pod wpływem doraźnego impulsu.

Jak można wnosić z zachowanych wspomnień, reminiscencje rodzinne wpływały korzystnie na zachowanie niektórych przedstawicieli reżimu okupacyjnego. Widok małych dzieci, bezradnych kobiet i starców wywoływał uśmiech, chęć przysługi, niekiedy dość dziwacznej natury. Oto oficer niemiecki odprowadza do domu podchmieleń Polaka w starszym wieku ze słowami: *Żał mi pana, bo ja też mam ojca*. Największy ciężar gatunkowy miały oczywiście gesty życzliwości okazane w warunkach szczególnego zagrożenia: w aresztach, więzieniach i obozach koncentracyjnych. Nie zabrakło świadectw o litościwym strażniku i żandarmie, o przywoitym szefie gestapo z Miechowa, o ludzkiej nadzorczyńi z filii obozu oświęcimskiego i o dobrym SS-manie z obozu Auschwitz-Birkenau. Biskup Kazimierz Majdański w najdłuższym i literacko najdojrzalszym wspomnieniu odmalowuje koszmar zbrodniczych doświadczeń na księżach w Dachau zarażanych zastrzykami ropowicy. Obdarza serdeczną pamięcią niemieckich więźniów politycznych uporczywie walczących o jego życie. Przeciwstawia im sylwetkę lekarza kierującego eksperymentami, któremu zresztą udzielił swego przebacze-

nia podczas rozprawy sądowej w Monachium w 1975 r.

Żadna jednak z relacji nie karmi się złudzeniem, że postacie dobrych Niemców ważyły na okupacyjnym porządku, że dzięki nim hitlerowski reżim w Polsce został dostrzegalnie złagodzony. Tylko jeden autor, podpisujący się zmiennym pseudonimem Szczęściarz, przyznaje, iż jego rodzina nie poniosła żadnych ofiar, a on sam wyniósł dobre wspomnienia z okresu wojennego dzieciństwa.

Z opublikowanych relacji wyłania się stosunkowo szeroki krąg pozytywnych bohaterów. Są wśród nich duchowni katolicy i protestanci, siostry zakonne, oficerowie i żołnierze Wehrmachtu, SS-mani i funkcjonariusze policji, pracownicy cywilni władz okupacyjnych, prości rolnicy i gospodynie domowe. Niewiele da się powiedzieć o głębszej motywacji ich postępowania, za mało po temu danych, a te istniejące wskazują ogólnie na pobudki humanitarne i chrześcijańskie. W kilku przypadkach można zauważyć wpływ przekonań politycznych: niemieccy rozmówcy zdradzali się ze swymi sympatiami dla katolickiej partii Centrum czy wręcz dla podziemnego ruchu komunistycznego. Niektórzy autorzy relacji zdają się sugerować istnienie pewnych prawidłowości w postawach przedstawicieli okupanta, co po części zbiega się z ustaleniami historyków.

Bez wątpienia przejawy pewnej pojednawczości, a nawet sympatii dla Polaków uwidoczniły się wśród niemieckiego kleru katolickiego i głęboko wierzących katolików w Rzeszy. Swoiste potwierdzenia dostarczają niektóre meldunki hitlerowskiej służby bezpieczeństwa (Meldungen

aus dem Reich des SD), sygnalizujące niejednokrotnie karygodne przejawy dobrego traktowania polskich robotników przymusowych, lekceważenia zakazów fraternizacji, roztaczania opieki nad Polakami przez parafie i miejscowych księży. Czy wojsko – jak wynika to z niektórych relacji – zachowywało się na polskich ziemiach przyzwoiciej od SS i gestapo? Tę tezę rozpropagowała szeroko historiografia zachodnioniemiecka; polskie środki masowego przekazu i kilku historyków odpowiedziało na to serią publikacji o zbrodniach Wehrmachtu w zajętej Polsce. Czy Austriacy byli lepsi od Niemców? Ustalenia prof. Cz. Madajczyka wskazują, że Austriacy zaludniający początkowo dość licznie administrację Generalnej Guberni byli z niej następnie wycofywani z racji niedostatecznej gorliwości politycznej. Z drugiej jednak strony duży wpływ na strukturę personalną władz okupacyjnych miała ogłoszona 9 września 1939 r. amnestia dla urzędników. Objęte nią osoby kierowano na wschód; pragnienie rehabilitacji szło często w parze z antypolską gorliwością.

Polska literatura przedmiotu na ogół surowo ocenia postawy urzędników administracji okupacyjnej. M.in. istnieją liczne wzmianki o szczególnej nienawiści do wszystkiego co polskie funkcjonariuszy administracji oświatowej w Generalnej Guberni. Zbigniew T. Zieliński z Warszawy kreśli sympatyczny wizerunek radcy szkolnego z Puław, Ślązaka Cmiela, który, choć uważał się za Niemca i należał do nazistowskiej partii, okazywał pomoc polskiej szkole handlowej i przyrzucał oko na rozszerzenie programu nauczania, istnienie samo-

rządu uczniowskiego, nawet na obchody polskich rocznic narodowych. Autor relacji wspominał też pochlebnie o przełożonym Cmielu, szefie referatu szkolnictwa zawodowego w Wydziale Szkolnictwa Dystryktu Lubelskiego. Niemieckie źródła podają, że nazywał się on Woerlich, a nie Wehner. Wysłannicy Ministerstwa Wychowania Rzeszy, wizytujący Generalną Gubernię w październiku 1940 r., określili Woerlicha jako urzędnika *robiącego dobre wrażenie, ale nie wyróżniającego się inicjatywą*. Z innego dokumentu wynika, że w sierpniu 1942 r. wszedł on w ostry konflikt z lubelską organizacją NSDAP na tle bezceremonialnego zajęcia przez Hitlerjugend, bez wiedzy administracji oświatowej, polskiej szkoły rolniczej w Sobieszynie.

Radca szkolny Cmiel i jemu podobni należeli do nielicznych jaśniejszych wyjątków w antypolsko nastawionej kadrze urzędników hitlerowskich. Dobre wspomnienia pozostawili też niektórzy fachowcy delegowani służbowo do pracy na terenach polskich. Sporo takich postaci wzmiankowano w relacjach: lekarz uzdrowiska w Krynicy, lekarz powiatowy w Nowym Targu, profesor hematologii w klinikach krakowskich, bankowcy zatrudnieni w Banku Emisyjnym. Te i inne przykłady nie upoważniają oczywiście do żadnych uogólnień ani tym bardziej do wniosków natury statystycznej. Trzeba pamiętać o przypadkowym i wyrwytkowym charakterze zebranych relacji, nie sposób też wykluczyć przekłamań wynikających z nadmiernego subiektywizmu i słabej pamięci autorów.

Jeśli autorzy relacji i wspomnień tak usilnie zabiegają o rejestrację naj-

drobniejszych gestów dobrej woli, to czynią tak nie z chęci wybielenia „Übermenschów” i zakłócenia rzeczywistej wymowy faktów. Intencją ich – jak się zdaje – jest dostrzeżenie „ludzi przez duże «L»”, owych „dziesięciu sprawiedliwych” pośród wielu tysięcy czynnych i biernych współpracowników zbrodniczego systemu. Nasuwa się w tym miejscu pewna analogia z głosami podziemnej prasy katolickiej ze schyłkowego okresu okupacji hitlerowskiej. Na łamach „Prawdy” – pisma Frontu Odrodzenia Polski – Zofia Kossak w artykule „Odwet, zemsta czy kara” z jesieni 1943 r. domagała się sprawiedliwej kary dla *naszych katów*. Zarazem jednak pisała: *Nie chcemy odwetu, nie chcemy zemsty przede wszystkim dlatego, że mnoży zło, że czyni ona krzywdę temu, który się mści, zabijając w nim poczucie sprawiedliwości. A tego poczucia sprawiedliwości tak bardzo przecież będzie dużo w Polsce potrzeba. Chcemy na naszych ziemiach zbudować państwo, gdzie się żyje swobodnym życiem swobodnego człowieka. Czyż możemy to zrobić bez poczucia sprawiedliwości głęboko wrośniętego w dusze wszystkich Polaków?* W tym samym numerze „Prawdy” znalazła się też „Modlitwa” pióra Leonii Jabłonkówny (zmarłej w lutym 1987 r.), której jedna ze zwrotek brzmiała:

*W godzinie tryumfu nad klęską,
Gdy w gniewie się Twoim objawisz,
Daj siłę, daj radość zwycięską,
A wyrwij nam z duszy nienawiść.*

Wiersz ten przytoczył w całości Wł. Bartoszewski w swej publikacji „1859 dni Warszawy”. Zauważył przy tym, że utwór wywołał znaczny rezonans w środowisku polskiej inteligencji. Skądinąd też wiadomo, że tego

rodzaju dyskusje wokół moralnych aspektów problemu niemieckiego toczyły się w różnych kręgach społeczeństwa (harcerze, prawnicy, lekarze, dowództwo AK). Nie można zapominać, że działo się to wszystko w cieniu dymiących kominów Majdanka i Oświęcimia, przy potężniejącej fali hitlerowskiego terroru.

Wolno przypuszczać, że omawiane tu wspomnienia i relacje nawiązują do głosów tego odłamu polskiej opinii publicznej lat wojny i okupacji, który – piętnując bezmiar winy i upominając się o godziwą karę – występował przeciwko żądzy odwetu i ślepej nienawiści. Czynił to nie tylko w zgodzie z chrześcijańskim nakazem przebaczenia, ale również w szlachetnej i mądrej trosce o morale społeczeństwa polskiego, o zdrowie psychiczne przyszłych pokoleń.

To samo powinowactwo ideowe reprezentuje pewien dokument, którego wydanie rozpętało swego czasu prawdziwą burzę propagandową. Mowa o „Orędziu Biskupów Polskich do ich Niemieckich Braci w Chrystusowym Urzędzie Pastorskim” z 18 listopada 1965 r. Mało kto znał wówczas treść, wielu natomiast czuło się w obowiązku zaprotestować bądź też zostało skłonionych do zorganizowanego protestu. Czytany po latach dokument skłania do wielu interesujących refleksji nad stałością pewnych wartości, a przemijaniem pustych, choć głoszonych krzykliwe, sloganów. Dobrze więc się stało, że tekst tego dokumentu – tak trudno dostępny – znalazł się w aneksie omawianej publikacji. Bez komentarza, bo jego treść mówi sama za siebie. Chociaż właściwie... komentarz to dziewięćdziesiąt kilka wspomnień i relacji –

świadectwo ludzkiej nadziei w czasach nieludzkiej beznadziejności.

Eugeniusz C. Król

Czy jesteśmy z natury religijni?

W. Pannenberg (red.)

Sind wir von Natur aus religiös?

Düsseldorf 1986, ss. 186

To intrygujące pytanie stało się motywem przewodnim spotkania zorganizowanego w dniach 17 i 18 listopada 1984 r. przez Akademię Katolicką w Regensburgu. Bezpośrednim powodem spotkania były dwie równoległe wydane antropologie: W. Pannenberg'a „Anthropologie in theologischer Perspektive (Antropologia w perspektywie teologicznej, Göttingen 1983) i O. H. Pescha „Frei sein aus Gnade. Theologische Anthropologie“ (Wolnym być z łaski. Antropologia teologiczna, Freiburg, Basel, Wien 1983). W dwa lata później ukazała się książka, która stanowi zapis wygłoszonych referatów i dyskusji.

Inicjatorem spotkania i koryfeuszem najnowszego nurtu antropologicznego w teologii był wspomniany W. Pannenberg. Urodził się 2 listopada 1928 r. w Szczecinie. Odbił gruntowne studia teologiczne i filozoficzne w Berlinie, Getyndze, Bazylei i Heidelbergu, gdzie w 1955 r. uzyskał habilitację. Od 1967 r. pracuje na wydziale teologii protestanckiej uni-

wersytetu monachijskiego jako profesor teologii systematycznej. Czynn timer działa w zarządzie instytutu teologii fundamentalnej i teologii ekumenicznej. Opublikował wiele pozycji, m.in. „Offenbarung als Geschichte” (Objawienie jako dzieje, 1961), „Was ist der Mensch” (1962; wyd. pol. Kim jest człowiek? Paris 1978), „Thesen zur Theologie der Kirche” (Tezy do teologii Kościoła, 1977), „Wissenschaftstheorie und Theologie” (Teoria nauk i teologia, 1973), „Ethik und Ekklesiologie” (Etyka i ekklezjologia, 1977), „Die Bestimmung des Menschen” (Określenie człowieka, 1978) i wspomnianą już antropologię. Jednym z dominujących nurtów myśli Pannenberg jest właśnie problematyka antropologiczna, a ściślej relacja między teologią a naukami przyrodniczymi na polu antropologii. Omawiana książka jest odbiciem tych tendencji. Referaty w niej przedstawione oraz fragmenty dyskusji odnoszą się do zagadnienia wymiaru religijnego człowieka, zapoznanego przez współczesną antropologię biologiczną, psychologiczną czy socjologiczną.

Zagadnienie wymiaru religijnego w antropologii nauk przyrodniczych podjęli na sympozjum trzej referenci: W. Pannenberg – „Religia i ludzka natura” (s. 9–24), H. Beitsch – „Czy antropologia przyrodnicza może dać odpowiedź na pytanie o religijną naturę człowieka” (s. 25–42) i G. Dux – „O historyczne miejsce religii” (s. 43–72).

W. Pannenberg dotknął wspomnianego już problemu odcinania się współczesnych nauk o człowieku (psychologii, biologii, genetyki, socjologii, paleologii, itp.) od zagadnienia

religijności, podkreślając, że religijność jest jednym z wymiarów, które odróżniają człowieka od zwierząt wyższych. Religijna „próżnia” w antropologii jest jeszcze bardziej niezrozumiała w kontekście badań nad sposobami grzebania zmarłych, podstawami kultur pierwotnych, kształtowaniem mowy i świadomości, gdzie religia jawi się jako istotny aspekt egzystencji i dziejów człowieka. Dlatego Pannenberg ostrzega, że wyparcie pierwiastka religijnego z terenu zainteresowań nauk antropologicznych może doprowadzić do skutków, na które ongiś wskazywał Freud w odniesieniu do potrzeb seksualnych. Antropologia nie musi wcale udowadniać istnienia Boga. Wystarczy, że nie będzie pomijać dziedzin i funkcji, które wskazują, iż *człowiek jest z natury religijny, a religia, niezależnie od formy, jest koniecznym wymiarem jego życia* (s. 23).

H. Beitsch podejmując zagadnienie religii w antropologii przyrodniczej wskazał na uwarunkowania i implikacje pozanaukowe nauk o człowieku. Nie kto inny jak Karol Marks dedykował „Kapitał” Darwinowi, a powstały w 1925 r. Antropologiczny Instytut Cesarza Wilhelma w Berlinie stał się, wbrew pierwotnym założeniom, rzecznikiem rasizmu lansowanego przez NSDAP. Wierni temu duchowi niektórzy antropolodzy przyjmowali, iż nierówność ras jest zgodna z porządkiem Bożym. Właśnie w tym Beitsch widzi jedną z przyczyn alergii nauk antropologicznych na tematykę religijną. Mimo to, podkreśla autor, współczesny antropolog również potrzebuje kryteriów, które decydują, czy *życie jest na tyle wartościowe, aby je ochronić, czy też nie*

(s. 41). Otwarte pozostaje zatem dramatyczne pytanie o cel i sens życia, wobec którego antropologie szczegółowe są wyraźnie bezradne, a które tak poczesne miejsce zajmuje choćby w teistycznej antropologii V. E. Frankla.

G. Dux zajął się w swoim referacie aspektem socjologicznym i historycznym religii. *Historia może być rozumiana jako postęp w samoświadomości, jak również jako postęp ku wolności /.../ Jeżeli religia jest włączona w ten proces, wtedy także ona uczestniczy w wyzwaniu twórczych możliwości człowieka* (s. 72).

Nowe ujęcie antropologii teologicznej prezentują w książce autorzy wspomnianych dzieł antropologicznych: Pannenberg i Pesch. Zdaniem Pannenberga cała nowożytność skoncentrowana jest na człowieku. *Po wojnach konfesyjnych XVII wieku należało odbudować kulturę publiczną i społeczeństwo, przenosząc się ponad sporami wyznaniowymi /.../ Przedtem religia była podstawą porządku społecznego, teraz stał się nią człowiek* (s. 87). Ujawniło się to w nowym stylu myślenia filozoficznego (subiektywizm kartezjański) oraz w naukach przyrodniczych. Również argumentacja ateistyczna zaczęła skupiać się na antropologii (L. Feuerbach). Z tych względów, postuluje Pannenberg, antropologia winna stać się fundamentem teologii systematycznej. Zdaniem tego typu teologii fundamentalnej będzie wykazywanie, że wymiar religijny należy do istotnych fenomenów rzeczywistości ludzkiej. Czy to rozpatrując człowieka z pozycji teologicznych jako stworzonego na podobieństwo Boże i grzesznego, czy też z punktu widzenia antropologii

naturalnych jako poszukującego własnej tożsamości, obserwuje się w nim charakterystyczną otwartość (Weltöffentlichkeit) i fundamentalne zaufanie do rzeczywistości (Grundvertrauen). Owe otwartości i zaufania nie zapewnia ani nie spełnia żadna społeczność, kultura czy cywilizacja. Człowiek swoim nieustannym „tak”, afirmacją istnienia i zaufaniem zakłada rzeczywistość nieskończoną i wskazuje na otwartość swego bytu na Boga. W przeciwieństwie do Pannenberga Pesch oparł antropologię na teologicznej nauce o usprawiedliwieniu. Nie chodzi tu, jak stwierdza, o wzbudzanie starych sporów konfesyjnych, lecz o ukazanie ludzkiej nieporadności w obliczu grzechu. Bez łaski Bożej człowiek nie może być wolny. To właśnie łaska jest źródłem wolności i to w potrójnym znaczeniu: wolności, którą mamy (zdolność do wolnego wyboru); wolności, którą jesteśmy (otwartość na świat); wolności, której szukamy (rozwój ludzkich możliwości). Dlatego, według Pescha, we współczesnych poszukiwaniach antropologicznych należy położyć większy nacisk na doświadczenie łaski.

W obu koncepcjach antropologii teologicznej świat jest pośrednikiem, niejako tłumaczem w rozmowie Boga z człowiekiem. Mamy tu zatem do czynienia z próbą odnowienia teologii naturalnej w ramach teologii protestanckiej. U Pannenberga jednak antropologia została ujęta w perspektywie teologicznej, a więc zakłada szerszą współpracę z naukami szczegółowymi. Pesch natomiast reinterpretuje Objawienie, dlatego jego antropologia jest sensu stricto teologiczna. Sądzi on, że istnieją pojęcia czy-

sto teologiczne, np. grzech, których ani psychologia, ani socjologia, ani antropologia naturalna nie wyczerpują. Choć jest to koncepcja słuszną, to jednak trąci ona dualizmem antropologicznym. Sytuację tego dualizmu przeżywa również współczesny człowiek. Dlatego doniosłe znaczenie ma propozycja Pannenberg, by w odpowiedzi na pytanie postawione w tytule miały również udział nauki przyrodnicze.

Książka zasługuje na uwagę nie tylko dlatego, że podejmuje nurtujący od wieków problem „ludzkiej teotropii”. Oryginalny jest tu przede wszystkim sposób rozwiązania go poprzez dialog teologii z naukami naturalnymi. Stanowi ona właściwie pierwszą krytyczną próbę refleksji nad zainspirowaną przez Pannenberg współpracą teologii z naukami o człowieku. Dla wszystkich, którzy chcieliby bliżej zapoznać się z jego antropologią, ten skromny objętościowo tomik może spełnić rolę doniosłego wprowadzenia.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Chociaż spotkanie w Regensburgu zostało zorganizowane przez Katolicką Akademię w Bawarii, to należy pamiętać, że W. Pannenberg i O. H. Pesch są teologami ewangelickimi. Z tej przyczyny, jak i z racji licznych zbliżeń myśli Pannenberg do katolickiej teologii naturalnej, wydźwięk ekumeniczny dzieła jest szczególnie uderzający.

Jacek Szklarek

sesje • sympozja

Literatura źle obecna – ciąg dalszy rekonesansu

Od 4 do 7 maja 1987 r. na gościnnym terenie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego odbywała się druga już sesja o literaturze „źle obecnej”, czyli emigracyjnej i „drugoobiegowej”, tej, która nie ma – a raczej, powiedzmy optymistycznie, nie miała dotąd – szans wejścia w szeroki obieg czytelniczy. Gdy w październiku 1981 r. trwała pierwsza tego rodzaju sesja, zorganizowana przez Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, referenci i słuchacze mieli nadzieję, że literatura „źle obecna” będzie coraz lepiej obecna w świadomości czytelniczej. Niestety, nadzieja ta nie spełniła się i nawet materiały z tamtej, IBL-owskiej sesji są do dziś trudno dostępne.

Sześć lat temu swoje prace prezentowali wybitni badacze i krytycy literatury, w roku 1987 na sesji zorganizowanej przez Koło Naukowe Polonistów – Studentów KUL swoje referaty czytali studenci z ośmiu uniwersytetów – Jagiellońskiego, Łódzkiego, Śląskiego, Wrocławskiego, z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz obu uniwersytetów lubelskich (KUL-u i UMCS).

Uczestnicy wysłuchali 24. referatów, obrady trwały cztery dni. Liczby te są imponujące, ale z drugiej strony

zmuszają do smutnej refleksji – oto wciąż w PRL istnieje literatura dobrze i źle obecna, dobrze i źle widziana przez oficjalną politykę kulturalną. Wszyscy uczestnicy lubelskiej sesji na pewno zgodziliby się z opinią prof. Janusza Sławińskiego otwierającego obrady w IBL PAN sześć lat temu: *Historykowi piśmiennictwa polskiego doby powojennej wszelkie dociekania nad literaturą „źle obecną” /.../ wydać się muszą niekompletne, jeśli dotyczyć będą tylko jej wyłączenie /.../ Z historycznoliterackiego punktu widzenia bowiem /.../ literatura „źle obecna” nie jest całością samowystarczalną: objawia nam swój sens istotny i prawdziwą wartość wtedy dopiero, gdy rozważa się ją w odniesieniu do drugiego członu opozycji, to znaczy do literatury „lepiej obecnej”: publikowanej przez państwowe oficyny wydawnicze, popularyzowanej, komentowanej, umieszczanej na listach szkolnych lektur, popieranej i nagradzanej, a w najgorszym wypadku – przynajmniej tolerowanej.*

Trudno nie zgodzić się z tą opinią, trzeba jednak pamiętać, że – nie z winy samych literaturoznawców – pewna część literatury polskiej wybitnej pod względem artystycznym pozabawiona jest możliwości dotarcia do szerokich kręgów czytelnich, a nawet do środowisk polonistycznych. Trzeba więc głośno dopominać się o „lepszą obecność” literatury dotąd „źle obecnej”. Dlatego też w obecnej sytuacji istnieje potrzeba prowadzenia odrębnych, intensywnych badań nad „źle obecną” literaturą. Ktoś mógłby sądzić, że badania te to jakiś podejrzany margines w pracach literaturoznawczych. Nic bardziej błędnego. Stanowią one ważny wkład w pracę nad ochranianiem suweren-

ności kultury polskiej. Warto chyba w tym miejscu przytoczyć słowa, które Jan Paweł II wypowiedział 2 czerwca 1980 r. w siedzibie UNESCO: *Strzeżcie wszystkimi dostępnymi Wam środkami tej podstawowej suwerenności, którą każdy Naród posiada dzięki swej kulturze. Strzeżcie jej jak żrenicy oka dla przyszłości wielkiej rodziny ludzkiej. Strzeżcie! Nie dopuszczajcie, aby ta podstawowa suwerenność stawała się tępem jakichkolwiek interesów politycznych czy ekonomicznych. Nie dopuszczajcie, aby padła ofiarą różnego rodzaju totalitaryzmów, różnego rodzaju imperializmów czy hegemonii, dla których człowiek liczy się tylko jako przedmiot dominacji, a nie jako podmiot własnego człowieczego bytowania.*

Wiele dzieł dotąd zapomnianych i przemilczanych jest częścią literatury polskiej, częścią suwerennej polskiej kultury. Warto w tym miejscu wspomnieć, którym autorom i dziełom poświęcili swoją uwagę uczestnicy sesji.

Pięć referatów dotyczyło twórczości Czesława Miłosza. Tomasz Królak mówił o problematyce twórczości w poezji autora „Ocalenia” w latach 1940–45, natomiast autorzy czterech pozostałych referatów omówili te utwory, które nie dotarły jeszcze do szerszego obiegu (Marek Biernacki – „Misterium istnienia. Próba interpretacji «Nieobjętej ziemi» Miłosza”; Grzegorz Hajkowski – „Oswajanie Ameryki. Kracja narratora w «Widzeniach nad Zatoką San Francisco»”; Dariusz Pawelec – „«Zniewolony umysł». Fakt polityczny czy literacki?”; Witold Urbańczyk – „Z dziejów odbioru «Zniewolonego umysłu»”). Nie mniejszą popu-

larnością cieszyły się problemy życia, twórczości i krajowej recepcji dzieł Józefa Mackiewicza przedstawione w dwóch obszernych referatach Wacława Lewandowskiego (biografia oraz recepcja twórczości Mackiewicza) oraz wystąpieniach Mieczysława Przebiegla i Wiktora Szwai. Referaty te oraz burzliwe dyskusje wykazały, że badania nad tym jakże kontrowersyjnym pisarzem są konieczne i mogą wnieść jeszcze wiele nowego. Trzeci pisarz, któremu poświęcono sporo uwagi, to Aleksander Wat. O jego twórczości mówili na sesji Agnieszka Piwowska i Adam Dziadek. Nieobecność tego pisarza w powszechnej świadomości czytelniczej to zjawisko zatrważające. Na sesji nie mogło zabraknąć dyskusji o poezji Stanisława Barańczaka i Adama Zagajewskiego – twórców, których wypowiedzi poetyckie i programowe w sposób istotny wpłynęły na kształt polskiej literatury lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Referaty były poświęcone głównie ich najnowszej twórczości emigracyjnej (Marcin Baran – „Amerykańskie odejścia i powroty Stanisława Barańczaka”; Piotr Michna – „Nowomowa w poezji Barańczaka”; Joanna Michlic – „Paradoksy zaangażowania w twórczości Adama Zagajewskiego”; Krzysztof Koehler – „Niedokończony dom. O najnowszych wierszach Zagajewskiego”). Ważną częścią sesji były referaty omawiające wciąż nie docenianą, a raczej po prostu nie znaną twórczość Andrzeja Bobkowskiego (Henryk Feliks – „O nowelach i opowiadaniach Bobkowskiego”; Andrzej Nowojski – „W stronę wolności. O «Szkicach piórkiem» Bobkowskiego”).

Referat Artura Fryza poświęcony był zjawisku, którego nie można pominąć w badaniach nad poezją polską lat osiemdziesiątych („Przekraczanie zamkniętej przestrzeni. O poezji stanu wojennego”).

Pojedyncze referaty poświęcono twórcom, których dzieła wciąż powinny być na nowo interpretowane, a przede wszystkim wydawane (Paweł Berłowski mówił o prozie Andrzeja Chciuka, Maciej Mazurek o esejach Józefa Czapskiego, Katarzyna Piekara o opowiadaniach Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Renata Bucka o poezji Wacława Iwaniuka, a Zdzisław Rzońca o „Małej Apokalipsie” Tadeusza Konwickiego; Andrzej Lewandowski analizował „Miazgę” Jerzego Andrzejewskiego).

Myślę, że nawet powyższe suche wyliczenie tytułów referatów wiele mówi o zakresie pracy młodych badaczy literatury polskiej. Niestety, wiele wybitnych zjawisk literatury emigracyjnej nie stało się przedmiotem obrad na sesji. O tym, co pozostaje do zrobienia w przyszłości, o bardzo wysokim poziomie większości przedstawionych referatów mówił, podsumowując obrady, doc. Krzysztof Dybiak z KUL-u, kurator tamtejszego Koła Naukowego Polonistów, uczestnik pierwszej sesji o „Literaturze źle obecnej”. Obradom przysłuchiwali się wytrwale również inni pracownicy naukowcy KUL-owskiej polonistyki – prof. Maria Jasińska-Wojtkowska, dr Hanna Filipkowska, prof. Stefan Sawicki, dr Władysław Panas. Ważna dla uczestników sesji była również symboliczna obecność prof. Tymona Terleckiego z Londynu, wybitnego eseisty, teatrologa, historyka literatury, który przesłał uczestnikom spot-

kania list z serdecznymi pozdrowieniami.

W swoim zagajeniu podczas otwarcia obrad Waldemar Gasper, prezes Koła Naukowego Polonistów – Studentów KUL mówił o konieczności prowadzenia intensywnych badań nad literaturą „źle obecną”, a także o potrzebie integracji tych badań. Teraz, gdy sesja już się zakończyła, można śmiało powiedzieć, że oba te postulaty mają pełną szansę realizacji. Organizatorom sesji, studentom polonistyki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, winni są wdzięczność wszyscy ci, dla których ważna jest niezakłamaną wiedzą o najnowszej literaturze polskiej.

Piotr Wilczek

czasopisma

Prasa o gospodarce (53)

Jest nowe pismo. „Res Publica”, której pierwszy numer ukazał się w czerwcu 1987 r. Inicjatywa ciekawa, bowiem, zmieniająca nieco wygląd pola uprawianego przez środki społecznego przekazu w Polsce. Miesięcznik ten jest bowiem niezależny od dotąd występujących na rynku dwóch, nieproporcjonalnych wprowadzie, ale największych wydawnictw: państwa i Kościoła. Powołała go grupa osób ze znanym publicystą „Tygodnika Powszechnego” Marci-

nem Królem na czele. Wydawcą jest Spółka z Ograniczoną Odpowiedzialnością pod tą samą nazwą. Grupa ta pragnie wypowiadać się niezależnie, zapewne trochę bulwersując, bowiem adresuje swe pismo *do tych, którzy chcą uczestniczyć w otwartej dyskusji*. Czy będzie to konkurencja dla już istniejących pism? A niech sobie nawet będzie – znam większe kłopoty, które na nas mogą spadać. Kłopot nadmiaru konkurencji zaliczam do najmniejszych.

W pierwszym numerze znajduję wśród licznych poruszanych tematów jeden tekst dotyczący problemów gospodarczych. Moim zdaniem to trochę za mało jak na najpoważniejszy obecnie problem krajowy, mogę jednak mieć nadzieję na przynajmniej jeden tekst w każdym numerze pisma.

Michał Zieliński w artykule „Chińczycy trzymają się mocno?” rozprawia się z dość powszechnym mitem, a może lepiej powiedzieć: pułapką, w jaką wpadli komentatorzy spraw chińskich na całym świecie, a nie tylko u nas – iż reforma systemu gospodarczego jest już spełnieniem nowego systemu. Zainteresowanie reformami chińskimi w świecie było wielkie. Czytając rozliczne komentarze można było odnieść wrażenie, iż JUŻ mamy do czynienia z zupełnie przemodelowanym krajem. Tymczasem rzeczywistość jest inna, bo i trudno sobie wyobrazić, iż długoletni stan rzeczy, przez lata krzepnące struktury i sposoby funkcjonowania można będzie w tak olbrzymim kraju zmienić od zaraz.

Najpierw: dlaczego ChRL musiała tak czy inaczej przystąpić do reform? *Otóż, śmiem twierdzić, że wszystko co nowe zdarzyło się w ChRL od 1978 roku i być może zdarzy się jeszcze, spo-*

wodowane jest istnieniem czterech pozostałych „państw” chińskich. A mówiąc ściślej – ich wynikami gospodarczymi. W chwili startu, to jest na przełomie lat czterdziestych, poziom rozwoju gospodarczego: ChRL, Makau, Singapuru i Tajwanu był zbliżony i wyrażał się poziomem dochodu narodowego per capita rządu ok. 50 dol. W lepszej ok. dwukrotnie sytuacji znajdował się Hongkong. Podkreślić przy tym trzeba, że wymienione kraje, podobnie jak cała reszta – z wyjątkiem Japonii – Azja, zaliczały się do najstabilniej rozwiniętych na świecie. Warunki startu do wyścigu gospodarczego były więc zbliżone. Różne natomiast jego wyniki. W połowie lat siedemdziesiątych dochód narodowy w przeliczeniu na jednego mieszkańca wynosił w: Hongkongu – ok. 7 tys. dolarów, Singapurze – 6 tys. dol., Tajwanie i Makau po ok. 4 tys. dolarów oraz w ChRL ca 350–500 dolarów... Sukcesy krajów leżących za miedzą, gdzie mieszkają i pracują także Chińczycy – byłoby trudno dłużej tłumaczyć własnemu, zbiedzonemu szczególnie po latach „rewolucji kulturalnej” społeczeństwu, nawet przy ograniczonym dostępie do informacji. Na dłuższą metę kierownictwo chińskie na pytanie własne i społeczeństwa, dlaczego tam wychodzi, a u nas nie, musiało dać odpowiedź, iż to właśnie wysoce scentralizowany i upaństwowiony system gospodarczo-polityczny z takim samym zarządzaniem – jest niewydolny. Oczywiście, biorąc pod uwagę stan odniesienia w postaci systemu gospodarczego lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, zasięg reform w ChRL był i jest ogromny. Wynika to jednak bardziej z właściwości stanu początkowego niż obecnego i przewi-

dywanego kształtu gospodarki. Wbrew bowiem rozpowszechnionej, również w Polsce, opinii, że w ChRL tworzy się – przynajmniej w gospodarce – nowa jakość łącząca właściwości systemów: socjalistycznego i kapitalistycznego, twierdzę, iż zmiany te nie wykraczają poza ramy klasycznej, centralnie kierowanej gospodarki państwowej. Nie prowadzą także – tu w pełni zgadzam się z oficjalnymi enuncjacjami kierownictwa chińskiego – do restytucji kapitalizmu.

Tu autor wymienia najważniejsze zmiany, jakie zaszły w gospodarce chińskiej, od pewnej prywatyzacji po tworzenie rynku. W porównaniu z „rewolucją kulturalną” są to być może zmiany rewolucyjne. W zestawieniu z systemem gospodarczym Jugosławii, Węgier czy nawet Polski nie sprawiają one jednak wrażenia zbyt radykalnych... Jest jeszcze inna zmiana. Najbardziej spektakularna i przynosząca najwięcej korzyści gospodarce: wykorzystanie obcego kapitału. Istotnie napłynął. Chińczycy jednak, w obawie i przed popadnięciem w pułapkę zadłużenia, i przed napływem obcego stylu życia – zastosowali metodę filtrów. Rolę owych filtrów pełnią tzw. specjalne strefy ekonomiczne powołane w sierpniu 1980 r. Zlokalizowane zostały w dwóch nadmorskich prowincjach na południu Chin (Guandong i Fujian), z których wywodzi się większość emigrantów chińskich i Chińczyków kontynentalnych żyjących na Tajwanie. Największa z tych stref (350 km kw.), Shenzhen, otacza ze wszystkich stron Hongkong. Podobną funkcję w stosunku do Makau pełni SSE Zhuhai, dwie pozostałe – Shantou i Xiamen – położone są nad Cieśniną Tajwańską, w miejscu, gdzie odległość między kon-

tymentem i wyspą jest najmniejsza. /.../ Kapitał obcy otrzymał nieźle warunki działania, a ChRL – poza korzyściami ekonomicznymi otrzymała okno reklamowe prowadzonej polityki gospodarczej... Ma to tym większe znaczenie wobec potrzeby wpływania uspokajająco na mieszkańców Makau, Hongkongu i Tajwanu w kontekście połączenia z macierzą. Pewną formą zysku czy ściślej korzyści, polegającą na minimalizacji strat, jest również wzmiankowana rola „filtrów”, filtrów tym szczelniejszych, iż w ostatnich latach strefy odgradzono od reszty kraju płotem, wstęp do nich możliwy jest jedynie dla posiadaczy specjalnych przepustek. W przypadku największej strefy – Shenzhen – było to przedsięwzięcie wymagające postawienia 60 km płotu, o koszcie, podaje na odpowiedzialność tygodnika „The Economist”, 47 mln dolarów.

Czy z ekonomicznego punktu widzenia „polityka otwarcia” przyniosła korzyści Chinom? Niewątpliwie. W latach 1979–86 napłynęły do Chin. Ale w przeliczeniu na głowę mieszkańca wyniosło to 40 dol., podczas gdy wykorzystane w Polsce kredyty w latach siedemdziesiątych wynosiły 700 dol. W każdym razie było to więcej niż całość nakładów na plan Marshalla, a ponadto umożliwiło dostęp nowoczesnej technologii do Chin. Gdybyśmy natomiast przeciętny poziom życiowy w Chinach próbowali zestawić ze standardami europejskimi (to w kontekście doniesień o boomie konsumpcyjnym – przyp. S. S.), to charakteryzują go wskaźniki zbliżone do tych, które w Europie (wschodniej) osiągnięte zostały przed mniej więcej dwudziestu laty... Nic ma zaś co ukrywać, iż w dzisiejszych czasach nie

huty, a jakość życia narodów mówi o sile ich gospodarki.

Jak również sprawa ostatnia: zakres swobód obywatelskich. Ten istotnie się zwiększył. Chińczycy przestali być prawnie przypisani do zakładu pracy, możliwe stały się w pewnej skali wyjazdy zagraniczne, zwiększyło się poczucie bezpieczeństwa obywateli. Konfucjusz powrócił na swoje miejsce na piedestale narodowym, co nie jest bez znaczenia również dla swobód religijnych. Chociaż swobody te – zgodnie z Konstytucją ChRL – nie dotyczą kościołów i organizacji religijnych, które podlegają instytucjom zagranicznym... W rezultacie: Przy ocenie aktualnego stanu swobód społecznych w ChRL istnieją również wielkie niebezpieczeństwo przeceniania „chińskiej specyfiki”, powoływania się na wieloletnią tradycję władzy absolutnej i struktur społecznych, w których człowiek był tylko „trybikiem w maszynie”. Dość szczęśliwe jest tutaj to, iż o naszej gospodarce często słyszymy z ust zagranicznych obserwatorów opinie „to straszne – ale może im z tym dobrze”.

Stawomir Siwek

O społeczeństwie i kulturze (4)

We wrześniowym numerze „PP” przytoczyłem ciekawą wypowiedź prof. Gierowskiego uważającego, że jednym z podstawowych warunków przezwyciężenia nekującej nasze społeczeństwo dezintegracji jest odbudowa zaufania. Dziś chciałbym zasygnalizować bardzo interesującą wypowiedź Gustawa Holoubka dotyczącą

tej samej sprawy („Lekki brak sensu. Z Gustawem Holoubkiem rozmawia Bogusław Szostkiewicz”, „Polityka” nr 32, 8 VIII 1987 r.). Na pytanie, co i jak można jeszcze odbudować w teatrze i kulturze, G. Holoubek odpowiada: *Byłoby to możliwe, wręcz konieczne, gdyby zostały spełnione określone warunki. Podstawowym jest przywrócenie zaufania wobec środowisk tych, którzy pełnią władzę i decydują o rozwoju kultury. Ten brak zaufania, więcej nawet – pewne tendencje likwidacyjne wobec tego, co było, nie sprzyja temu rozwojowi i nie pozwala, aby rzeczy zaczęły się toczyć swoim normalnym trybem. Nie pora i miejsce w naszej rozmowie, aby przedstawiać rachunek win i zasług. I choć być może jest to konieczne, by mogło nastąpić oczyszczenie, zająć by się tym należało w sposób uczciwy, to znaczy taki, w którym za podjętymi decyzjami stałyby niekwestionowane autorytety po każdej stronie sporu. Stwarzanie sytuacji, w której tylko jedna ze stron ma rację, nie prowadzi do pojednania. Zresztą nie nazywajmy tego w ten sposób. Samo pojednanie niczego jeszcze nie załatwia. Nie chodzi przecież o rzucanie się sobie w ramiona, przebaczenie grzechów. Innymi słowami nie chodzi o zabliznianie ran – idzie o zlikwidowanie źródła powstawania owych ran. A więc powrót do przestrzegania praw rządzących naturą twórczości. A owe prawa nie są wymysłem ostatnich lat, ani mód politycznych, ani nawet racji stanu. Są sprawdzonym od stuleci systemem, którego treścią jest poszukiwanie prawd o sensie egzystencji ludzkiej, a formą jest osobowość, odrębność poszukiwacza, odkrywcy owych prawd. Jeśli się tak dzieje, nie trzeba nikogo*

mianować artystą, on sam się znajdzie, gdyż będzie musiał dać świadectwo swoich kompetencji. Nie można też nikomu odebrać tego tytułu, gdyż nie jest temu winien, że został nim obdarzony.

Chciałoby się dodać, że te uwagi – w istotnej mierze – można i trzeba odnieść także do innych środowisk czy sektorów naszego społecznego życia, jeśli naprawdę zależy nam nie na zabliznianiu ran, ale na likwidowaniu źródła ich powstawania. Respektowanie naturalnych praw rządzących daną dziedziną rzeczywistości stanowi tu bezwarunkowy wymóg. Do takich praw zaliczyłbym np. sformułowaną przez prof. J. Baszkiewicza dyrektywę działania, że to, co się już zreformuje, ulegając zasadnej presji społecznej, nie może być cofnięte, gdy presja taka zniknie (B. Łagowski, J. R. Nowak, W. Rydzewski, „Jestem starym jakobinem. Trzech na jednego z J. Baszkiewiczem”, „Zdanie” 6/87). Nieprzestrzeganie tej zasady przynosi, być może, doraźne sukcesy polityczne, ale przekreśla podstawową dla społecznego zdrowia kwestię zaufania. W kluczowym sporze między rządzącymi a rządzonymi nie sposób zrobić decydującego kroku we właściwym kierunku bez wyraźnego i realnego nawiązania do podpisanych umów społecznych. Sugestia zawarta w przemówieniach Jana Pawła II wygłoszonych podczas ostatniej wizyty w Polsce jest stale aktualna.

Ostry deficyt zaufania zdają się potwierdzać analizowane przez S. Kwiatkowskiego wyniki badań ankietowych, które dotyczyły istniejących w naszym społeczeństwie podziałów („Co Polaków dzieli”, „Polityka” nr 28, 11 VII 1987 r.). Autor stwierdza,

że większość ankietowanych upatruje źródła podziałów, niechęci i konfliktów między ludźmi głównie w przyczynach natury materialnej oraz – w drugiej kolejności – w podziałach na tle politycznym. Na sprawy materialne zwracało uwagę 76–61 proc., czynniki polityczne akcentowało 42–33 proc. ankietowanych. S. Kwiatkowski uważa, że różnice polityczne są sprawą wtórną w porównaniu do niezadowolenia na tle materialnym. Niezadowolenie z położenia materialnego i sytuacji gospodarczej jest przenoszone na stosunek do ustroju, oceny sposobu sprawowania władzy oraz utrwalane w formie poglądów politycznych. Wypowiedzi polityczne mają związek nie tylko z oceną zjawisk politycznych, lecz zależą od tego, co dzieje się w gospodarce i w społeczeństwie, od sytuacji materialnej ludzi, jak widzą przyszłość i szansę dla siebie. Niezależnie od tych interpretacji lista grup uważanych za najbardziej uprzywilejowane przedstawia się bardzo niekorzystnie dla aparatu rządzącego. Oto ona: 1. władza, promineni, ludzie na stanowiskach (30,5 proc.); 2. milicja, pracownicy MSW, ORMO (22,4 proc.); 3. prywatna inicjatywa, rzemieślnicy, polonusy, badylarze (21,8 proc.); 4. pracownicy aparatu partyjnego (19,9 proc.); 5. wojsko (13,9 proc.); 6. kadra administracyjna na wyższych stanowiskach (13,7 proc.); 7. ludzie z marginesu, spekulanci (8,3 proc.).

W tym samym numerze „Polityki” M. Marody zauważa, że niektóre wyniki badań CBOS zdają się sugerować możliwość wygasania dotychczasowego konsensusu między władzą a społeczeństwem, konsensusu opartego na akceptacji i ochronie – przez obie strony – dwu podstawowych war-

tości: „spokoju społecznego” i „bezpieczeństwa socjalnego” (M. Marody, „Między współpracą a odrzuceniem”). Dane te – kontynuuje autorka – można podsumować stwierdzając, że pierwszy okres tzw. normalizacji, lata 1983–1985, z towarzyszącym mu wzrostem „drugiego obiegu” gospodarczego, słabym ale zawsze wzrostem płac wyprzedzającym wzrost kosztów utrzymania, poprawą zaopatrzenia oraz nadzieją na reformę, która radykalnie zmieni sytuację gospodarczą kraju, rozbudziły w społeczeństwie oczekiwania, których zasadność została mocno podważona w ostatnim okresie. Socjologowi taki opis dynamiki stanu świadomości potocznej przywodzi na myśl znaną teorię, że manifestacje niezadowolenia ujawniają się, gdy po okresie rosnących oczekiwań następuje okres ich załamania. Osobiście sędzę, że prognoza ta nie musi być najbardziej prawdopodobną, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę, iż nadal utrzymuje się względnie wysoka ranga drugiej wartości leżącej u podstaw dotychczasowego konsensusu, tj. „spokoju społecznego”. Z drugiej jednak strony, ukształtowany w poprzednich latach nawis oczekiwań i wzmożone w ostatnim okresie zaniepokojenie ich inflacją stwarzają sytuację, której możliwość podtrzymywania gospodarczego status quo również wydaje się mało prawdopodobna. Można sądzić, że ten nawis oczekiwań i zaniepokojenie ich inflacją dotyczą nie tylko spraw ekonomicznych z reformą gospodarczą włącznie, ale określają generalnie stan społecznych nastrojów.

Na koniec jeszcze jedna sprawa dotycząca bardziej kościelnego „podwórka”. W „Tygodniku Powszechnym” nr 29 (19 VII 87 r.) ks. bp

Kazimierz Romaniuk zareagował szybko na rzeczowy artykuł F. Chirpaza opublikowany w „Etudes” nr 6/87. Przyznam, że byłem tą reakcją nieco zdziwiony. Ks. biskup czyni wszystko, by w artykule F. Chirpaza znaleźć potwierdzenie swojej tezy o rzekomym zarzucie tryumfalizmu kierowanym pod adresem polskiego duchowieństwa. Nie wiem, czy zarzut taki byłby słuszny, czy nie – to sprawa do dyskusji. Można by o tym po prostu napisać bez uciekania się do zawilej i dyskusyjnej „egzegezy” tekstu F. Chirpaza, w której domysły biorą górę nad faktami. Znamienne zresztą, że z całego artykułu zawierającego *wiele spostrzeżeń, niekiedy całkiem trafnych i oryginalnych* na temat *pol- skich pespektyw* zaintrygowały ks. biskupa jedynie zdania dotyczące oceny polskiego duchowieństwa.

G. S.

radio - telewizja

Podgrzewacze

Mówienie o magii telewizji jest banałem. To rzeczywiście jest jakiś rodzaj czarów. Wszystko tu jest sztuczne i – co dziwniejsze – sztuczność ta zniewala człowieka. Nie musi odbywać się to tak drastycznie jak w filmie „Rekord” (reż. Daniel Helfer, RFN, 1 lipca br., pr. 2), ale przecież każdy z telewizorów w mniejszym lub większym stopniu poddaje się elektronicznemu obrazowi. Teren to wciąż mało poznany; na dobrą sprawę nie

wiadomo, jakie są GŁĘBOKIE SKUTKI obecności telewizji we współczesnej kulturze masowej: skutki psychologiczne, artystyczne, polityczne... Możemy tylko domniemywać, że ten środek przekazu wywiera silny wpływ na psychikę odbiorcy atakując jego podświadomość. I to jest bodaj najistotniejsze. Nie ma, jak się zdaje, bezpośredniego związku np. między emisją filmów gangsterskich a wzrostem liczby rozbojów czy między falą seksu na szklanym ekranie a czynami nierządymi rejestrowanymi przez prawo. Wolno jednak przypuszczać, że odpersonalizowanie śmierci i miłości nie przechodzi bez echa, że pozostawia jakiś ślad. Może zresztą trzeba tu pisać o „rysie”, której głębokość i trwałość trudne są do jednoznacznego określenia – jeśli w ogóle jest to możliwe!

Dysponujący telewizją mają w ręku broń dalekiego i głębokiego rażenia. Nic więc dziwnego, że telewizje rządowe całego cywilizowanego świata unikają jawnego propagowania przemocy. Ale przemoc, brutalność, erotyzm i instrumentalne traktowanie ludzkiego ciała są zarazem tymi odwiecznymi tematami, którymi żywi się literatura, plastyka; dziś film i telewizja. Tak więc powraca problem sposobu ukazywania tych sfer, tak dyskutowany kiedyś przy okazji pojawienia się „czarnej” serii w „literaturze katolickiej” (Bernanos, Mauriac, G. Green i in.). Są to sprawy trudne. To jest fotogeniczne. Płynna też jest granica między kompromitowaniem zła a jego propagowaniem. W telewizji zdumiewająco łatwo dochodzi do podmiany wartości. Każde „podgrzanie” daje efekt zazwyczaj różny od zakładanego. Telewizja to pracow-

nia alchemika, który nie do końca panuje nad wyzwolonymi przez siebie procesami. A zatem naczelną cnotą ludzi telewizji powinien być umiar i jeszcze raz umiar. Każde bowiem „podgrzanie” wywołuje niedobre skutki. Ci, którzy dmuchają w palenisko, czynią to co najmniej z czterech powodów: z oportunizmu – szefowie lubią, gdy buzuje w kominku; z egocentryzmu – każdy sposób jest dobry, byle dawał popularność; z głupoty – robi się to, co w danej chwili robią inni; z przekonania – świadome działanie motywowane ideologicznie i politycznie. Zdarza się więc, że włączona zostaje dmuchawa w przekonaniu, że byle isierka przerodzi się w spore ognisko. Wbrew pozorom najmniej groźne jest „podgrzewanie” obliczone na szybką korzyść polityczną. Na nerwicową krzątanicę kuchcików odbiorca reaguje na ogół zniecierpliwieniem, z biegiem czasu wytwarza też w sobie blokady działające na zasadzie: im więcej propagandowego zadęcia, tym sprawa jest mniej wiarygodna. Na tym jednak nie koniec: racjonalna postawa obronna albo ulega deformacji całkowitego niemal zamknięcia się słuchacza na argumenty „telewizora”, albo też rozmywa się w przyzwalającym otwarciu uszu na propagandowy terkot traktowany jako jeden z elementów szumu dookolnego ła informacyjnego. Postawa pierwsza grozi doktrynerstwem fundamentalistycznej odmowy, postawa druga prowadzi do relatywizmu politycznego i poniekąd światopoglądowego. Nietrudno spostrzec, że opowiadał się za wariantem trzecim, a mianowicie za chłodnym odbiorem tego, co proponują „podgrzewcze”. Niezależnie, czy są to propagandyści ideologiczni, szo-

winistycznie nastawieni sprawozdawcy sportowi, klakierzy pełniący obowiązki publicystów kulturalnych czy zwykli pyskacze przerabiający codzienną porcję śmieci w celofanie.

Sytuacja po grudniu '81 stworzyła doskonałe warunki dla podgrzewaczy. Przydatni okazali się wtedy ci, którzy potrafili dostrzec żdźbło woku cudzym, nie zauważając belki w swoim. Właśnie tacy byli w cenie! Zburzone zostały hierarchie wartości i ważności w życiu społecznym i kulturalnym. Ważne było wykazywanie, że *postępuje proces normalizacji*. Nic dziwnego, że w takiej atmosferze rośli w znaczenie podejrzeni alchemicy dla ubogich wmawiający słuchaczom i widzom, że miedź zamienia się w złoto. Dziś już publicznie ubolewa się nad tym, ale co zostało zniszczone, nie odbuduje się łatwo i szybko. Adam Hanuszkiewicz jakże słusznie przypominał o karygodnym lekceważeniu ludzi zastużonych dla polskiej kultury (w cyklu Niny Terentiew „Godzina z...”, 5 lipca br., pr. 2), o nonszalanckim stosunku do twórców. Wybitny reżyser obciążył za to ówczesnego ministra kultury. I słusznie. Nie zapominajmy jednak, że ów pan nie był samozwańcem. Wręcz przeciwnie – ministerstwo kultury i sztuki to część systemu władzy administracyjnej i politycznej. To nie przypadek, że w interesującym nas okresie X był sekretarzem KC PZPR zajmującym się sprawami kultury, Y kierownikiem wydziału kultury tegoż Komitetu, a Z właśnie ministrem kultury. Owszem, pomyłki kadrowe zdarzają się wszędzie, ale byłoby pomówieniem twierdzenie, że w jednej sferze życia politycznego zdarzyły się równocześnie aż trzy pomyłki. Mam lepsze zda-

nie o sprawności socjotechnicznej Biura Politycznego i Rządu. Dobrze się stało, że właśnie w telewizji padło stwierdzenie o konieczności *szanowania człowieka*, nawet jeśli jakieś jego poglądy nie są władzy miłe. Dobrze się stało, ale byłoby lepiej, gdyby słów tych nie musiał wypowiadać twórca wyręczając w tym polityków. I to tych, którzy byli i są nadal odpowiedzialni za klimat panujący w kulturze.

Klimat ten zmienia się, łagodnieje, choć daleko mu jeszcze do klimatu rzeczywistocie umiarkowanego. Wiele istotnych problemów pozostaje pod pokrywką, liczni twórcy wciąż żyją na uboczu, środki masowego przekazu nie oddają jeszcze faktycznego stanu nastrojów społecznych. Nadal pole do popisu mają podgrzewacze; mniej jest, co prawda, tych nachalnie propagandowych, więcej za to pospolitych dmuchaczy w telewizyjne palenisko. W sympatycznym mi skądinąd „Tele-*expressie*” (1 lipca br., pr. 1) filmowa migawka z plaży: naga panienka w piasku, obok śmieszny nagus – mężczyzna w sile wieku – z plecakiem i w kapeluszu. I komentarz: ...*amatorów opalania nago jakby mniej*. Powiadam, było to sfotografowane kulturalnie, pani nie była odrażająca, pan był dobrze utrzymany – właściwie, nie ma sprawy. Zastanowił mnie jednak komentarz. Oto milionom widzów podaje się do wiadomości, że jakieś marginalne zjawisko staje się jeszcze węższym, niż było to dotychczas, marginesem. Więc po co, ten materiał filmowy? Jeśli teraz zestawia się fakt nieodnotowywania przez telewizję rzeczywistej atmosfery wydarzeń, w których uczestniczą miliony, z odnotowywaniem drobiazków, których jest zresztą *jakby mniej*, to wnioski nie

mogą być wesołe. Proszę zauważyć, że telewizja z lubością piętnowała – pokazując! – kalendarze ocierające się o pornografię, co było faktycznie reklamą tych wydawnictw. Odnosi się czasem wrażenie, że jest to działanie przewrotne, skarykaturowane realizowanie postulatu pluralizmu: „Chcecie pluralizmu, no to go macie!” Czasem robione jest to wręcz po chamsku. W głównym wydaniu DTV (6 lipca br.) migawki z upalnego dnia w stolicy rozpoczynają się od najazdu na fotografie (!) mizdrzących się pań. Zasłużony kuchcik nie znalazłszy golizny do sfilmowania, posłużył się półpornograficznym chwytem. Ciało kobiety wykorzystane tu zostało w sposób komercyjny, jako przynęta dla widza. A potem było już normalnie: że cuchną rzadko opróżniane śmietniki, że pozamykane sklepy...

W przywoływanym na początku tego tekstu filmie „Rekord” kobieta mówi do mężczyzny maniaczko ogłdającego telewizję: *Jesteś polykaczem śmieci*. Strzeżmy się przed producentami śmieci. Nie dajmy się wciągnąć w telewizyjną sieczkarnię.

M. J.

sztuka

W kotłysce sztuki

Teresa Murak: performance „Pragnienie, czuwanie, czynienie” – Galeria ON, Poznań, luty '87; rysunki „Dla ziemi” – Galeria Pokaz, Warszawa, marzec '87.

Twórczość Teresy Murak budzi coraz większe zainteresowanie, pisało o niej kilku znanych krytyków, zapraszana jest do udziału w znaczących wystawach, również za granicą. Jest to zainteresowanie – w moim przekonaniu – jak najbardziej uzasadnione. Miałem okazję uczestniczyć w performance, który miał miejsce w Poznaniu (a wcześniej w Kolonii, w Moltkerei-Werkstatt). Wkrótce potem oglądałem jej rysunki w Warszawie.

Widzowie przybyli do Galerii ON zastali Teresę Murak w białej, celebrycką przez kilkadziesiąt minut „rozczyn”. Działo się to w ciszy, w skupieniu, z przewagą działania rąk, na koniec z podniesieniem ciasta i podejściem do jednego z widzów. Plakat towarzyszący temu pokazowi zawiera m.in. krótki tekst autorki, który dobrze uzupełnia samą akcję, warto go więc zacytować: *Od pewnego czasu nie opuszcza mnie stan zdziwienia wobec fenomenu rosnącego rozczytu. „Rozczyn” – jest to niewielka ilość ciasta żytniego pozostawiona z poprzedniego wypieku. W zdziwieniu pozostając, nie przekraczam progu, jaki rysuje zdziwienie właśnie, które jest początkiem a zarazem uwieńczeniem filozofii. Pozostaję w bliskości ogrodu.*

Potem był pokaz slajdów dokumentujących różne etapy twórczości artystki, od pierwszych „zasiewów” na początku lat siedemdziesiątych, do których należała własna, zielona koszula z rzeżuchy, obnoszona m.in. po ulicach Warszawy i Lublina i rzeżuchowy „Dywan Wielkanocny”, który pojawił się w kościele i przed kościołem w Kielczewicach (rok 1974!). Dokumentacja obejmowała również realizację ziemną ze Szwecji, projekty rzeźbiarskie oraz ostatnie

instalacje i działania, w których główną rolę odgrywa „rozczyn”.

Rysunki reprezentowane w Galerii Pokaz to rzecz raczej nowa na tle dotychczasowej działalności artystycznej T. Murak. Nie stroniła ona co prawda od obiektów artystycznych – były to ślady po akcjach i działaniach typu performance, np. przekształcenia graficzne zdjęć dokumentujących niektóre stadia zasiewów rzeżuchy. Były to również obiekty przestrzenne przypominające preparaty ze szkolnego gabinetu przyrodniczego. Np. zastygłe w plastyku rękawice z zielonym zasiewem.

Ostatnie rysunki mają autonomiczny byt wobec poprzednich akcji. Dzięki temu są ważne i wymowne. Dopełniają artystyczny program T. Murak, wskazując, że sensu jej twórczości nie da się sprowadzić do kategorii artystyczno-estetycznych, których źródłem jest dwudziestowieczna awangarda i jej postkonceptualna mutacja z lat siedemdziesiątych. Nieco postrzępiona, gęsta materia tych prac, ich brunatnozielona tonacja, szczelinowe światło nawiązują wprost do tytułu całego cyklu – „Dla ziemi”. Jednocześnie w tej gęstej, ziemistej materii rysunkowej zarysowują się kształty figur geometrycznych – trójkąty, koła, półkule. Jest to geometria symboliczna lub – by tak rzec – przed-euklidesowa. Półkule i kwadry są „księżycowe”, ich układy są przenikającymi się wartościami Yin i Yang – tym co męskie i żeńskie. Nie chcę wchodzić w głębsze interpretacje symboliki tych rysunków, korzystam z sugestii samej autorki, która w katalogu wystawy mówi jeszcze o symbolice trójkątów, znaczeniu roślin i ziemi w jej twórczości. Dla mnie

pojawienie się tych rysunków wskazuje, że przesłanie T. Murak realizowane jest wprawdzie artystycznymi środkami, ale jego źródło tkwi gdzieś jeszcze głębiej, że szuka ono wciąż środków, aby zostać usłyszane i zrozumiane.

Myślę, że twórczość T. Murak może być ilustracją do rozważań o świadomości matriarchalnej, lunarnym aspekcie psyche, jej związkach z naturą, lunarnym duchu i czasie, o początku, czekaniu, dojrzewaniu, wzroście i przemijaniu. A także o matriarchalnym ucieleśnianiu i „urzeczywistnianiu” w opozycji do patriarchalnej spekulacji i abstrahowania. Ten psycho-symboliczny aspekt twórczości Murak narzucający się w odbiorze, którego zresztą autorka jest świadoma, potrafi o nim przekonywająco mówić, mógłby zainteresować psychologa lub raczej kulturowo logicznie zorientowanego psychoanalityka. Jest tu dla niego pole do błyskotliwych interpretacji. Moje kompetencje wystarczają zaledwie na kilka uwag o paradoksach współczesnej kultury artystycznej.

Otóż fenomen tej twórczości pielęgnowany jest w Polsce w kręgu środowisk neoawangardy. Charakterystyczne jest np. to, że T. Murak zaproszona została w czerwcu do udziału w wystawie-symposium pt. „Freiraum” zorganizowanej przez znakomicie ostatnio prosperujący ośrodek Jürgena Bluma w Kleinsassen. Impreza pomyślana została jako prezentacja czterech pokoleń polskich konstruktywistów. Znalazła się więc artystka w towarzystwie m.in. R. Wiśniarskiego, K. Sosnowskiego, J. Robakowskiego. Jest to zestawienie – w moim przekonaniu – ognia z wodą.

Znalazła się ona tam również obok K. Malewicza, który w katalogu wystawy otwiera listę nazwisk pierwszej generacji konstruktywistów. Realizacja T. Murak – wielkie płaszczyzny z mokrej ziemi – umieszczona została tak, że mogła sprawiać wrażenie niezależnej całości. Widać również, że artystka miała wątpliwości, czy rzeczywiście jest to wystawa stanowiąca dobry kontekst dla jej twórczości. Pogrążyłem się w lekturze pism Malewicza usiłując dociec, jaki właściwie charakter ma jego mistycyzm i czy czasem, niespodziewanie, może on być kłamrą spinającą jego twórczość z twórczością Murak, niejako ponad intelektualnie wyspekulowanymi albo scjentystycznymi z ducha dziełami polskich konstruktywistów. Nie potrafię rozstrzygnąć tej kwestii. Malewicz pozostaje dla mnie przedziwnie dwoisty, mistyczny i w potocznym sensie racjonalny jednocześnie. Czuję się również trochę zażenowany bezceremonialnością takiego porównania, mimo że nie biorę za nie odpowiedzialności sam, podsunęła je koncepcja wystawy „Freiraum”, którą firmuje kilku poważnych krytyków.

Mogę natomiast powiedzieć tyle: miejsca twórczości T. Murak nie należy szukać w kręgu polskich konstruktywistów. Jest ona zaprzeczeniem spekulacji typu intelektualnego, formalnego i abstrakcyjnego, charakterystycznego dla wielu odłamów awangardy, szczególnie konstruktywistycznej, a także neoawangardy, końca lat sześćdziesiątych z minimal art z konceptualizmem na czele.

Twórczość T. Murak, aczkolwiek korzysta z nowoczesnych środków, a ona sama ma dużą świadomość tego, co robi – o swych przedsięwzię-

ciach potrafi przekonująco mówić – wypływa spod powierzchni świadomości, zaczyna się tam, gdzie słów jeszcze nie ma. Nie posługuje się ona wiedzą kategorialną, sformalizowaną, lecz wpisuje się w rytmy, których charakter może się nawet z tą wiedzą kłócić. Cała plastyczna „reprezentacja” ideowego przesłania T. Murak, której procesualno-akcyjny charakter kojarzy się z pewnymi zjawiskami artystycznymi z lat siedemdziesiątych, ma w istocie więcej wspólnego z misterium i służy dotarciu do owych rytmów, kołysań i uniesień oraz ujawnieniu ich.

Podobieństwa środków artystycznych każą rozpoznawać ją jako artystkę nowoczesną, ale nie jest to ta „nowoczesność”, która stanowi dziś pewien rozdział w historii sztuki XX w. Nowoczesność jest tu bezkompromisowością w doborze środków służących docieraniu do istotnych problemów współczesnej kultury. A problemem jest uwiad tego, co nazywane jest czasem świadomością matriarchalną, a co z kobietą ma przede wszystkim symboliczny związek. Chodzi tu o owo Ewigweibliche, które w ideologii „nowoczesnych” było represjonowane (również przez – o paradoksie – artystki feministki), a co dziś znów ujawnia się m.in. poprzez twórczość T. Murak jako źródło energii i żywotności kultury.

Jan Stanisław Wojciechowski

teatr

A my, jacy jesteśmy?

Teatr Współczesny w Warszawie: „Mistrz i Małgorzata” **Michała Bulhakowa.** Przekład: Irena Lewandowska, Witold Dąbrowski. Adaptacja i reżyseria: Maciej Englert. Scenografia: Ewa Starowieyska. Muzyka: Zygmunt Konieczny. Premiera: marzec 1987

Ma się pod wieczór ostatniej niedzieli czerwca. Jadąc przez most Śląsko-Dąbrowski na lewy brzeg Wisły widzę na skwerach wzdłuż Wisłostrady tłum kłębiący się między kioskami, straganami i estradami. Trwa święto „Trybuny Ludu”. Można obejrzeć występy artystów scen warszawskich, a przy okazji kupić jakiś deficytowy towar. Albo odwrotnie – kupić coś, a przy okazji obejrzeć. Pod budowanym od lat „złocistym wieżowcem” przesiadam się do tramwaju. Na Mokotowskiej, przed teatrem gromadka ludzi. Czekają na ostatni dzwonek, by jak najpóźniej zasiąść w dusznej sali. Przed kasą kolejka tych, którzy liczą na wejściówkę lub okazjne kupienie biletu. Wejdą chyba wszyscy, bo na widowni wiele osób będzie stało.

Rzadko spotykany nastrój oczekiwania. Człowiek siedzący obok mówi, że powieść czytał już pięć razy i jeszcze będzie do niej wracał. Rzadko chodzi do teatru, ale widział prawie wszystkie spektakle według tekstów

Buĥhakowa. Na widowni zasiada pewnie jeszcze więcej takich miłośników rosyjskiego pisarza. Sporo osób przywiodła tutaj zapewne fama o tym przedstawieniu. Widzę parę osób ze znaczkami święta „Trybuny Ludu”, dobiegają jakieś fragmenty rozmowy prowadzonej po rosyjsku. Gaśnie światło.

Rozpoczynająca powieść scena na Patriarszych Prudach, gdzie Berlioz i Bezdomny dyskutują o nieistnieniu Chrystusa, poprzedzona jest w spektaklu krótką sceną odrzucenia przez wydawnictwo powieści Mistrza o Piłacie. Obie stanowią coś w rodzaju ekspozycji. Prezentują protagonistów współczesnego wątku przedstawienia – Mistrza i Wolanda. Wprowadzają też widzów w skomplikowane zależności między prawdą, fikcją i rzeczywistością. Albowiem w świecie tego spektaklu nie sposób pojąć tych połączeń w pary, opatrując znakami przeciwnieństwa bądź tożsamości.

Wygodny podział na rzeczywistość Moskwy lat trzydziestych i fikcję Jeruzalaim czasów Chrystusa zostaje już na początku zakwestionowany poprzez świadectwo Wolanda o sądzie Piłata nad Jezusą Ha-Nocri.

Nie dziwny się jednak owemu zamieszaniu ontologicznemu, skoro główną postacią spektaklu jest Woland, wysłannik piekła. Bardzo szybko zresztą okazuje się ono pozorne.

Świat przedstawiony spektaklu kształtowany jest bowiem przez aksjologię i status ontologiczny poszczególnych postaci, zależy od wartości, którym one hołdują. W sferze środków teatralnych odpowiadają temu aktorskie sposoby budowania postaci od opartych na psychologicznej prawdzie do groteskowych, charakterystycznych,

uosabiających jakąś cechę charakteru lub słabość.

Większość postaci „realnych” – literaci, dyrekcja Variétés, ci, którzy zajmują najniższe szczeble aksjologicznej drabiny – to postaci jednowymiarowe, nierzeczywiste. Krzysztof Tyniec w roli Rimskiego zachowuje się jak biurokratyczny automat, porusza się sztywno, mówi szybko i beznamietnie. Krzysztof Kowalewski, grający Nikanora Bosego, stworzył pyszną postać skorumpowanego, zapatrzonego w pieniądze urzędnika, nieudolnie – a przez to niezwykle zabawnie – maskującego swą chciwość. Marcin Troński jako Lichodiejew zagrał brawurą ctiudę przebudzenia z pijackiego snu. Berlioz w wykonaniu Józefa Koniecznego to stereotypowy rosyjski literat, Annuszka Marty Lipińskiej – stereotypowa prosta kobieta. Role te dały wykonawcom okazję do popisu w tym rodzaju sztuki aktorskiej, który niegdyś nazywano aktorstwem charakterystycznym.

Wśród owych postaci „realnych” zaledwie trzy ocalały swoje pełne człowieczeństwo: Mistrz – dzięki odwadze w poszukiwaniu prawdy, Małgorzata – dzięki pełnej poświęcenia miłości i Iwan Bezdomny, który podjął trud zrozumienia tego, co się wokół dzieje. Oczywiście znajduje to odbicie w sposobie budowania postaci; mniej może Małgorzaty i Bezdomnego, w pełni – Mistrza. Marek Bargiełowski zagrał człowieka doświadczonego przez los, cierpiącego i zrezygnowanego, w sposób ściszony i bez ostentacji. Przez to wydobył takie poczucie godności i własnej wartości bohatera, przekonanie o racji intelektualnej. Pozwala mu to przyjąć swój los, co wcale nie

oznacza nań zgody. Wydaje się jednak, że ściszenie tej roli lepiej sprawdziłoby się w warunkach kameralnej sali, w której widzowie siedzą na wyciągnięcie ręki. Ten nie najistotniejszy przecież mankament sprawił, że rolę Bargielowskiego trudno nazwać kreacją, a także nie pozostał bez konsekwencji dla kształtu całego spektaklu, w którym postać Mistrza została nieco odsunięta w cień.

Prawdziwe są postaci „fikcyjne”. Wątek apokryficzny ma zresztą podwójną sankcję prawdziwości: z jednej strony jako trawestacja Biblii (jest to sankcja zewnętrzna, spoza świata spektaklu), z drugiej świadectwo Wolanda, z trzeciej zaś świadectwo Mateusza Lewity, który mówi: *On przeczytał uwór mistrza*. Lecz przecież nie chodzi tu o historyczną prawdę opisywanych wydarzeń, a o prawdę ludzką, o autentyczne ludzkie cierpienie, autentyczną miłość, wiarę i nadzieję.

Miłość uosabia postać Jezui, wiarę – Mateusz Lewita, a nadzieję – Poncjusz Piłat. Mądra miłość Jezui, ślepa wiara Mateusza i nadzieja na przebaczenie – Piłata. Bohaterowie ci nie są monolitami: w twarzy Jezui widać strach (lecz nie tchórzostwo), Lewita jest porywczy i nie zawsze pamięta o naukach swego nauczyciela, a Piłat...

Piłat to człowiek, który uwierzył, ale nie może swej wierze dać świadectwa, rozdwojony między powinnością serca a służbowym obowiązkiem. Mariusz Dmochowski zbudował postać Piłata oszczędnym, zastygającym w bezruchu gestem, a przede wszystkim głosem: od zmęczonego szeptu do władczego krzyku, od pełnych ciepła fraz do ostrych, szczekliwych rozkazów, głosem, w którym

zawieszenia i pauzy tworzyły niezwykle napięcie. Zawarł w tej kreacji wstrząsającą prawdę o człowieku uwikłanym, rozdartym, prawdę o człowieku współczesnym. Towarzyszyli mu godni partnerzy, zwłaszcza Janusz Nowicki (Afranisz) i Cezary Morawski (Mateusz). Dialog z tym ostatnim nagrodzony został brawami (nie ze względu na aluzje).

Strażnikiem wartości jest w tym świecie Woland. Krzysztof Wakuliński stworzył postać mądrego, pełnego ironii obserwatora ludzkich przywar. Najpierw zaskoczony, później znudzony spotkanymi ludźmi, wśród których znalazł się zaledwie jeden na miarę Fausta, jeden jedyny, którym warto było się zająć. Woland przy pomocy swej świty (znakomite role wszystkich czworog: Katarzyny Figury, Wiesława Michnikowskiego, Adama Ferency'ego i Grzegorza Wonsa) animuje sytuacje i zdarzenia, poprzez nie dokonuje się zaś moralna klasyfikacja ludzi i ich czynów. Woland Wakulińskiego, gdyby nie obecność Jezui wśród osób dramatu, mógłby być bogiem w świecie tego spektaklu.

Aktorstwo jest jego bardzo mocną stroną. Jego styl polega na różnorodności konwencji w całej skali od charakterystycznej groteskowości do niemal patetycznej koturnowości. Wszystko wydaje się jednak na miejscu, harmonijnie wtopione w materię przedstawienia.

Warto też zwrócić uwagę na scenografię. Jest to prawdziwe dzieło sztuki nie tylko ze względu na walory artystyczne dopełniające sceniczny obraz, lecz także z uwagi na sposób, w jaki Ewa Starowieyska zaaranżowała niewielką przestrzeń sceny Teatru Współczesnego. Po obu stronach

proscenium miejsca gry: po prawej biuro (Variétés, związek literatów, szpital psychiatryczny, pokój śledczych), po lewej mieszkanie Mistrza, które jest zarazem feralnym mieszkaniem na Sadowej. Nad tym jeszcze dodatkowe balkoniki. Ramę sceny przesłania czarna kurtyna. Jest półprzezroczysta – po oświetleniu wnętrza sceny postacie w głębi widoczne są jakby na ekranie. Kurtyna jest dwuczęściowa, otwiera się do wnętrza sceny na kształt wielkich, czarnych, „diabelskich” skrzydeł. Tylą ścianę sceny stanowi szary mur z umieszczonym wysoko oknem. Wnętrze sceny to przede wszystkim plenerowe miejsca akcji: park, ulica, ale także powiększone w magiczny sposób (zwierciadła?) mieszkanie na Sadowej w czasie balu. Granice poszczególnych miejsc akcji nie zostały precyzyjnie wytyczone. Określają je swoją obecnością aktorzy.

W ten sposób została zorganizowana przestrzeń dla scen rozgrywających się w Moskwie. W scenach apokryficznych przestrzeń wyznacza światło rozcinające ciemność wąskimi smugami (promień księżyca), wydobywające z mroku sylwetki bohaterów.

W tej scenografii jest oddech przestrzeni i wrażenie zamknięcia, przenikające się, a zarazem logicznie wydzielone różne plany akcji tworzą funkcjonalną przestrzeń gry. Zresztą największy komplement pod adresem scenografa pada w spektaklu. Wystarczy go powtórzyć: *Ci, którzy są otrząskani z piątym wymiarem – mówią Korowiow – bez trudu mogą powiększyć lokal do potrzebnych rozmiarów.*

Przedstawienie „Mistrza i Małgorzaty” jest przedsięwzięciem imponu-

jącym nie tylko dlatego, że trwa przeszło 4 godziny. Imponuje zarówno zamysł zmierzenia się z powieścią Bułhakowa w całości, jak też efekty artystyczne. Imponująca jest również idea tego przedstawienia, jego współbrzmienie z oczekiwaniami i potrzebami widzów, zaświadczone przepełnioną salą na wszystkich spektaklach. Imponujące jest podjęcie problemów niezwykle ważnych w sytuacji społecznej, w jakiej spektakl istnieje i oddziałuje. Wszystko to skłania do stwierdzenia, że mamy do czynienia z jednym z najważniejszych wydarzeń teatralnych lat osiemdziesiątych.

Sceniczna aktualizacja „Mistrza i Małgorzaty” trafiła na swój czas. I nie chodzi tu już o takie smakowite drobiazgi, jak np. dywagacje Korowiowa o tym, czy Dostojewski miał jakąś legitymację. Chodzi o coś więcej, o społeczne poczucie wartości, które uległo, wyrażonemu zachwianiu. Kryzysowa sytuacja ujawniła je z całą ostrością. A teraz Englert przy pomocy Bułhakowa próbuje nałożyć na rzeczywistość aksjologiczną siatkę, powiedzieć, że dobre może być tylko to, co jest dobre naprawdę, w swej istocie, uporządkować to, co wydaje się do uporządkowania niemożliwe. Jest to próba, której od lat nie podjął nikt. Tym bardziej jest ważna. A jeżeli jest to także sukces artystyczny, co nie ulega wątpliwości, to nie wahajmy się nazwać tego drugim z najważniejszych wydarzeń teatralnych lat osiemdziesiątych. To pierwsze (chronologicznie) to „Zbrodnia i kara” reżyserowana przez Andrzeja Wajdę, spektakl, który podjął problematykę etyczną. Chodziło o problem odpowiedzialności jednostki i społeczeństwa. Czyż nie jest znamienne, że te dwa spekta-

kle powstały na kanwie utworów literatury rosyjskiej? Czy mamy prawo stwierdzić, że aby zrozumieć siebie dzisiaj, sięgamy do Rosji wczorajszej i przedwczorajszej? Problemy implikowane przez to pytanie wykraczają już poza ramy tego tekstu.

W finale spektaklu Mistrz uwalnia Piłata, będzie mógł zaznać spokoju. A my wychodzimy z teatru w milczeniu. W późnym letnim zmierzchu zacierają się nasze twarze. A my? Jacy jesteśmy?

Andrzej Dziurdzikowski

Lekkość i ciężar prawdy

Tak jak ludzie i przedmioty również lektury mają swoje historie. Mieszcza się w nich np. odnaleziony nagle urok nudnej z początku książki albo osaczające przy jej końcu rozczarowanie czy też wyłazająca spod natłoku wrażeń mialkość. Tak samo niepodobne do siebie mogą być kolejne lektury tego samego tytułu; za każdym razem mogą stawiać one przed czytającym inne pytania oraz zmuszać do formułowania różnych odpowiedzi.

„Mistrz i Małgorzata” Bułhakowa był właśnie taką odmienną za każdym razem przygodą intelektu. Pierwsza z nich polegała na chciwym poszukiwaniu i rozpoznawaniu rzeczywistości społecznej i ludzkiej, którą na ogół skrywała literatura rosyjska XX w.; na poszukiwaniu śladów, jakie zostawił na kartach swej książki pisarz, kiedy przechadzał się tymi samymi ulicami, odwiedzał te same pomiesz-

czenia; domy co jego bohaterowie. Pragnienie o tyle uzasadnione, że Bułhakow dla nieprofesjonalisty jest postacią zagadkową, pełną tajemnic i niedomówień; to ktoś mało znany „osobiście”, od strony prywatnej, to ktoś, kto przemawia jedynie swym dziełem, a nie anegdotą, wspomnieniem, dokumentem. Następną lekturą stawiała przed czytającym pytania o funkcjonowanie w powieści mitu faustycznego. Wreszcie ostatnia o wzajemną odpowiedzialność dwóch podstawowych wątków, dwóch jej warstw, współczesnej i historycznej, opowiadającej o skazaniu i ukrzyżowaniu Jezui oraz o Poncjuszu Piłacie.

Lektury karmią się lekturami. Odpowiedź na postawione wyżej pytanie nie byłaby możliwa w takim kształcie, gdyby nie dwa eseje współczesnego niemieckiego filozofa, Otto Friedricha Bollnowa (ur. w 1903), zamieszczone w krakowskim „Znaku” (nr 305), szczególnie „Rozważania o bolesności prawdy”. Dowodzi to roli przypadku w żmudnym procesie poszukiwań, interpretacji, namysłu, które mogą niespodziewanie znaleźć swój cel dzięki sąsiedztwu dwóch różnych książek, wzajemnie się inspirujących.

„Mistrz i Małgorzata” jest powieścią o formie otwartej. Miesza ją w niej różne sposoby literackiego wyrazu, groteska sąsiaduje z tragizmem, ton buffo z tonem serio, parodia z surrealistyczną kreacją, realistyczna obserwacja z symbolizmem. Tej wielości środków wyrazu i sposobów opisu nie towarzyszy jednak wrażenie chaosu, niezborności, rozchwiania. Dzieje się tak również dlatego, że w powieści dominuje wyraźnie ta

podstawowa linia podziału wyznaczająca granicę dwóch światów wzajemnie się w sobie przegładających.

Z jednej strony jest to świat współczesny i rzeczywistość zburzonego porządku. Symbolem tego chaosu niech będzie serwowany w upalny dzień zamiast wody mineralnej sok morelowy o zapachu wody fryzjerskiej. Zresztą takich przykładów władzy absurdu można znaleźć więcej. Np. zielona bryndza oraz jesiotr drugiej świeżości w bufecie teatru Variétés. Albo mieszkaniowe getto w domu numer 302-A przy ulicy Sadowej w Moskwie.

Ale żeby nie zamknąć się w kręgu małego realizmu, w literackiej jednowymiarowości, tak obcej powieści Bułhakowa, przejdźmy od razu na wyższe piętro uogólnienia. Opisane tu przygody charakteryzują rzeczywistość, która zwrócona jest przeciwko człowiekowi i wywołuje w nim reakcję nienawiści i agresji. Jest on wydziedziczony z gleby tradycji i racjonalizmu, pozbawiony schronienia i zadomowienia w wartościach, wydany na pastwę sił irracjonalnych, poddany władzy absurdu, nicości i trywialności. Niech znakiem tej dotkliwej władzy nad ludzką duszą, ograniczającą ją i wynaturzającą, będzie pomysł posłania Kanta na trzy lata na Sołówki, jaki pada z ust Iwana Bezdonnego, poety, w rozmowie z Berliozem oraz pewnym nieznajomym, profesorem W., którego pod koniec powieści poznajemy nadzwyczaj dobrze, my, czytelnicy, jak i inne postacie „Mistrza i Małgorzaty”.

Jeszua też cierpi, wydany jest na o wiele cięższe próby, ale jego męka oznacza coś krzepiącego, trudno osiągalną w zwykłym ludzkim życiu,

wyjątkową pełnię istnienia. Jego cierpienie i ból nieświe ze sobą uzbrajający duszę sens. Na tym polega różnica. Cierpienie po drugiej stronie rzeczywistości, w rozpoznawalnym przez nas świecie, jest pozbawione właśnie znaczenia, ma sens negatywny, jest wynikiem czy skutkiem nie obrony wartości, ale ich utraty, nie jest krzepiącym świadectwem prawdy, tylko zniewalającym dowodem niewrażliwości na nią. Męka Jeszui narzuca ład oparty o wewnętrzną siłę prawdy, która obca jest cierpieniu ludzi współczesnych. *Jak łatwo i miło jest mówić prawdę*. To zdanie Jeszui z rozmowy z Piłatem najgłębiej zapada w pamięć niczym donośny głos dzwonu niesiony w nieskończoność; wydaje się najważniejsze w całej powieści i dlatego najbardziej zniewala naszą wyobraźnię. Tego zdania nie mogłaby wypowiedzieć żadna inna postać „Mistrza i Małgorzaty”.

Tę odmienną dwóch warstw powieści podkreśla niezwykła spiżowa stylistyka partii historycznej, arcydzieło klarowności i precyzji, gdzie słowo wyczarowuje minioną rzeczywistość jakby w trójwymiarowej przestrzeni z precyzją rzeźbiarskiej dłoni. Ale czy celem pisarza było jedynie przeciwstawienie ideału i praktyki, boskiego i ludzkiego, wzoru i jego nieudolnego naśladownictwa? Myślę, że nie, to byłoby za proste dla pisarza tej klasy co autor „Białej gwardii”. Bułhakow nie posługiwał się prostym schematem podstawowych przeciwieństw. Był pisarzem koniunkcji. Na płaszczyźnie artystycznej oznaczało to wspomnianą wyżej otwartość formy i umiejętność posługiwania się różnymi technikami opisu. Na płaszczyźnie moralnej – uwolnienie się od

uczuć nienawiści i zemsty, przepojenie kreowanego przez siebie świata dobrotliwością, wreszcie umiejętność zrozumienia ludzkiej słabości. To Andrzej Drowicz zwrócił uwagę w eseju „Rewanż” zamieszczonym w książce „Zaproszenie do podróży”, że Woland i jego czarci, są w tej powieści sługami sprawiedliwości, dobra i porządku.

Granica przepoławiająca powieść na dwie części jest tylko odmiennością różnych doświadczeń prawdy. Jej lekkości i jej ciężaru. Tylko on jeden. Jezua, spośród wszystkich ludzi, którzy zaznaczyli swój ślad na ziemi, dostąpił lekkości zmagania z jej wrogami. Dla innych prawda jest potyczką bardziej bolesną. Jest ona dla człowieka celem do osiągnięcia, zadaniem, którego rozwiązanie nie zawsze jest zapisane na końcu książki życia. Na tej drodze poszukiwań doznaje on ciągłego niepokoju. Raz ją traci, innym razem odzyskuje, zbliża się do niej i oddala, rozumie ją i popada w obłęd irracjonalizmu. Jest to szlak głodnej i znękaney niepokojem duszy, której obca jest boska pewność siebie i swojej siły. Ten głód wydaje człowieka hardcę i niebezpieczeństw.

Prawda ze względu na swoją istotę pozostaje w rzeczy samej czymś opornym, czymś, o co człowiek uderza się w bolesny dla niego sposób /.../ Prawda jest więc zawsze czymś wrogim, przenikającym w spokojne i naturalne życie człowieka... [jest] sprawą bardzo niebezpieczną, poruszającą człowieka w samym jego rdzeniu. Te słowa Bollnowa określają treść ludzkiego doświadczenia prawdy. Tą treścią jest ból. Zetknięcie z prawdą jest zawsze ryzykowne i bolesne, prowadzi do zanegowania siebie i zniszcze-

nia. Prawda zwraca się przeciwko nam. Wywleka naszą prywatność na scenę, stawiając nas nagle w świetle reflektora, jakim jest sumienie i obudzona wrażliwość. Burzy brutalnie nasze przyzwyczajenia, zrywa nici łączące nas z codziennością, otwiera nasz osobisty futerał, w którym chowaliśmy się przed światem, zrywa szaty hipokryzji, konformizmu, wygodnych złudzeń. Jest wstrząsem.

Tej bolesności doświadczają w pewnym momencie niektóre postacie powieści. Poeta Iwan Bezdomy, ten sam, który chciał wystać Kanta na Sołówki, po zamknięciu w klinice psychiatrycznej czuje do siebie i swojej nieautentycznej twórczości wstręt. Rozmawiając z doktorem Strawińskim *po raz pierwszy w życiu poczuł nagle jakiś niewytłumaczalny wstręt do poezji, a jego własne wiersze, o których teraz pomyślał, z niewiadomych powodów wydały mu się czymś niesympatycznym*. Podobny wstrząs przeżywa poeta Riuchin, *po pobycie w domu udręki* (czyli w zakładzie psychiatrycznym, gdzie zamknięto Bezdomego – M. P.) *pozostał mu ciężki uraz*. Ale nie jest to wstrząs doznany pod wpływem ciężkich przeżyć kolegi. Na Riuchina oddziałują przede wszystkim słowa Bezdomego, jego szyderstwo. *Nieszczęście polegało nie na tym, że były one obraźliwe, ale na tym, że zawierały prawdę*. Ten marny poeta okolicznościowy, piszący wiersze z okazji... dzięki Bezdomnemu ma swoją godzinę prawdy, kiedy myśli: *Nie wierzę w nic z tego, o czym sam piszę!*

Ale ból czy niepokój wynikający z zetknięcia z prawdą jest również czymś pozytywnym, rodzajem oczyszczającego katarsis. Sprostanie wezwa-

niu, jakie stawia prawda, prowadzi do umocnienia człowieka. Ból nie jest więc destrukcyjny, ale również ocalający, odejmuje ciężar życia w kłamstwie i pozorze. Iwan Bezdomny żegnając się w śnie z Mistrzem opuszczającym ten świat przyrzeka mu nie pisać więcej *wierszydeł*. Riuchin natomiast zatrzymuje się w pół drogi. Wycofuje się pod naporem bolesności. Wrócił ze szpitala do Gruboje-dowa i wychylał samotnie kieliszek za kieszkiem całkowicie przekonany, że w jego życiu nic już nie da się naprawić, że pozostaje mu tylko zapomnienie.

Dostąpi tej łaski umocnienia tylko Mistrz. Wizja wyzwolenia go spod martwego kryptonimu – numer sto osiemnasty pierwszego oddziału szpitala psychiatrycznego – oraz przeniesienie go przez Wolanda i jego pomocników do *wieczystego domu* należy do jednej z najpiękniejszych w literaturze. Wieczysty dom Mistrza ma weneckie okna i dzikie wino, które wspina się aż po sam dach. Mistrz zabiera „tam” swoją przybrudzoną szlafmycę. Jest to wizja wrzuszająca ludzka, dotykająca naszych najskrytszych marzeń. Bo czyż sami nie chcielibyśmy zabrać „tam” czegoś ze sobą, np. paczki pożółkłych listów, przegryzionej fajki, wytartej od częstych lektur książki, zeszytu, w którym zapisywaliśmy odloty i przyloty smutków, zarośniętego zakola rzeki, gdzie łowiliśmy pierwszy raz w życiu ryby?

„Mistrz i Małgorzata” tworzą partyturę różnych wtajemniczeń w prawdę, różnych jej doświadczeń. Dotyczą one wewnętrznych relacji powieści. Ale jedno z nich sytuuje się na zewnątrz książki. Dotyczy ono prawdy literatury i godności pisarskiego

powołania, które ta prawda podkreśla. Życiu Bułhakowa, jego ciężko okupionej niezależności i wolności odpowiada w partii historycznej fragment o kuszeniu Lewity:

Piłat zwinął pergamin i gwałtownym ruchem podał go Lewicie.

– *Masz – powiedział, zamilkł, potem dodał: – Kochasz księgi, jak widzę, i nie powinieneś chodzić tak samopas w nędzarskim odzieniu, nie mając własnego kąta. Mam w Caesarei wielką bibliotekę, jestem bardzo bogaty i chcę wziąć cię na służbę. Będiesz porządkował papirusy i dbał o nie. Będziesz syty i będziesz miał się w co ubrać.*

Lewita wstał i odpowiedział:

– *Nie, nie chcę.*

„Nie” Mateusza Lewity i Bułhakowa, jednego z bohaterów książki i jej autora, objawia czytelnikowi prawdę od strony jej mobilizującej i uzbrajającej człowieka skuteczności.

Marek Pieczara



Potęga smaku

Czy pamiętacie państwo siarczysty policzek wymierzony Danielakowi w finale „Wodzireja”? W jakiś czas później historia powtórzyła ten gest wymierzając go rzeczywistości, która sprzyja karierom w stylu Danielaka, z której wyrastają ludzie jego pokroju, dążący bez skrępowań do wytkniętego celu. W „Bohaterze ro-

ku", najnowszym dziele ekranowym Feliksa Falka, raz jeszcze spotykamy tę samą postać. Sierpień go napiętnował, osądził moralnie, ale nie wyeliminował z gry. Tu finał jest inny – oto wykorzystywany i manipulowany pozytywny bohater tego filmu, prosty człowiek, który uratował życie ludziom, skromny i uczciwy, kierujący się podstawowym rozeznaniem wartości, rezygnuje w pewnym momencie z narzuconej mu przez cynika gry i wraca do domu, dosłownie i w przenośni. To zakończenie też odpowiada rzeczywistości społecznej dnia dzisiejszego, sytuacji pozycyjnej wojny, kiedy historia po okresie zamętu, burzy, emocji rozdała wszystkie karty i odtąd każda ze stron czujnie strzeże przydzielonych ról i pozycji, nie myśląc (na razie?) o nowych podbojach i zdobyczach. Ci, którzy dawniej wymierzali ten policzek, teraz sprzedają kwiaty: uprawiają własny ogródek, leczą rany i obrażenia, otrząsają się z rozczarowań i zawodów.

Finały obu filmów Falka odnoszą się więc do istotnych momentów niedawnej historii Polski i trudno w tym miejscu nie zwrócić uwagi na socjologiczną wyobraźnię reżysera. Społeczna obserwacja wzbogaca te filmy jakby mimochodem. Nie widać tu specjalnych wysiłków w tym kierunku, chciwego rzucania się na syntezę i traktaty. Filmy te wolne są od taniej publicystyki czy jałowego dyskursu. Społeczna wiwisekcja nie odbywa się kosztem wartości artystycznych. Falk tworzy pełne i wyraziste postacie, nie zapomina też o nieodzownej w filmie widowiskowości, zewnętrznej atrakcyjności.

Oba filmy Falka wyczerpują również doświadczenie kina moralnego

niepokoju, które w drugiej połowie lat siedemdziesiątych tak trafnie odpowiadało na społeczne zapotrzebowanie i które wyprzedziło literaturę w penetracji społecznej rzeczywistości (odnajduję w pamięci tylko jeden przykład literackiego odpowiednika tego filmowego zjawiska, mianowicie „Maśś na szczury” Bogdana Madeja). Bohaterowie tych filmów byli postaciami z naszej rzeczywistości. Takim bohaterem jest również Danielak. Niestety, dziś, kiedy historia przygotowała nie tak dawno spektakl przerastający sztukę, widzowie uciekają od rzeczywistości, chcą w kinie zapomnieć o niej. Lekcję cynizmu na ekranie przerabialiśmy już w rzeczywistości i nie może ona na nas wywrzeć większego wrażenia. To, co było odkryciem, nowym słowem w kinie moralnego niepokoju, dziesięć lat później już nie wystarcza, przestało ekscytować. Tamto zjawisko wyznaczyło granice skuteczności społecznej kina, które trudno będzie przekroczyć. W zmienionych układach już nie chodzi o odsłonięcie zburzonego ładu moralnego, tylko o znalezienie sposobów na jego realizację, obronę w praktyce życia publicznego. Ale to już zadanie czysto polityczne. Sztuka, chcąc pomóc tym poszukiwaniom, musi się natknąć na niebezpieczeństwo płaskiego dydaktyzmu.

Ale póki co mamy do czynienia przede wszystkim z faktem artystycznym. Falk konsekwentnie stosuje pewne reguły kina akcji, dba o przykuwanie uwagi widza. Przy tym jego opowieści mają ów dodatkowy walor poznawczy. Interesują go patologiczne zjawiska i negatywni bohaterowie. Przed Tatajem i Hawatką (który wymierza w „Wodzireju” policzek

sprawiedliwości) stawia twórca taniego, ale dokuczliwego demona trywialności, cynizmu, obojętności, hucpy. Upostaciowane zło daje niewątpliwie większe możliwości dramaturgiczne niż dobro. Pamiętam w tej chwili jeden film, gdzie w centrum opowieści postawił reżyser postać pozytywną. To „Planeta Krawiec” Jerzego Domaradzkiego, film interesujący, który jednak przemknął prawie nie zauważony przez widownię i krytykę. Taki film jest po prostu trudniej zrobić, wymaga on innej skali talentu i rodzaju świadomości, odmiennych predispozycji intelektualnych.

Redukując oba filmy o Danielaku do warstwy poznawczej, „Wodzirej” i „Bohater roku” składają się na bardzo ciekawą anatomię kiczu funkcjonującego w życiu kulturalnym, społecznym i politycznym. Kicz jest tu synonimem tandety i trywialności, nie ma natomiast nic wspólnego z teorią estetyczną, głoszącą np., że jest on niezbędnym elementem każdego arcydzieła (Herman Broch). Jego funkcjonowanie nie wymaga bliższych wyjaśnień, jeśli chodzi o sferę kultury masowej. Tu jest łatwo zauważalny. Ze środowiska jej animatorów czerpie Falk postacie do swoich filmów, z prowincjonalnej i wielkomiejskiej estrady, będącej bastionem pustki i nijakości. W odniesieniu do życia społecznego i politycznego obecność i dominacja kiczu oznacza brak aksjologicznego jądra, organizującego stosunki międzyludzkie i formy życia publicznego, zanik wartości i związaną z nim jego degradację, rozpad naturalnych więzi, zanik wrażliwości społecznej, które zastąpione zostają grą pozorów i doraźnych, egoistycznych interesów. Ta nihilistyczna

głębia stanowi idealną pożywkę dla karier Danielaków, zapewnia im żywotność i przetrwanie. Ostatni film Falka bezbłędnie pokazuje wewnętrzną dynamikę kiczu, kiedy zwykle wystąpienie jednego z bohaterów telewizyjnego reportażu rozrasta się do ogromnego, rozbudowanego show z udziałem piosenkarzy, helikopterów, ruchomych reklam i dekoracji, akrobatów, setek statystów, tancerek itd., itp. Kulminacyjnym momentem tej tandety pleniącej się bujnie jak chwasty jest Pieśń o Odpowiedzialności, w której kicz znalazł swoje najwyższe wcielenie.

W ostatnim najważniejszym występie Tataj wychodzi na scenę i wraca bez słowa za kuliszy. Po raz kolejny objawia siłę Herbertowską *potęgą smaku*, która każe bohaterowi zrezygnować z gry pozorów, która nie pozwala przemieszać się obu oddalającym się coraz bardziej światom wartości i nihilizmu, wrażliwości i obojętności, która wyznacza linię okopów dzisiejszej wojny.

Marek Pieczara

KSIAŻKI NADEŚLANE

Akademia Teologii Katolickiej

ks. Marian Banaszak, *Historia Kościoła katolickiego, I. Starożytność*. Warszawa 1986, nakład 20300 egz.

CSS/IDEE

Oto Ameryka – Polityka i społeczeństwo

Instytut Józefa Piłsudskiego

Marszałek Edward Śmigły-Rydz 1886–1986. Londyn MCMLXXXVI

Instytut Wydawniczy Pax

św. Atanazy Aleksandryjski, *Żywot świętego Antoniego*; św. Antoni Pustelnik, *Pisma*, przeł. Zofia Brzostowska i in., wstępami i komentarzami opatrzyła Ewa Wipszycka. Warszawa 1987, wyd. I, nakład 5000+350 egz.

Jan Dobraczyński, *O każdego człowieka*. Warszawa 1987, wyd. I, nakład 20000+350 egz.

Lloyd C. Douglas, *Szata*, przeł. Maria Skibniewska. Warszawa 1987, wyd. II, nakład 50000+350 egz.

François-Xavier Durrwell, *Eucharystia sakrament paschalny*, Przeł. Lucyna Rutkowska. Warszawa 1987, wyd. I, nakład 30000+350 egz.

Janusz Ekes, *Złota demokracja*. Warszawa 1987, wyd. I, nakład 5000+350 egz.

Etienne Gilson, *Historia filozofii chrześcijańskiej w wiekach średnich*, przeł. Sylwester Zalewski. Warszawa 1987, wyd. II, nakład 15000+350 egz.

Julien Green, *Brat Franciszek*, przeł. Barbara Durbajło. Warszawa 1987, wyd. I, nakład 20000+350 egz.

Thomas A. Harris, *W zgodzie z sobą i z tobą. Praktyczny przewodnik po analizie transakcyjnej*, przeł. Elżbieta Knoll. Warszawa 1987, wyd. II, nakład 10000+350 egz.

Janina Hertz, *Legends o zwierzętach*, ilustr. Maria Irzyk. Warszawa 1987, wyd. I, nakład 5000+350 egz.

Henri J. M. Nouwen, *Dziennik z klasztoru trapistów*, przeł. Irena Doleżał-Nowicka. Warszawa 1987, wyd. I, nakład 10000+350 egz.

Karl Rahner, *Podstawowy wykład wiary. Wprowadzenie do pojęcia chrześcijaństwa*, przeł. Tadeusz Mieszkowski. Warszawa 1987, wyd. I, nakład 20000+350 egz.

Karl Rahner, Herbert Vorgrimler, *Mały słownik teologiczny*, przeł. Tadeusz Mieszkowski, Paweł Pachciarek, *Słowo wstępne* ks. prof. Alfons Skowronek. Warszawa 1987, wyd. I, nakład 50000+350 egz.

Józef Szczawiński, *Wiersze wybrane (1946–1985)*. Warszawa 1987, wyd. I, nakład 3000+350 egz.

Hanna Świąciecka, *Świat moich wartości*. Warszawa 1987, wyd. I, nakład 5000+350 egz.

Kuria Biskupia Szczecin

bp Kazimierz Majdański, *„Będziecie Moimi świadkami”*. Szczecin 1987, wyd. I, nakład 10000 egz.

7. Pułk Ułanów Lubelskich im. Gen. K. Sosnkowskiego

General Kazimierz Sosnkowski. W stulecie urodzin

Redakcja Wydawnictw KUL

ks. Henryk Myształ, *Prawo kanonizacyjne. Komentarz do konstytucji apostołskiej „Divinus perfectionis Magister”*. Lublin 1987, nakład 10000+25 egz.

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak

Jacek Moskwa, *Antoni Maryński i Łaski*. Kraków 1985, wyd. I, nakład 10000+350 egz.

Elżbieta Sujak, *Rozważania o ludzkim rozwoju*. Kraków 1983, wyd. III przejrane i poprawione, nakład 10000+350 egz.

Ewa Szumańska, *Bizary*. Kraków 1987, wyd. I, nakład 10000+350 egz.

Jacek Woźniakowski, *Świeccy*. Kraków 1987, wyd. I, nakład 20000+350 egz.

Chryścianizacja Litwy, oprac. zbior. (Jerzy Kłoczowski, Zenonas Ivinskis, Jan Fijałek, Zbysław Wojtkowiak). Kraków 1987, wyd. I, nakład 15000+350 egz.

Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia“

Jan Paweł II i Polonia, oprac. Redakcja Polonijna Naczelnej Redakcji Prasowej Zagranicznej Polskiej Agencji Interpress, wydawnictwo specjalne z okazji trzeciej wizyty Papieża Jana Pawła II w Polsce. Nakład 2500 egz.

Warmińskie Wydawnictwo Diecezjalne

Śpiewnik nowych pieśni kościelnych i piosenek religijnych, oprac. ks. Marian Żuk SDB. Olsztyn 1986, wyd. II nakład 20000 egz.

Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy

Czesław Ryszka, *Charyzmat apostoła*. Kraków 1987, wyd. I, nakład 20000+350 egz.

Kinga Strzelecka OSU, *Miasto światel*. Kraków 1987, wyd. I, nakład 10000+350 egz.

Eucharystia w nauczaniu Jana Pawła II. Antologia wypowiedzi. Kraków 1987, wyd. I, nakład 10000+350 egz.

Wydawnictwo OO. Karmelitów Bosych

s. Janina Immakulata Adamska OCD, *Biografia Błogosławionej Elżbiety od Trójcy Przenajświętszej*. Kraków 1987, nakład 15000+350 egz.

św. Jan od Krzyża Doktor Kościoła, *Dzieła*, z hiszp. przeł. o. Bernard Smyrak OCD. Kraków 1986, wyd. IV przejrzone i poprawione, nakład 20000+350 egz.
 bł. Rafał Kalinowski, *Świętymi bądźcie! Konferencje i teksty ascetyczne*, zebrał, oprac., wstępem i przypisami opatrzył o. Czesław Gil OCD. Kraków 1987, nakład 10000+350 egz.

Maria Amata Neyer, *Edyta Stein. Dokumenty i Fotografie*, przeł. z niem. Wanda Zakrzewska. Kraków 1987, nakład 10350 egz.

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów „W drodze“

św. Katarzyna ze Sieny, *Dialog o Bożej Opatrzności czyli Księga Boskiej Nauki*, przeł. Leopold Staff. Poznań 1987, wyd. I, nakład 20000+350 egz.

Tomasz Pawłowski OP, *Przewodnik dla zniechęconych spowiedzią i mszą świętą*. Poznań 1986, wyd. II, nakład 20000+350 egz.

św. Tomasz z Akwinu [Dzieła wybrane] *Wykład Listu do Rzymian. Super Epistolam S. Pauli Apostoli ad Romanos*, w tłum. i oprac. Jacka Salija OP. Poznań 1987, wyd. I, nakład 5000+350 egz.

św. Tomasz z Akwinu, *Wykład pacierza*. Poznań 1987, wyd. I, nakład 30000+350 egz.

Otrzymać Jego moc. O odnowie w Duchu Świętym, praca zbior. pod red. Marcina Andrzeja Bąbraja OP. Poznań 1986, wyd. II (poszerzone), nakład 20000+350 egz.

